

961.158.467

151

HALSZKA GUILLEY-CHMIELOWSKA

SPOTKANIA NA GALERII

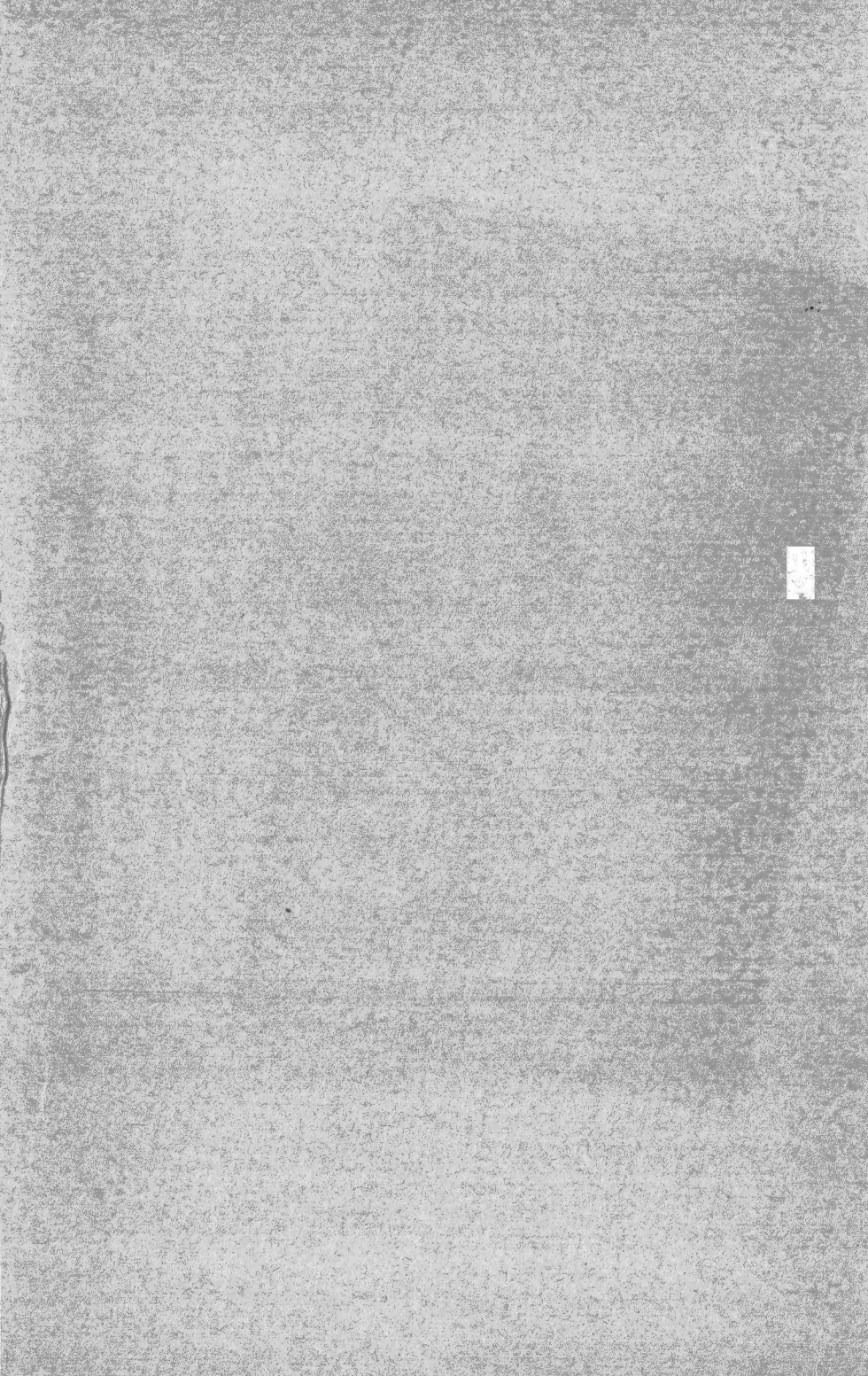
INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1960



96.158,467

1/2

SPOTKANIA NA GALERII

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom LII

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca: Edition et Librairie „Libella”
12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

HALSZKA GUILLEY-CHMIELOWSKA

SPOTKANIA
NA GALERII

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1960

**NAGRODA LITERACKA "KULTURY"
ZA ROK 1959**

Copyright by „Kultura”, Paris, 1960

*Motto: „Là où Dieu nous plante
— il faut savoir fleurir”.*

Kiedy zastukał do drzwi, nie otworzyła mu.

Wiedziała przecież dobrze, że to on, a nie kto inny. Już od kilku miesięcy czekała na niego, a w tych dniach dostała nawet depezę. Jednak nie ruszyła się.

Przysiadła cichutko na skraju tapczana i zaczęła starannie, skrupulatnie, bez szelestu, składać jakąś rozrzuconą gazetę o mnóstwie stron. Rzuciła nawet okiem na jakiś tytuł — ciekawe... znowu powódź w Kanadzie. Że też w tym kraju zawsze same katastrofy?

Czy też on jeszcze zastuka?... nie, nawet w ogóle nie słychać, by ktoś był za drzwiami. Ostrożnie wstała, a gazeta obsunęła się na podłogę z niepotrzebnym w tym momencie szelestem. Właściwie, to najlepiej wyrzucić poprzez szybę kuchennego okna. Wychodziło, tak jak i drzwi, na długą drewnianą galerię. Uchyliła u dołu firankę. Jakaś pusta flaszka, trącona łokciem, potoczyła się turkotliwie do płaskiego zlewu. Usunęła się szybko zadrappawszy nogę o blaszane wiadro na odpadki.

Na pace z węglem, tuż pod samym oknem, zdążyła zauważyć bagaż: wyświechtany plecak nieokreślonego koloru i starą, odrapaną walizkę, wyniszczoną nie tyle podróżami ile zapewne przechowywaniem na brudnym strychu. A może wyciągnął ją spod łóżka, albo z jakiegoś zakurzonego zakamarka w domu. Może w ogóle jej nie miał i jakiś kolega mu w ostatniej chwili pożyczył. Była okrzemiona rzemieniem. Zapewne w ostatnim momencie zardze-

wiały zamek nawalił i nie dało się jej zamknąć. Plecak był mały, niezgrabny i tak niedbale wypchany, że się oparł o ścianę dla utrzymania równowagi.

Bagaż, przyjazd... jakże ją to naraz zaskoczyło. A on znowu zastukał — nie silniej, nie słabiej — zupełnie tak samo jak przedtem.

I nagle ogarnął ją zabawny popłoch, jak kogoś kto przegapił godzinę i teraz się chwyta za głowę, by ze wszystkim nadażyć, nadrobić niewiarygodnie stracony czas. Bezgłównie, na palcach, zwijała się w chaotycznej bieganiu z pokoju do kuchni, wykonując drobne czynności, zależnie od tego na co przypadkowo padał jej roztargniony wzrok. Szurgnęła pod szafę parę pantofli, chwyciła wazon z kwiatami, by zmienić w nim wodę, schowała zaschnięty spodek, na którym kot rozbabrał niedojedzone resztki i złapawszy rzucony na fotel szlafrok szukała wieszadła.

Opadły jej ręce. Nie, nic już nie zdąży zrobić, za późno. Nawet naczynia po obiedzie nie były zmyte. Talerze, kości od wieprzowych kotletów, skórki pomarańczy, wszystko to leżało na blacie kuchennym nieporządnie, brudno, ohydnie. Trzeba otworzyć.

Mimowoli przystanęła przed lustrzaną szafą. I naraz, jakby po raz pierwszy, uświadomiła sobie nieulegający już przecież wątpliwości fakt — była w ciąży. Jej taniutka, perkalowa sukienka obciskała się w biodrach, niemal pękała w szwach i zdawało się, że pod naporem piersi rozprują się od góry do dołu niedawno jeszcze potrzebne zaszewki. A te włosy!... teraz już nawet i papiloty nie pomagały. Rozkręcały się przy lada upale i zwisały niedbale nad czołem, za uszami. Ani ich obciąć, ani zaczesać.

I to właśnie taką ją zobaczy, bezkształtną, niezręczną, w tym komicznym, niemal karykaturalnym stanie, właśnie teraz, gdy będzie się z tygodnia na tydzień rozdymać i kiwać kaczkowato z boku na bok przechodząc z pokoju do kuchni. Czemuż przynajmniej go o tym nie uprzedziła? Czemu nie odwlekła tego przyjazdu?

Trudno, nie ma rady, teraz musi otworzyć.

Więc nagle, jakby dopiero teraz usłyszała, że stukał, żywo, pośpiesznie rzuciła się ku drzwiom, pchnęła palcem zaszczerpkę i otworzyła je na oścież, szeroko, jakby najpierw z myślą o bagażu, który trzeba będzie przez nie przepchać.

Tomasz stał oparty o spróchniałą poręcz galerii i poprzez zawieszoną na sznurach bieliznę patrzył w góry. Pięknie tu było. Pireneje rozciągały się szeroko i słonecznie, a poniżej widać było dolinę pełną sztywnych topoli i białych ferm. Tuż niemal pod galerią kłębiły się letnią zielenią drzewa.

Tomaszowi chciało się okropnie spać. Miał za sobą dwie bezsenne noce i prawie trzy dni upalnej drogi spędzonej w dusznych wagonach pociągu. Do tego był głodny i niecierpliwiło go pragnienie.

Wreszcie przecież otworzyły się drzwi i ktoś od nich zawołał: — to ty?

Oderwał się od balustrady. Jak to było?

Czy podeszła ku niemu, czy to on do drzwi przyskoczył?... Pewnie ją ucałował. Ona chyba też. Nie zdała sobie sprawy jak się w ogóle przywitali. Bo w tym momencie absolutnie nic nie odczuła, żadnej emocji, wzruszenia — nic. Ten ułamek chwili, tych kilka sekund były próżnią, białą plamą, niczym.

I znowu ów bagaż wysunął się na pierwsze miejsce. Zaczęła się naraz kłopotać o walizkę, usiłowała ją podnieść udawała, że ma zamiar ją wnieść. Plecak wywrócił się głupio na bok, rzemieniami do góry — Tomasz się ku niemu pochylił i zaczęli się oboje ruszać niezręcznie koło rzeczy, jakby wniesienie walizki i plecaka było sednem tego przyjazdu. A Tomasz był zmęczony i chętnie by to wszystko zostawił na galerii. Po cóż się matka przy tym upiera? Wreszcie się z tym uporali, ale tak bezsensownie i pośpiesznie, że teraz ten bagaż był po środku małej kuchni i tylko zawadzał.

Stali obok siebie i każde przemyślało w popłochu, co by to powiedzieć. Ale jakoś nic do głowy nie przychodziło.

— Może chcesz umyć ręce? — spytała wreszcie. — Weź ręcznik. Wisi za tobą na kołku. — Równocześnie myślała: powinnam była kupić toaletowe mydło na jego przyjazd. Jakże mu dać to proste, do prania?...

Ale Tomasz chyba tego nie zauważył. Otworzył kran, mydlił sobie ręce i rozpryskując wodę, chlustał nią sobie w twarz pełnymi garściami jak parobek przy studni.

— A, lepiej mi teraz — odrzekł z ulgą.

Żeby coś powiedzieć, spytała:

— Długo jechałeś?

— O, tak — uśmiechnął się.

Może by mu zaproponować, by coś przekąsił?

— Siadaj, siadaj, zaraz ci coś na prędcę przygotuję. — Zapaliła gaz i na razie postawiła na nim imbryk z wodą. Tomasz wszedł w drzwi pokoju, podszedł do stołu i wahał się nad odsunięciem krzesła. Wzięła ceratową torbę na zakupy i powiedziała, nie wiadomo dlaczego, po francusku: — *je retourne toute de suite, attends!*

Zbiegła po schodach i wyszła na ulicę z nagłym uczuciem ulgi. Chciała chwilę sobie spokojnie pomyśleć. Ale już była w sklepie i tu opadło ją kłopotliwe niezdecydowanie. Co kupić? Co wziąć? Czymże ma go przyjąć?

Od tygodnia przygotowywała sobie w myśli wyrafinowane, szczegółowe menu, którym miała go na powitanie uraczyć. Aż tu przyjechał w takiej poobiedniej godzinie i cały projekt, poczawszy od sałatki z majonezem, kończąc na placku z brzoskwiniami, wziął w łeb. Chaotycznie przebiegała oczyma po półkach sklepiku i żeby zyskać na czasie, mówiła do Madame Picot:

— Właśnie mój syn przyjechał... tak, teraz... nie, nie widzieliśmy się, zdaje się, coś siedemnaście lat...

— Ooo!... niesłychane! Jak to się stało? I co, poznała panią? — wykrzykiwała zdumiona.

— Tak, to znaczy nie... właściwie to od razu — bredziła bezsensownie — wezmę może puszkę groszku i proszę mi dać trochę holenderskiego sera.

— Wyrósł chyba?

— A owszem, wyrósł, wyrósł... Pewnie lubi morele, proszę mi dać kilo. Ach, nie mam ani kawałka cukru w domu!

— Co za emocja, mój Boże! Trzysta pięćdziesiąt franków — wybiegła za nią przed sklep.

— Ser... zapomniała pani o serze.

Zatrzymała się jeszcze w trafice, by kupić papierosy. A może on nie pali? Zapyta go. Na schodach zaczęło ją nagle mdlić, tak jak wtedy, gdy się ma ochotę coś zjeść, a potem zaraz wstręt ogarnia na samą myśl o jedzeniu. Miała ochotę zwymiotować, a nie mogła. Oparła się o poręcz i chwilę czekała. Zapomniała wziąć wino, ale co tam, nie wróci już do sklepiku. Powoli wspinała się na górę, a gdy znalazła się na galerii mdłości minęły. Zatrzymała się jeszcze chwilę przed drzwiami i weszła.

W imbryku wrzała niepotrzebnie woda. Przykrywka podskakiwała zabawnie, a przez dziób sykliwie uchodziła para. Tomasz stał przy stole.

— Czy palisz? — spytała, byle by coś wchodząc powiedzieć.

— Owszem.

Wyciągnęła papierosy i podając je Tomaszowi, dorzuciła: — francuskie. — Równocześnie pomyślała: wygłupiam się, czyż mogłyby być inne?

Wyjęła papieros, wymknęła się do kuchni po zapalki i podając Tomaszowi ogień, zapaliła swego, zaciągając się głęboko dymem.

— Ty też palisz? — zapytał ze zdziwieniem.

— O, tak, dużo. I to te mocne, ordynarne. — Znów ją zamdliło. Wyszła do kuchni. Wzięła ronderek, ale ten oczywiście był brudny. Z wyrzutem pomyślała znów o nieumytych naczyniach. Zabrała się do puszki z grochem, ale klucz do otwierania konserw gdzieś się przekornie zawieruszył. Znalazła jakiś inny, stary i tak niezręcznie było nim manipulować, że sobie przyszczypnęła palec. A właśnie chciała coś zagadać, z kuchni jakoś łatwiej poszłoby z rozmową. Może zapytać czy przejeżdżał przez Paryż, czy

zadowolony z podróży?... Ale zajęta swym palcem i puszką, rzekła tylko:

— Cóż u ciebie słychać? — Słyszała jak się zaśmiał, czy też chrząknął, a może się tylko namyślał. Po chwili odrzekł:

— Dobrze, wcale dobrze. — Potem dorzucił:

— Ale wiesz, z tym jedzeniem nie zadawaj sobie trudu. Daj mi byle co, wszystko jedno. — Znów go bowiem ogarnęła ciężka senność i nogi drętwiały zmęczonym bezwładem. Usiadł, oparł się łokciami o stół i czekał.

— Wolisz jaja na miękko, czy sadzone? A może lubisz ze skwarkami?

Ciągnęło się z przygotowaniem tego posiłku, chwyciła to to, to owo, traciła czas na niepotrzebne gesty, aż wreszcie niecierpliwie, byle jak, wyłożyła na półmisek i groszek i jaja, nie posoliła, zapomniała popieprzyć i przyniosła wraz z talerzem i sztućcami na stół.

Tomasz ocknął się. Znad półmiska uniósł się zapach przyrumienionego masła i poczuł teraz, że jest naprawdę głodny. Gdzieś tam w Lyonie kupił sobie w dworcowej restauracji chleb z kawałkiem pasztetu i to ledwo się o to dogadał, bo po francusku nie rozumiał ani słowa.

Raźno więc się teraz zabrał do jedzenia. Nie zauważył nawet talerza, więc przysunął sobie półmisek i jadł prosto z niego, nawet nie widelcem, a dużą łyżką, szarpiąc przy tym chleb z długiego bochenka.

— Tak, lubię bardzo groszek i jaja sadzone też — odparł dopiero teraz na poprzednie pytanie.

Ser holenderski został w kuchni, zapomniała go podać. Zresztą Tomasz jadł już morele, rzucając na pusty półmisek pestki.

— Może popijesz winem? — spytała.

— O, chętnie, mam okropne pragnienie.

— *Un moment, je viens toute de suite.*

Nic nie zrozumiał, przecież wcale nie znał francuskiego. Zorientował się tylko, że matka szukała czegoś w kuchni, wreszcie, omijając z butelką w ręku plecak i walizkę, wyszła. W milczeniu, wgrzając się w soczysty miąższ mo-

reli, rozglądnał się po pokoju. Rzuciło mu się w oczy mnóstwo szczegółów, których nie znał, które były mu obce i tym go od razu pokój znużył. Skierował wzrok ku oknu. Było ono w przeciwieństwie do galerii od strony ulicy. Naprzeciw stał piętrowy dom o otwartych szeroko oknach, a w głębi jednego z nich jakaś młoda kobieta prasowała ciemnoniebieski fartuch.

Po chwili wróciła i postawiła na stole wino. Tomasz złapał butelkę i z bulgotem napełnił sobie szklankę. Pił dużymi łykami, niemal się zachłystując, przechylając lekko w tył głowę. Było dobre, trochę gorzkawe, orzeźwiające.

— To francuskie? — spytał machinalnie.

— Tak, zwykle tutejsze wino. Chciałam wziąć jakieś lepsze, ale się na tym nie znam.

— Dobrze — orzekł. Znów zabułgotało. Łyk za łykiem głośno przemykał przez uwypuklone gardło. Odstawił pustą szklankę i powtórzył:

— Dobre to wino.

W pokoju było duszno, przez otwarte okna z ulicy przelewał się gęsty żar. Spojrzała na zegarek i rzekła:

— Już prawie trzecia.

— Chyba się śpieszy — zauważył. Równie dobrze powiedziałby: pewnie się spóźnia. Czyż nie wszystko jedno mu było, która godzina.

Po tym winie ogarniało go spokojne, dobre rozleniwienie. Wsunąwszy ręce w kieszenie, przechylił się lekko wraz z krzesłem i teraz dopiero spojrzał na matkę. Siedziała podparłszy brodę o rękę, zwrócona twarzą ku oknu i patrzyła na sąsiedni dom. Miała zmęczone oczy. W tym momencie zwróciła ku niemu twarz, jakby chciała go o coś spytać. Opuścił wzrok na ceratę, zawikłując się w jej kratkowany wzór. Nie unosząc głowy spytał:

— A jak z twoim zdrowiem? Dobrze się czujesz?

— Tak sobie, właściwie teraz to nie bardzo. — Mimo woli owo „teraz” wypowiedziała z naciskiem. Podchwycił to.

— Chcesz powiedzieć: dzisiaj?

Ogarnęła ją nagła chęć, by mu to od razu, nieoczekiwanie i krótko powiedzieć. Zawahała się tylko nad formą. Nie chciała bowiem użyć wyrażenia — ciąży. To słowo w jej pojęciu było nabrzmiałe czymś w rodzaju fizycznej ułomności. Chwilę się więc wahała, aż rzekła:

— Oczekuję teraz maleństwa.

Nie podniósł nawet głowy i oczyma przebierał wciąż w barwnych kratkach ceraty.

Czekała, że coś powie, jakoś zareaguje. Po chwili podniósł na nią oczy i rzekł wolno:

— Nigdy mi to do głowy nie przyszło.

Machinalnie wyciągnęła rękę po papierosa.

— Może byś chciał się przespać, musisz być zmęczony po tej podróży — rzekła zachęcająco.

Podchwycił tę propozycję z ulgą.

— O, tak, chętnie bym się teraz zdrzemnął.

Z przygotowaniem posłania nie było kłopotu. Jej obie dziewczynki były na wakacyjnej kolonii. W ich pokoiku łóżka stały wolne i zasłane. Alkova była oddzielona od kuchni drewnianym przepierzeniem i miała okno na galerię. Było w niej dziecinnie, zabawnie, miło. Na ścianach wycinanki, rysunki pełne koślawych dziwadłał, tu i ówdzie jakaś lalka w fantastycznie kolorowych gałgankach, na prymitywnej etażerze zeszyty, powyrywane kartki, bibuły, zapomniany ołówek obgryziony u końca. Tomaszowi zdawało się, że w tym małym pokoiku czają się jeszcze po kątach jakieś psoty i śmieszki.

W momencie, kiedy chciał się nieco uważniej przyrzeć sandałowi, który ukradkiem wysunął spod komody swój wytarty czubek, usnął na dobre.

Zmiałała cichutko okrucy ze stołu. Bez szmeru doprowadziła do ładu kuchnię, zmyła naczynia i teraz namyślała się do czego się zabrać. Czyż mogła, jak w zwykły dzień, zasiąść do szycia, rozłożyć się z prasowaniem, albo zacząć pranie? Doprawdy nie wiedziała co dziś robić. Otwierała bezsensownie szuflady, czegoś szukała, coś układała i tak głupio przeszło popołudnie, męcząc gorącem i tym nieoczekiwanym próżnowaniem.

Pod wieczór wyszła na galerię. Nie było już bielizny na sznurach i w mroku dostrzegało się szerokim półkřęgiem rozwalone pasmo Pirenejów. Góry pełne były zakamarków i bruzd, w których układały się granatowe cienie. Poniżej, w rozrzuconych na stokach fermach zapalały się tu i ówdzie światła, migocząc, jak upadłe na zboczce gwiazdy. Z ogrodu, tuż pod galerią, zanosilo duszno wonią akacji i monotonnym szmerem cykad.

Na galerii było pusto. Ale zza różnych drzwi dochodził odgłos kolacyjnej krzątaniny. Tam brzęknięto widelcami, tu ktoś szurgnął krzesłem, zasyczał na patelni gorący tłuszcz, zaleciało zapachem cebulki. Jakiś bachor oberwał klapsa i wyrzucono go za drzwi. Wystraszony ciemnością galerii dobijał się, walił pięściami, krzyczał — więc mu zaraz otwarto.

Usiadła przy oknie na pace od węgla. Chciała zapalić, ale papierosy były w kuchni. A gdy tak siedziała beczynn timer osaczały ją raz po raz nierozumne i zuchwałe myśli, których nie trzeba, nie wolno tak bezkarnie dopuszczać. Od nich tylko źle i nieswojo. Nie wiadomo potem czego się chwytac: tego co było?... tego co jest?... Wspomnienia przywlekają z sobą niepokój. Lepiej je za każdym razem otrzeć z czoła tak, jakby ich nie było. I tak to wszystko nie wróci. Ważne, nieuniknione, istotne jest tylko „teraz”. Wspomnienia lepiej odepchnąć w kąć. Mój Boże, dziś nie sposób się od nich opędzić. A przecież to było tak już dawno. Może w ogóle nie było.



Bo jakieś dwadzieścia lat temu nazywała się Hanka. Ale o tym nikt tu nie wiedział, zresztą nikomu nie przyszło na myśl się o to pytać. Mówiono tu o niej: „Madame Lacrampe” — a ta przecież nie mogła mieć nic wspólnego z ową Hanką.

Wtedy, gdy mieszkała we Lwowie, miała chyba dziewiętnaście lat. Akurat tyle, co teraz Tomasz. Niewiarygodne, jak ten czas mija.

Lwów, Lemberg, Lwow... gdzie to teraz jest? Chyba tylko na jakiejś mapie. Dawniej przecież tam żyła, miała swój dom, rodzinę. Pamięta doskonale adres: ulica Sapiehy 52 mieszkania 3. Można tam było ze śródmieścia dojechać „jedyńką”, „ósemką”, „trójką” — jak się chciało. Ożywiona to była ulica. Zresztą prowadziła na Główny Dworzec.

Mieszkali na pierwszym piętrze. Schody były szerokie, solidne, a na każdym zakręcie, w kącie, stała ogromna skrzynka z fikusem. Dzwonek przy drzwiach był metaliczny, dźwięczny. Domownicy naciskali dwa razy krótko, raz długo. I wtedy wiadomo było, że to ktoś ze swoich za drzwiami.

Hanka miała dwie siostry, a ta starsza, Irena, była doprawdy prześliczną dziewczyną. Zresztą wiedziała o tym i lubiła się sobie długo, uważnie przyglądać, stwierdzając z satysfakcją, że posiada „coś” z typu węgierskiej urody.

Gdzież się ona teraz podziewa? Czy żyje? Musi mieć chyba przeszło czterdzieści lat.

Była zarozumiała, a mimo to zabawnie nieśmiała. Nawykła do budzenia zachwytu, zwracania ogólnej uwagi, przyciągania spojrzeń, czuła się tym skrępowana, bo nieustanie o tym myślała. Miała więc coś ze sztywności manekina, którego rola ogranicza się do prezentowania efektownej kreacji, urody, szyku i który ma nieustanną tremę wobec widzów.

Zapisała się na uniwersytet i studiowała chemię, która jej absolutnie nie interesowała. Ale trzeba przecież było wybrać jakiś fakultet. W środowisku studenckim nie czuła się dobrze. Podziwiano ją, schlebiano, ale o koleżeństwie czy przyjaźni nie było mowy. Nazywano ją „markizą” i była raczej poza nawiasem ogólnego współżycia.

Śmieszna, zgubiona wśród ludzi Irena! Jak ona chciała się zaręczyć! Czy to miało być panaceum na trudności życia? Ale od kandydatów nie roziło się. Pojawił się wreszcie pewien porucznik. Był giętki, szczupły i doskonale się

prezentował. Ale głupota jego przechodziła doprawdy wszelkie granice. W dodatku miał perkaty nos i nazywał się Gąsiorek. Przytaskał z sobą do domu patefon i kilkanaście płyt z najnowszymi przebojami. Że nie było z nim o czym mówić, więc tańczyli, tańczyli i uczyli się na pamięć bezsensownych refrenów. Po miesiącu z sobą zerwali. Porucznik zabrał patefon, zabrał płyty. A ojciec odetchnął, bo ten Gąsiorek okropnie mu działał na nerwy.

Potem Irena miała jeszcze wielu narzeczonych — byli to kolejni goście „kolacyjni”. Jakiś podstarzały sędzia ze śladami ospy na twarzy, dziennikarz milczący i oswiały, właściciel ohipotekowanego majątku — któżby ich tam spamiętał. Byli swego rodzaju urozmaiceniem i atrakcją domowego życia, toteż nikt tego Irenie nie wyrzucał. Czy też w końcu wyszła za mąż?

Jaśka twierdziła, że na pewno zostanie starą panną. Ale jej paplaninę puszczano mimo uszu. Jaśka była z nich trzech najmłodsza. Smarkata, „powszechniaczka”. Chodziła jeszcze z tornistrem do szkoły i bawiła się zielonym szkielem w klasy. Była jasna, różowa, błękitnooka i świeżutka. Nosiła krótkie, rozdokazywane warkoczki i co tu dużo mówić, lubiła dokuczać Irenie.

Miały bowiem wspólny komfortowy pokój, a Jaśka była roztrzepana, nieporządna i robiła w nim okropny bałagan. To doprowadzało Irenę do szału. Wtedy Jaśka zuchwale i prowokująco wyzywała ją od zdziwaczałych maniaczek i twierdziła, że pedanteria prowadzi nieodzownie do staropanieństwa. Irena na pozór nie reagowała, któżby dyskutował z taką głupią kozą? Ale psuło jej to humor na resztę dnia.

Podobno Jaśka była deportowana na Syberię. Kto wie co się z nią stało. A tak bardzo nie lubiła mrozów. Miała przecież odmrożone nogi. Kiedy wracała ze szkoły, odsznurowywała z płaczem buciki i biegała w skarpetkach po pokoju, a co najgorsze, przygrzewała sobie nogi przy kaflowym piecu. Uszy też jej marzły okropnie. Zima była dla niej koszmarem.

Rodzice Hanki byli, jak to mówiono, małżeństwem dobranym, które żyło spokojnie, bez zgrzytów, zgodnie. Ale Hanka przecież wie, ile matka się nacierpiała po ci-chutku i z rezygnacją, nigdy się nikomu nie skarżąc, zno-sząc oryginalność i despotyzm ojca. Jeśli gdzieś jeszcze żyje, to chyba tak samo cierpliwie i spokojnie, z pobożną myślą o woli bożej, której tak czy inaczej należy ulec. Chyba już z niej dziś staruszka.

A ojciec? — Kto wie czy przeżył.

Hanka bała się go, ale jakże go podziwiała. Szkoda, że nigdy mu nie okazała jak ogromnie była do niego przy-wiązana. Nie ma jego fotografii, a przecież tak dokładnie pamięta jego twarz, rysy, oczy — zdaje się, że unosi głowę znad gazety i patrzy na nią.

Pochodził ze szlacheckiej, kresowej rodziny roz-partej szeroko gdzieś na Besarabii, na swych rozległych włościach, kiedy wojna, a potem bolszewicka rewolucja rozegnała ją na cztery wiatry. Ojciec znalazł się we Lwo-wie. Został urzędnikiem, wprawdzie wyższej rangi, na-czelnikiem jakiegoś tam wydziału, ale zaczęła się dla niego biurowa egzystencja, która go przychwyciła w swe służbowe, twarde tryby.

Skrupulatny, mądry, pełen inicjatywy i autorytetu, wywiązywał się ze swej pracy doskonale. Wybijał się, jak to mówiono. Oczywiście nie obeszło się bez biurowych szykan i intryg, którymi usiłowano go perfidnie wygrzyść z zajmowanego stanowiska. Nienawykły do hipokryzji i oportunistów, lojalny, raczej koleżeński i usłużny, dawał się naiwnie tymi intrygami opajęczać. Dopiero, gdy aluzje stawały się zbyt wymowne, dostrzegał skonsternowany, że atmosfera zagęszczała się koło niego fałszem i nieprzy-jaźnią. Wtedy go dusiło, ogarniała ohyda wobec pracy, wobec podwładnych i zwierzchników, wobec jego bezsen-sownej kariery, ogarniał wstręt do biurowego otoczenia, do zgrzytów i nieporozumień, którymi zatłaczał się jego urzędniczy dzień.

Popadał wówczas w neurastenię. Kładł się do łóżka, nie jadł, nie golił się, nie chciał widzieć nawet matki.

gdy mu podsuwała na tacy obiad, mowy nie było o sprzą-taniu jego pokoju. Całymi dniami leżał i czytał.

Kryzysy te kończyły się nieodmiennie w ten sam sposób. Z biura poczynano alarmować. Chodziło o jakiś raport czy podpis niecierpiący zwłoki i woźny przychodził co rana z zapytaniem: „jak zdrowie pana naczelnika?”.

Matka usiłowała desperacko pod takim czy innym pretekstem zjawić się w pokoju „chorego”, zagadać, namówić, ale bezskutecznie. Odwracał się do ściany i, jak przekorne dziecko, udawał, że śpi. Wtedy chwytala się ostatecznego, wypróbowanego już zresztą sposobu. Wzy-wała lekarza. Wówczas istniał jeszcze typ tak zwanego domowego lekarza. Gdy przychodził, był zarówno gościem, jak lekarzem. Nie wiadomo było czy po niego zatelefo-nowano, czy też tak sobie wstąpił „przechodząc” i wobec ojca można było zawsze użyć tego wybiegu.

Gdy więc matka oznajmiała mu mimochodem, że „dr Zalewski do nas zawitał”, unosił znad poduszki głowę i ukazywał wreszcie swą obrośniętą twarz.

— Cóż, mamy dobrą minę, co słyhać?

— Nosa z domu nie wysuwam — orzekał ojciec. — Niechże pan siada.

Rozgadywali się na dobre i z pokoju dochodziły frag-menty ożywionej rozmowy. Doktor wybuchał czasem głośnym, udzielającym się mimo woli śmiechem i wytrząsał z siebie chętnie uzbierane na mieście i z gazet nowiny. Po jego wyjściu ojciec wstawał, szedł do łazienki, golił się, pogwizdywał, jadł z humorem kolację, a nazajutrz, niby nigdy nic, szedł do biura.

Hanka może była najbardziej wyrozumiała dla tych jego nastrojów. Nie mogła tylko zrozumieć dlaczego ojciec, posiadając doprawdy niezwykły talent literacki, nie pu-szczał kantem tej biurowej harówki, by zrobić raczej ka-rierę publicystyczną. Może w swej admiracji dla ojca przesadzała wyobrażenie o jego w tym kierunku zdolno-ściach, ale przecież to, co od czasu do czasu pisał, dru-kował, było niezwykle ciekawe, oryginalne, a styl ojca był

bezsprzecznie bardzo indywidualny. Tylko, gdy mu się z jakimś artykułem udało, gdy redakcja danego pisma prosiła o dalsze, nalegała o współpracę, wtedy przestawał pisać, milkł i dużo czasu mijało zanim się znowu do czegoś zabrał.

Hanka zauważyła, że w jej rodzinie był to objaw bardzo charakterystyczny. Ileż to razy słyszała, że stryj czy kuzyn, albo ktoś inny, był na „niewłaściwym”, jak to się mówiło, miejscu, że powinien był robić to, a robił tamto, że nadawał się do tego, a wykorzystywano go do tamtego. Jednym słowem, marnował swe zdolności, zaprzepaszczał swój talent. „Ach ten Jerzy, przecież to urodzony dyplomata, cóż on robi w tej prowincjonalnej spółdzielni”, albo „ciotka Alicja. Swego czasu grała tak świetnie na wiolonczeli, że zdawałoby się, że zostanie wirtuozem. Wiecie co robi? Sprzedaje cały dzień obuwie w firmie Wolski na Grodzkiej”.

Może był to brak praktycznego zmysłu, czy po prostu życiowego sprytu, którego byli pozbawieni. Faktem było, że każdy z tych ludzi przewekslowany na jakiś inny tor niż potrzeba, czuł się życiowo zrujnowany, rozlubowywał się w swoim tragizmie i nie był zdatny do wysiłku, który by ten stan rzeczy zmienił.

Hanka przyrzekała sobie zastosować inną taktykę życiową. Ona nie da się przez los nabrać! Ma wybitne zamiłowanie do malarstwa i zostanie artystką. Decyzję tę podejmowała stanowczo i zarozumiale. Wyobrażała już sobie wystawy, na których podziwiają jej dzieła, wywiady udzielane prasie, stosunki w artystycznych kołach, atelier. Na Boga, przyszłość ją czeka! Czas by o tym pomyśleć.

A tu miała przed sobą jeszcze konkurs na przyjęcie do Akademii Sztuk Pięknych. Prawdę mówiąc do roboty się nawet nie zabrała. Była wiosna — jakże tu pracować.

Gdy przyszedł termin wstępnego egzaminu nie była wcale przygotowana. Ale zgłosiła się tak na wariata, a nuż się uda. Miała zazwyczaj szczęście, była pewna

siebie, no i wierzyła w swój „talent”. Ale właśnie odrzucono ją.

— Ha, nie miałam protekcji — orzekła tragicznie w domu. — Było mało miejsc, niezliczone mnóstwo kandydatów, więc odwalili tych z prowincji, by oczywiście uprzywilejować Warszawę. Trzeba mieć wszędzie protekcję — tłumaczyła przekonująco znajomym.

Po kilkudniowym namyśle postanowiła, że zajmie się fotografią. To przecież też swego rodzaju sztuka. Szczególnie, gdy ktoś ma artystyczne uzdolnienia. Hanka w to nie wątpiła.

Tylko, że w owych czasach nie było jeszcze szkół tego typu. Trzeba więc było zacząć od tak zwanej czeładniczej praktyki. Wcale to się rodzicom nie podobało. Ot, jeszcze jedna, która marnuje swe możliwości. Ale Hanka tak entuzjastycznie przedstawiała swój projekt, takie zawrotne perspektywy roztoczyła. Artystyczny portret, ilustrowanie książek, technika filmowa, mikrofotografia — tylko wybierać w tych interesujących karierach, do których trzeba talentów, artystów, geniuszów!

Tymi spontanicznymi wywodami nie tyle przekonała, ile dosłownie oszołomiła swych rodziców. Matka odszukała w śródmieściu tzw. artystyczny zakład o ogromnej witrynie i zwierzyła się właścicielowi z zamiarów swej córki. Była zażenowana i niepewna. Fotograf, poczciwy starowina, może kiedyś artysta, teraz zrujnowany reumatyzmem człowieczek, zapewnił skrupulatnie, że zaznajomi córkę z zawodem, który, jak twierdził, nie tylko był płatny, ale i niezwykle godny uwagi.

Zaczęła się więc owa praktyka. Całymi dniami Hanka retuszowała legitymacyjne fotografie. A że miała dobry wzrok, zdecydowano w zakładzie, że właściwie do tego się najlepiej nadaje. Bądź co bądź, miała pędzelek w rękę, więc czuła się trochę „artystką”.

Ta praktyka według regulaminu Izby Rzemieślniczej trwać miała trzy lata, ale skończyła się po dwóch miesiącach.

Hanka wyszła za męża.

Było to coś tak nieprzewidzianego w jej programie, zdecydowała się na to tak szybko i bez namysłu, że nie miała czasu z myślą o tej zmianie się oswoić. Może kociło ją, by puścić kantem retusz w zakładzie Herberta, może chciała zaimponować Irenie, albo wymigać się spod oka rodziców, którzy jej zdaniem zbyt ją w garści trzymali. Kto wie... Wyszła za męża i nawet nie zdążyła się zakochać. Szczęściara — jak mówiła Irena. A o wszystkim zdecydował przypadek. Hanka zimą uprawiała z zapalem narty i należała do sportowego klubu. W jednym z takich niedzielnych wypadów do Worochty poznała doktora M. W kolejce górskiej, w której, jak sobie przypomina, było okropnie zimno, znalazła się na ławce obok niego.

Śpiewano, żartowano, pokrzykiwano, a doktor M., który w tej wyprawie uczestniczył jako instruktor, siedział sobie, patrzył i uśmiechał się. Czasem pytał Hankę czy jej nie zimno. Odpowiadała byle co, śmiała się, pokrzykiwała, śpiewała jak inni.

W schronisku, kiedy się zaczęto przygotowywać do wyjazdu na stoki, była, jak zwykle, trochę speszona. Kiepsko bowiem jeździła i wstyd przyznać — tchórzyła przed każdym zjazdem. Wyobrażała sobie już z góry, że zaczepi o każdą sosnę, wywali się o pierwszy lepszy pniak, spartaczy na zakręcie. Toteż ociągała się, zostawała przezornie w tyle. Byle tylko odwlec ten krytyczny moment, gdy będzie musiała w białej kurzawie, w zawrotnym pedzie opanowywać strach, od którego jej słabły kolana.

Doktor M. jeździł wspaniale. Był wprawdzie raczej niski, krępy i jego zjazdy nie były tak eleganckie i efektowne jak wyczyny młodych, muskularnych i giętkich chłopaków. Posiadał jednak doskonałą technikę, która mu dawała niezwykłą swobodę i pewność ruchów.

Hance wydał się po prostu asem.

Widowała go potem często, tak chyba chciał ów przypadek. Okazało się, że poza nartami, interesowało go malarstwo, fotografia, ba, nawet i retusz. Podzielał jej pasje,

zajęcia. Odgrażała się przed nim swemu losowi i opowiadała mu o karierze, którą „musi, ale to musi” zrobić.

Ani się opatrzyła, jak stał się prawie codziennym bywalcem w domu. Co dziwniejsze, nadśłuchiwała czasem jego kroków na schodach i nauczyła go dzwonić: dwa razy krótko, raz długo.

Któregoś dnia zapytał poważnie, bez żadnych wylewów i niepotrzebnych frazesów, czy wyszłaby za niego za męża.

— Czemu nie — odparła bez wahania.

A to zbałwanieją w domu jak im o tym powie!

Rodzice, a szczególnie matka, z trudem ukrywała swe zadowolenie. Doktor M. podobał im się, polubiła go. Był inteligentny, poważny, miał sytuację. Wprawdzie medycyna mało go interesowała, ale miał dobrą klientelę. Odziedziczył ją bowiem wraz z nazwiskiem i gabinetem po swoim ojcu, który swego czasu był bardzo poważany w sferach lekarskich i przez długi okres pełnił funkcję dyrektora w jednym z sanatoriów. Doktor M. miał opinię skrupulatnego lekarza. Przekroczył już trzydziestkę, Hanka wyglądała przy nim bardzo „kozowato”. Kto wie, czy i z usposobienia taka nie była.

Co za hece były z nią przed samym ślubem! Bo w ostatnim dniu coś jakby stchórzyła. Zupełnie jak przed tymi zjazdami w górach. Uparła się więc, że pojedzie na ślub tramwajem, bo nie chce widzieć ani zbiegowiska ani aut przed bramą. Potem orzekła, że „za nic, ale to za nic” nie włoży kapelusza. Mowy o tym nie ma. Próżno Irena perswadowała, próżno matka tłumaczyła, że nie może w takim momencie pokazać się ludziom w berecie. Wystarczy, że już w tym swoim granatowym płaszczyku wygląda jak sztubaczka. Do czegoż to podobne!

Wreszcie ojciec, chcąc ją zdecydować, orzekł przyjaźnie:

— Chodź, kupimy razem ten kapelusz.

Nie chciała mu odmówić. No i poszli, wybrali. A raczej złapali pierwszy lepszy, bo ich ekspedientka tak otu-

maniła, że się chcieli prędko zabrać. Było to „coś okropnego” — jak orzekła zgorszona Irena.

Ale, żeby nie urazić ojca włożyła ten kapelusz, włożyła w dzień swego ślubu i pamięta go jeszcze teraz, jakby to było dziś. Był oczywiście z woalką i w którąkolwiek stronę głową poruszyła widziała przed oczyma jej niebieski cień. Ta nieznośna mgiełka była nie do wytrzymania i drażniła ją przez całą ceremonię. Zrobiło jej się smutno i miała ochotę się spłakać. Wolałaby, żeby się to już wszystko skończyło. A tu proboszcz dopiero się odwrócił od ołtarza i zaczął przemawiać. Mówił o nich co chwila: małżonkowie, małżonkowie — to było żenujące, a przed oczyma chybotą się wciąż woalka.

Wreszcie już było po wszystkim. W kaplicy zrobiło się tłoczno, bo wszyscy zaczęli się naraz ruszać, ścisnąć sobie ręce, zamieniać półgłosem powitania i zrobił się z tego towarzyski rozgardiasz. Hanka, korzystając z tego wymknęła się ku wyjściu i znalazła się na szerokich stopniach kościoła, przed dziedzińcem o oszronionych drzewach, wdychając z ulgą mroźne powietrze. Wtedy dopiero zauważyła, że przed otwartą na oścież bramą czekało trochę ludzi. Zaczęli już marznąć, przytupywać, zbijali się w gromadki. Wyszli z końcem mszy, by przy żelaznych sztachetach oczekiwać na wyjście młodej pary. Była to ciekawska, parafialna publiczność, która nie przegapiłaby takiej ceremonii jak ślub.

Naraz więc Hanka zdała sobie sprawę, że to na nią właśnie czekano. I zrobiło jej się głupio. Zwróciła się w stronę kościelnego wnętrza, ale przez tę szkaradną woalkę dostrzegła tylko migotliwość światła. Wahała się czy nie czmychnąć tam z powrotem, by zamieszać się w ów ślubny tłum, ale właśnie ktoś ją chwycił za ramię.

— Ze też ty nawet w taki dzień musisz się czymś wygłupić — mówiła matka. Ale w głosie jej nie było ani krztyny wyrzutu. Ujęła ją za ramię i ucałowała w chłodem zaróżowiony policzek.

Zjawił się i doktor, wziął ją pod rękę i zeszli wolno po wyjściowych schodach. Przy bramie minęli grupki,

w których nastąpiła konsternacja. Ten cały elegancki tłum skierował się na przystanek tramwajowy, gdzie przytupując z zimna nogami czekali na „jedynekę” — a ta oczywiście zwlekała z pojawieniem się.

Kto by to pomyślał. Znano doktora w dzielnicy, wiedzieli przecież, że ma auto.

— A to wszystkie państwo, to też ludzie szanowne — mówiła Katarzyna do Matyldy. — Widział to kiedy kto: na ślub tramwajem się taskają!

Cóż, kiedy Hanka miała swoje wybryki. Doktor jej ulegał. I to nie tylko tego dnia, ale i potem, przy każdej okazji, w każdym drobiazgu. Liczył na to, że spoważnieje, zrównoważy się — na razie pobłażliwie się uśmiechał, potem się przyzwyczaił.

A Hanka „wodziła go za nos”, jak mówiła Irena. Ale do czasu — dodawała pośpiesznie.

Czy to możliwe, że było jej kiedyś tak dobrze? Nie miała trosk, materialnych kłopotów. Twierdzi się na ogół, że komfort życiowy, to rzecz raczej drugorzędna. W każdym razie nie najważniejsza. To nieprawda. Gdy go brak, myśl o komforcie staje się niemal obsesją. Wspomnienie doznanego komfortu bawi jak bajka, do której się nieustannie powraca. Dobrze o tym myśleć.

Pieniądze to wszystko — niechże kto powie, że nie!

Można sobie było, co roku, planować wakacje za granicą, medytować nad kolorowymi prospektami, wybierać dowolnie trasę. Tyle to dawało wrażeń, spostrzeżeń, przeżyć. Ileż to lat, jak nie miała już wakacji? Chyba ze dwadzieścia. I miała przy sobie człowieka, któremu tak ufnie mogła powierzyć swe myśli, projekty, ambicje, z którym można było o wszystkim mówić, dyskutować. W razie jakiejś trudności czy wahania wystarczyło tylko egoistycznie, z zamkniętymi oczami zdać się na jego decyzję. I pewne było, że wszystko ułoży się pomyślnie.

Byłoby się tak Hance żyło, kto wie ile czasu, ile radosnych lat. Czy komuś jeszcze brak coś na ten temat? Wystarczy powiedzieć: wojna. A potem ten okropny

reżym, reżym okupowanego przez Sowiety kraju. O tym też nie da się pisać. Bo ten, kto tego dniami, nocami, o tak, szczególnie nocami, nie przeżył — nie uwierzy. A ten kto tam był, widział, uciekł — woli już o tym nie myśleć.

Tylko czasem w głowie się nie mieści, że jedna noc, jedna godzina może zwalić w gruzy, w miazgę, aż do samej ziemi, ludzką egzystencję.

Było po północy, kiedy z łomotem wtargnęli do mieszkania, by zabrać doktora. Czekali na niego już od miesiąca. Czemuż tego nie przeczuł, nie uciekł?... Mógłby się przecież ukryć. Cóż z tej całej konspiracji, nic, nic — wszystko było na darmo. Ale on wtedy wierzył w tę swoją sprawę. Wierzył do kiedy? Czy nawet, gdy w suterenach Brygidek, sparaliżowany, storturowany postradał już zmysły? Gdy w agonii nie wyczuł już nawet śwędu pożaru, w którym wszyscy ci, których rozstrzelać nie zdążono, zginęli?...

Nie trzeba o tym mówić. Nie wolno. Bo myśli gotowe się w głowie splątać w jakiś bezrozumny kołtun, który trzeba będzie wyszarpać. Lepiej, by czucie, gdy się go dotknie, było chłodem jak sople lodu. Nie myśleć.

Tylko jedno tym razem wraca jej jeszcze natrętnie. Tej nocy w bambusowym łóżeczku tuż koło pieca, obudził się mały. Otworzył senne oczy, uniósł głowę, wysunął się spod kołderki.

— Co się tu dzieje? Tyle ludzi szurgających hałaśliwie nogami. Staął, opierając się rączkami o poręcz i patrzy. Z szaf, z półek, z szuflad wylatują na ziemię wnętrzności, rozlatują się po dywanie, a w nich szperają grube, szybkie ręce. W hallu coś się rozbiło i rozpada się w drobnitkie kawałeczki. Czemuż ci ludzie mają okrycia koloru ziemniaczanych worków? Ojciec jest w płaszczu, pewnie idzie sobie. Przystaje przy poręczy łóżeczka. Tomasz bawi się przez moment guzikiem jego płaszcza — jest okrągły, duży, może go oderwie? Ale naraz wszyscy się zabierają, idą korytarzem i nagle cicho. Nie ma już nikogo.

Ale mama tu stoi. Nie rusza się, tylko stoi.

Tomasz unosi się trochę przez poręcz.

— Mama, siusiu chcem.

Więc bierze go na ręce i sadza na nocniczek.



— *C'est vous, Madame Lacrampe?* Tak po ciemku, sama? Uff... dobrze odetchnąć wieczorem po tym upale.

— O, tak.

— Nogi mi od tego gorąca opuchły.

Madame Duval zawsze coś dolegało. Swym ogromnym, spoconym cielskiem osiadła ciężko na skrzyni.

— Nie wiem, czy mi się tak zdawało... zdaje się, że ma pani jakąś wizytę? Mimochodem zauważyłam kogoś, kto tu stał. Od razu sobie powiedziałam: oho, to do Madame Lacrampe.

— Tak.

— Do pani?

— Do mnie.

— A któż to taki? Może jestem niedyskretna...

— Ależ nie.

— Znajomy?

— Mój syn.

Skrzynia zatrzeszczała, jakby jej wieko nie mogło znieść gwałtownych poruszeń.

— Jak to?... cóż to pani mówi... o żadnym synu nikt tu nie wiedział. — Madame Duval miała sapkę. Jej słowa i oddech nawzajem sobie przerywały.

— A przecież tu jest, przyjechał.

— I co, tak nagle?... a skąd?... oczekiwała go pani?

— Chyba tak.

— Mówi pani: chyba. To nie było pewne? Nie pisał?

Nie zawiadomił?

— Miałam depeszę.

— A więc czekała pani? Wiadomo było, że to dziś?

— nalegała z natarczywością.

— No, tak.

Madame Duval rozpięła swą bluzkę i zsuwała ją z pulchnych ramion, by się orzeźwić.

— A to dopiero. Któż by to przypuszczał, nie, do-prawdy, to wprost niewiarygodne — monologowała poś-piesznie — i to taki duży chłopak. Ileż ma lat?

Nic, oprócz lakonicznych odpowiedzi. No pewnie, chyba ją to krępuje. Ni stąd ni zowąd zjawia się syn. Nikt o nim nie wie...

— Mój Boże, a cóż na to Monsieur Lacrampe? — wyrwało się jej bezwiednie.

— Późno już, chyba pójdę spać.

— Co? — wykrzyknęła, dysząc coraz szybciej — spać?

— On też już zasnął.

— A ja się nie mogę ruszyć z miejsca — oświadczyła z wyrzutem. — Emocja obezwładnia mi kolana. Przy mojej tuszy...

— Dobranoc.

Zamknęła drzwi na klucz. Chwilę się zawahała nad zapaleniem światła. Cicho uchyliła drzwi alkowy. Mogłaby mu się teraz przypatrzeć. Ale, gdy się tak bezgłośnie zbli-żała na palcach, ogarnęło ją zażenowanie i wyszła. Zda-żyła tylko zauważyć, że odrzucił na podłogę pled i spał oparłszy głowę o skraj poduszki, zwieszając bezwładnie rękę poza krawędź łóżka. Oddychając wydymał dziecinnie wargi.



Była już sobota rano. W tym dniu zazwyczaj po-południu przyjeżdżał Mark, by spędzić w domu niedzielę. Powiedziała to właśnie synowi przy śniadaniu.

Zdziwił się. Kim był Mark?

— To przecież mój mąż.

— Ach, prawda — wiedział coś o tym niejasno z paru lakonicznych listów, które z sobą wymienili przed jego przyjazdem. Że mąż jej nazywał się Mark, to był tylko nieważny szczegół.

— A gdzież on teraz jest?

— W górach — odrzekła, po czym dorzuciła wyjaśniająco. — Koło granicy hiszpańskiej buduje się teraz ogromna centrala elektryczna. Zatrudniono przy tej budowie dość liczny personel.

— Ciekawa praca. Jest zapewne tam jednym z inżynierów?

— Nie.

Po chwili milczenia powiedziała:

— Mark to robotnik, zwykły, niefachowy robotnik. Ma najgorszą robotę. Wspina się na ogromne stalowe pilony naciągając druty linii wysokiego napięcia.

Powoli pił gorącą kawę.

— Dlaczego tak się stało, że jest...

— Że jest robotnikiem? — urwała mu podstępnie.

Przytaknął, choć nie o to przecież mu chodziło.

— Czyż można coś wybudować bez robotników? Tacy, jak Mark też są potrzebni. Cóż by to było, gdyby wszyscy nosili się z dyplomami inżynierów w kieszeni — dodała z odcieniem lekkiej ironii.

— A zresztą nie każdemu się w życiu układa. Są tacy, którzy rodzą się i z góry już wiadomo, że będą robotnikami. Taki ich los i nie może być inaczej — zdawało się, że na tym miała ochotę urwać rozmowę. Więc, by utrzymać jej wątek, rzekł:

— Ciężka musi być ta praca.

— Ciężka i źle płatna. Przy tym bardzo niebezpieczna. W górach było już dużo wypadków — w głosie jej było stroskanie.

Tomasz to sobie wyobrażał: mnóstwo, mnóstwo mrówek na stoku górskim, istna masa, ruchliwa, zaabsorbowana, spracowana. Spojrzeć z bliska, a każda z tych mrówek to człowiek. Jedną z nich był Mark.

— Dawno on już tam pracuje? — spytał z roztargnieniem.

— Nie, od wiosny. Przedtem był u ogrodnika. Sadził mu jarzyny i tuczył prosiaki.

Jeśli by Tomasz zapytał: a przedtem?... musiałaby mu powiedzieć, że jesienią Mark był pokojowym malarzem.

a zeszłego lata pracował w kantynie jako kucharz. Ze potem zaangażował się jako mleczarz, a w międzyczasie zakładał anteny radiowe na zamówienie firmy „Philips”. Był także jakiś czas windziarzem w sezonowym hotelu, a jeszcze przedtem w fabryce sztucznych nawozów pilnował manometrów przy kotłach gazowych.

Mogłaby tak długo wyliczać. Bo co tu dużo mówić. Mark trzy, cztery razy do roku zmieniał pracę. Był zręcznym, uczciwym robotnikiem. Ale każdą robotę uważał za prowizoryczną. Ledwo go gdzieś zatrudniono, już szukał innego zajęcia.

Wciągał się w błędne koło. Nie miał stałego fachu, więc mu źle płacono. Szukał zmiany z myślą, że dostanie lepsze warunki. Ale często wypadało właśnie na gorsze.

Wreszcie Mark nawykł pracować to tu, to tam. Inaczej już by nie mógł. Nikt by mu już zresztą stałego miejsca nie proponował. Przeciwnie, dobrze było go mieć pod ręką. Gdzieś zatkały się w domu rury — wzywano Marka, komuś trzeba wyczyścić komin, był Mark, przekopać ogród — któż jak nie Mark. *Bricoleur* — taki, co to ze wszystkim sobie poradzi, na niejednym się zna, a właściwie fachu żadnego nie ma.

Taki to był właśnie Mark. Ale po cóż o tym mówić. Uważała jednak za stosowne wyjaśnić:

— Wiesz, Mark był jeszcze mały, gdy ojciec jego porzucił dom. Podobno był marynarzem na jednym z okrętów handlowych. Matka nie miała z czego żyć. Mark mi mówił, że kiedy miał jedenaście lat to już zarabiał. Oddano go na fermę, gdzie pilnował owiec. Potem miał ojczyrna. Ten go zabierał z sobą do rzeźni miejskiej i zaprawiał do uboju bydła. O szkole nie było w ogóle mowy. Kiedyż więc miał się czegoś nauczyć? — powiedziała już jakby tylko do siebie.

— Gdzie go poznałaś? — spytał.

— W Niemczech, w fabryce amunicji. Byłam deportowana, nie wiedziałeś o tym?

Odparł niemal szorstko:

— Nic nie wiedziałem, skądże miałem to wszystko wiedzieć.

W tej chwili przypomniła sobie, że musi pójść na rynek. Zostawiła Tomasza przy niedokończonym śniadaniu.

Na placu, przy szerokich straganach, było ruchliwo i ciasno. Kobiety wyciągały jedna przez drugą ręce po kalafiora, sałaty, ogórki. Nie chciała się pchać, więc czekała na uboczu, aż się trochę przy straganach przeczłodzi.

Tak więc Tomasz jest na uniwersytecie — myślała. Skąd mu przyszło do głowy wybrać polonistykę? Mówi, że to ciekawe studium. Skoro go interesuje, może to i lepiej.

Docisnęła się teraz do rogu straganu przy którym sprzedawano truskawki.

Szkoda, że nie przyszło mu na myśl być inżynierem — kontynuowała — zawsze to przecież popłatny zawód. No i ludzie się liczą z tytułem.

Przypomniała sobie o Marku. Wezmę o kilo truskawek więcej — pomyślała. — Przepadał za nimi. Polewał je sobie czerwonym, słodzonym winem. Ale Tomasz będzie pewnie wolał ze śmietaną.

Ciężko jej było taskać się z tym koszykiem, a w dodatku pod pachą niosła dwa długie bochenki chleba. Przystanąła, oparła na framudze witryny koszyk, złapała głęboko dech. Nie wiadomo dlaczego przypomniła sobie o październikowych wypadkach w kraju. Pisano o tym dużo w prasie. A we wszystkich gazetach podkreślano ciągle ów sojusz robotników ze studentami warszawskiego uniwersytetu. Podobno szli ręka w rękę. Ale tam chodziło o politykę. Był to wspólny protest, wspólny manifest. Więc porozumieli się.

A tak na co dzień, w zwykłym życiu — możliwe to?

Dwunasta wybiła. Mark może się zjawić lada moment.

Szła szybko ulicą, myśląc już tylko o obiedzie. Szkoda jednak że Tomasz nie mówi po francusku.

Mark przyszedł dopiero przed wieczorem. Podobno mieli wypadek. Jeden z mułów, obciążony ładunkiem, obsunął się wraz ze skalnym odłamkiem w przepaść. Musieli za wszelką cenę dobrnąć do niego, by wywindować materiał. O mule oczywiście nie było mowy — dogorywał. Jeden z robotników wspinając się w góry, uchwycił za głaz i — trzebaż pecha — ręką natrafił na żmiję. Ugryzła go. Może jadowita — powiedział ktoś. Mniejsza o to. Był zmachany, zmęczony, spieszyło się wszystkim z robotą. Podła bestia! — rzucił tylko, ściskając rękę w przegubie — gdybym miał kij, rozwalilibym jej kręgosłup!

Przytaszczyli się wreszcie z ładunkiem do baraków, poszli do kantyny, a potem, czekając na auta, każdy się trochę umył, przygotował, zrzucił robocze ubranie. A ręka puchła i puchła. Szofer zwlekał z odjazdem, coś mu nawaliło w motorze i było już dobrze po południu, gdy zjechali z gór. Byli już o parę kilometrów od miasteczka, kiedy robotnik ów stracił przytomność. Zawieźli go od razu do doktora. Był to pocziwy człowiek, ale gwałtowny i szorstki.

— Co za brutale z was! Ze wszystkim zwlekacie do ostatka.

W swym gabinecie długo zajmował się leżącym. Wreszcie szarpnął drzwiami poczekalni.

— Cóż do cholery, waszej dyrekcji nie stać na apteczkę połową w barakach?! Mówiłem im, że musicie mieć w górach ampułki i strzykawkę. Do diabła z nimi!

Wszedł do gabinetu, naraz się odwrócił brutalnie i rzekł:

— Na cóż czekacie? Już nie żyje...

Uczynił łagodny ruch ręką.

— Wejdźcie — rzucił cicho.

Zawezwano pogotowie. Zabrali go i zawieźli żonie. Na podwórzu bawiły się jego dzieci i podbiegły ciekawie do auta.

Głupio było tak się rozstać z kolegą.

Mark wracał do domu wolno, ociągając się. Chciał się po drodze otrząsnąć z tego niemiłego wrażenia, ale

na próżno. Wstąpił do *bistrot* wypił duszkiem dwa koniaki i wyszedł. Ale chandra dalej się za nim wlokła. Krok za krokiem, wolno wchodził po schodach.

— To on — rzekła, nasłuchując.

Tomasz niespokojnie uniósł głowę.

Obiecowała sobie, że powie mu otwierając drzwi: czeka cię miła niespodzianka! Albo może: zgadnij, co nowego w domu?

Ale nic mu nie powiedziała. Usunęła się milcząc od progu i ręką uczyniła nic nie znaczący gest.

— Aaa... — rzekł Mark. Spozstrzegł go bowiem od razu i wiedział, że to on, nie kto inny, ów syn.

Podszedł i wyciągnął rękę. Patrzyli sobie prosto w oczy. Mark pierwszy zagadnął:

— No, cóż, dobrze ci się udała ta długa podróż?

Odezwała się z kuchni prawie bezgłośnie:

— On nie rozumie po francusku.

— Nie? A to heca! — roześmiał się Mark. Myśl, że będzie musiał porozumiewać się z nim gestami niezmiernie go ubawiła. Już dziecinnie naśladował ruch pociągu, wołając: tu tuuu... tu... tuuuuu.

Tomasz spojrział niezdecydowanie na matkę. Ale zrozumiał. Chodziło przecież o podróż.

— *Oui, oui* — odrzekł, swobodnie się roześmiawszy.

— A co, widzisz, dogadaliśmy się — triumfował Mark — Chodź, napijemy się wina! — Pociągnął go za sobą do stołu.

— Jak wy to po polsku mówicie na wino? — zawołał w stronę kuchni.

Ale obeszło się bez tłumaczenia. Już miał w ręku butelkę i zręcznie napełnił nią obie szklanki. Tomasz korzystał, by mu się nieznacznie przyjrzeć. Mark miał bardzo zarośniętą twarz, był opalony i miał wychudłe, niemal wklęsłe policzki. Mimo tego wyglądał młodo. Jego żywe oczy błyszczały, jakby trawione gorączką. Gesty miał zwinne, prędkie, nerwowe. Właśnie zaczął coś matce po francusku opowiadać. Zrywał się co chwila z miejsca, obchodził stół, siadał, znów się unosił. Widać, że musi być

w nieustannym ruchu. Nagle zwrócił się do Tomasza i usiłował mu zainscenizować coś niezwykle hałaśliwego. Buuum, bruumm, traach...

— Opowiada o burzy, którą mieli w górach — objaśniła pobłaźliwie matka.

— Powiedz mu — zawołał, wskazując palcem Tomasza — powiedz, że piorun poraził w kantynie kucharza. I to w momencie, gdy otwierał puszkę sardynek.

— I co?

— Nic mu się nie stało. Zesrał się ze strachu w portki i tyle — popił wino, stuknąwszy przedtem o szklankę Tomasza.

— *A la tienne, mon pote!*

Zakrzętnęła się w kuchni, przygotowując kolację. Po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że w pokoju trwała ożywiona „konwersacja”. Tomasz też dużo mówił, oczywiście po polsku. Ale to wszystko jedno; taka czy inna mowa. Przy dobrym winie wszystko staje się proste i zrozumiałe. Zanuciła coś sobie cicho przyprawiając truskawki: te ze śmietaną, a te ze słodkim winem.



W niedzielę rano nikt nie poszedł na mszę. Tomasz powiedział, że „nie chodzi”. Mark to jakoś zrozumiał i szturchając go w ramię, orzekł po francusku:

— Masz rację, zostaw to zdewociałym babsztyłom. Chodźmy lepiej grać w kule na plac.

Tomasz zrozumiał, że co do problemu mszy, widocznie się w jakimś sensie zgadzali. Ona też nie chodziła do kościoła. Po prostu jakoś odwykła. Zaabsorbowana domowymi zajęciami nie odróżniała dni tygodnia od niedzieli. Czyż nie miała właśnie w tym dniu więcej roboty niż zwykle?

A zresztą teraz, w czasie ciąży, czuła się najgorzej rano. Budziła się zmęczona, z uczuciem niepokojącego głodu i natychmiast jadła co wpadło w rękę — chleb.

ser, konfitury, a zaraz po nich pasztet, aż dopóki nie zarzała sobie kawy. Ta żarłoczność budziła w niej mimowolny wstręt. Ruszała się potem ociężale, doznając wrażenia, że wszystko się wewnątrz rozdyma, rośnie, uciska i nie mogła dopiąć spódniczki.

Nie myślała więc o mszy.

Mark zawiesił nad zlewem lusterko i golił się wołając raz po raz do Tomasza, by się śpieszył. A właśnie to przecież on się guzdrał. Nie mógł sobie dać rady ze swym tygodniowym zarostem. Zacinał się, kłął i krwawiąc obcierał twarz w czysty ręcznik, po czym na nowo rozpieniał na niej obficie mydlaną pianę. Wreszcie się z tym uporał. Włożył czystą koszulę, swe rzadkie włosy przyczesał grzebykiem o wyłamanych zębach, oblepił je tłustą brylantyną i zarzucił na szyję rażąco kolorową apaszkę. Nie mógł się bez niej obejść. Nie czułby się zresztą „niedzielnie”, gdyby na szorstkim karku nie odczuwał jej wymykającego się jedwabnie dotyku.

— A teraz szurgajmy za drzwi kopytem! Już jedwasta pałka — rzekł, rzuciwszy okiem na budzik.

— Mówi ci: chodźmy — przetłumaczyła.

Gdy zbiegli po schodach wyjrzała za nimi przez okno. Mark szedł środkiem ulicy i szerokimi gestami usiłował coś Tomaszowi tłumaczyć. Przytrzymał go po chwili za łokieć, stanęli na przeciw siebie i zaczęła się pełna wymowy pantomina. Naraz rozkiwali się zabawnie głowami — Tomasz na znak, że zrozumiał, Mark z uciechy, że się dogadał. I poszli dalej. Tomasz swym wydłużonym równym krokiem, Mark lekko kiwając się, niedbale i bez rytmu, oglądając się za przechodniami i każdym autem.

Wróciła do kuchni i zabrała się do prania koszul. Kołnierze ich były bardzo brudne, prawie czarne, grzbiet każdej koszuli przepocony, zżółkły — tu i ówdzie widniały ślady rdzy i żelaza.

Gdyby były kolorowe, kraciaste, łatwiej by się może odeprały — myślała. Te były stanowczo za jasne do takiej roboty. Ale to jeden z geometrów dał mu te koszule. Dla niego były już zbyt znoszone. Żona mu powiedziała:

„może masz tam jakiego robotnika, który nie ma co włożyć. Szkoda je zużywać na szmaty”. Przydały się. Mark miał teraz na zmianę. Wprawdzie się już trochę przecierają na plecach, ale to nic. Dziś wieczorem je wyceruje.

Prędko wyschną na tym słońcu — pomyślała, wychodząc na galerię. Madame Borne też już była przy sznurach. Zadowolona, że wszystkich uprzedziła, rozwieszała teraz swe pasiaste obrusy szeroko i zuchwale w myśl zasady: „przyszłam pierwsza, to nie mam się co krępować”. Twierdziła zresztą, że jest najdawniejszą lokatorką w tym domu, więc tym samym należy jej się najdłuższy kawałek sznura. Gdy ten argument nie wystarczał, po prostu zdejmowała na wpół wyschniętą bieliznę sąsiadek, zwijała w tłumok i kładła na pace od węgla. Czasem jakaś pyjama zafarbowała białe ręczniki i na galerii była awantura co się zowie.

Ale Madame Borne była wdową i „nikt-jej-tu-na-galerii” nie mógł zabronić prac. Przecież z tego żyła. Madame Duval podchwytывała znacząco:

— Uważaj, by ci się od tego prania brzuch nie rozdymał.

Aluzja odnosiła się do tego, że Madame Borne miała czterech wielbicieli, by nie powiedzieć od razu — kochanków, bo to by się wydało przesadą. Chociaż czemu się zaraz dziwić. Miała urodę wybitnie południową, pochodziła z Portugalii. Minęła już dawno trzydziestkę, ale żywości jej czarnych, gorących oczu nie przyćmiły nawet troski. Te oczy były jak z pluszu, miękkie w spojrzeniu i pełne łaskotliwych refleksów. Tylko, gdy zaczynała mówić okropnym dialektem, rozciągając szeroko wargi, urok pryskał. Żyła tu ze swą matką, zdziecinniałą już staruszką i z ośmioletnią córką, która miała głupi zwyczaj zezowania, gdy na kogoś wybałuszała oczy.

Trzy czy cztery miesiące temu została wdową. Mąż jej pracował w górach. W momencie gdy zaczepiony o stalowy szkielec pilonu nakręcał druty, poraził go nagle prąd wysokiego napięcia. Zwiślał na słupie jak wykrzywiony pajac z pokręconymi dziwacznie członkami, a gdy

wreszcie bezwładnie spadł na ziemię, był już tylko nieszczęsnym śladem człowieka. Przedsiębiorstwo orzekło, że to była jego wina. Tak, jakby to robotnik sam bez polecenia włąził na słup, nie troszcząc się o to czy właśnie centrala nie włączy prądu o sile dwudziestu tysięcy watów. Nie zapłacono wdowie żadnej asekuracji. I tylko robotnicy, spluwając z obrzydzenia na dyrekcję, złożyli trochę pieniędzy na dorywczą zapomogę. Mark zajął właśnie miejsce po jej mężu.

Madame Borne utrzymywała się z prania: dla urzędnika z poczty, dla jakiegoś podstarzałego emeryta, dla kolejarza z kasy dworcowej, a czwarty był Arabem i sprzedawał w dzień rynkowy „autentyczne” perskie dywany.

Mówiła, że mężczyźni są na ogół dobrymi klientami bo nie są wymagający i nie robią o byle głupstwo wymówek. Słowo „klienci” złośliwie interpretowano na galerii. A oni mijali się spokojnie na schodach albo też pod jej drzwiami; ten z brudną bielizną, tamten już z czystą i wyprasowaną i wcale się nawzajem sobą nie interesowali. Bo mężczyźni z natury nie są skomplikowani.

Madame Borne wieszala tego rana obrusy, przekraczając już na dobre „swój” kawałek sznura i byłaby kontynuowała kto wie na jaką jeszcze długość, gdyby nie to, że ona pojawiła się na galerii ze swą małą wanienką.

— Oho, Madame Lacrampe, już się pani na dobre roztyła! Tęgi chłopak będzie. A któryż to już miesiąc?

Pewnie — pomyślała — kiedy unoszę ręce w górę zaraz mi się wszystkie zatrzaski odpinają. Czas by już było sobie uszyć z jakiegoś taniego kretonu szeroką, luźną sukienkę. Ale cóż, na takie ekstra wydatki nie było w budżecie miejsca.

Madame Borne już była przy niej i racząc do syta wzrok jej bezkształtem i dysproporcją, orzekała ze znawstwem:

— Za nisko nosi pani płód, będzie ciężki poród.

Ale ona, nawykła do tych spostrzeżeń, puszczała je mimo uszu. Czegóż to się co rana nie nasłuchiwała! Madame Borne z nieprzepartą ciekawością czyhała co dzień

na jakiś nowy objaw, który jej zdaniem zawsze niepomyślnie komplikował ową ciążę. I tak dowiadywała się nagle, że jej puchną nogi, że ma brunatne plamy na czole, że się nadmiernie poci, że białka oczu są lekko żółtawe, że jej wypadają włosy, albo że ma opuchłą wątrobę.

Dzięki tym obserwacjom musiała wciąż myśleć o swym stanie. Ogarniał ją wstręt do własnego ciała, do tego nieszczęsnego wyglądu, a myśl o nieustannie mnożących się objawach napawała ją niepokojem każdego niemal rana.

Madame Borne wprawdzie na wszystko coś pocziwie doradzała, a co najgorsze pilnowała, by jej porady skrupulatnie stosować. To trzeba było pić gorące wino, to wziąć na przeczyszczenie, to leżeć, nie zginać się, nie pochylać, nie unosić rąk w górę, unikać słońca, rozluźnić gumki w majtkach, nie schodzić na dół, nie siadać na tapczanie — jednym słowem stać się pokraczną niedołęgą, podtrzymywać brzuch rękami i płakać.

Poza tym, co rana trzeba było odpowiedzieć dokładnie na pytanie: „a któryż to już miesiąc?”. Musiała skrupulatnie przeliczać tygodnie i dni, by oznajmić, kiedy to spodziewa się „rozwiązania”. Data musiała być prawie pewna: „skoro Monsieur Lacrampe przyjeżdża raz w tygodniu”, powinna była wiedzieć, której to soboty zaczęła się ciąża.

Czasem orzekała z wyrzutem:

— Że też pani jeszcze tego kłopotu brakowało! Mówiłam przecież jeszcze z początku: wywar z zardzewiałych gwoździ rano na czczo przez trzy dni i już po wszystkim. Nie ma pewniejszego środka. A przy tym nic nie kosztuje i byłaby pani teraz spokojna.

Mimo woli wyobrażała sobie, że jest znowu smukła, żywa i że zawiesza lekko bieliznę, uwijając się przy balustradzie jak motyl, który nie czuje tułowia, tylko swe delikatne, trzepoczące skrzydła.

— Na miłość boską, niechże pani nie podnosi sama wanienki! — I już wystarczyło, by ogarnęła ją na nowo desperacja. Była przecież tylko niezdarną, ciężką kreaturą.

A tu jeszcze i Madame Carpette zjawiła się z wiadrem, które wypróżniała we wspólnej ubikacji.

— No, jakże tam dzisiaj? *Ça va?* — I znów się zaczęło o tej ciąży.

Madame Carpette była z Maroka. Miała męża neurastenika i sześcioro dzieci, z których żadne nie było normalne. Żyli prawie w nędzy, bo ów mąż był albo chory, albo bezrobotny. Dzieci ganiały brudne, oszmaciałe, aroganckie i rozawanturowane. Kradły sprzed drzwi sklepów owoce, naciskały klaksony aut stojących przy trotuarze, utopiły raz kota, ciągały jeden drugiego środkiem ulicy na jakiejś rozklekotanej desce, zaśmiecały schody, a ich ulubionym sportem było dzwonienie do Madame de Vallon, która była właścicielką domu. Gdy ta dostojnie szła otworzyć drzwi, łobuzy czmychały ze zwinnością małp na galerię i tu czepiając się rozdygotanych kołków balustrady, wyczyniały na niej hałaśliwie nieprawdopodobne akrobacje.

Madame Carpette płakała!... Na ulicy, na galerii, w sklepikach, u doktora i na merostwie, gdzie się dało, bo tak się już tego wyuczyła, że łzy ściekały jej na zawołanie. A ludzie mieli przecież czułe serca. Bądź co bądź sześcioro dzieci i to w jednym pokoju. Podobno były tam tylko trzy łóżka, dwa krzesła, paka zamiast stołu i pomyśleć tylko, stara klatka na króliki, która służyła za kuchenny kredens. Ulicą rozlegało się S.O.S. — i już zaraz jakieś panie z „Ligi Kobiet”, z „Akcji Katolickiej”, z polecenia mera, z inicjatywy proboszcza zatrzymywały się przed domem szukając drzwi, za którymi w tym jednym pokoju... mój Boże! Ktoś powiedział, że widział sam „na własne oczy”, jak dzieci jadły w południe ziarnka kukurydzy przypieczone na blacie żelaznej kuchenki. Nic więcej. Przychodziły więc paniusie, niby to niechcący w momencie obiadu czy kolacji, przychodziły litościwie i dobroczynnie z paczuszkami pod pachą, by zobaczyć „czy to prawda”.

Ale nic nie widziały. Monsieur Carpette nie wpuszczał nikogo. Najwyżej uchylał drzwi, ukazywał się w nich ogromny, kościsty i blady, jak przystało na bezrobotnego, brał dyskretnie podane w kopercie pieniądze i zamykał

drzwi, wyrzucając przy okazji kopnięciem nogi skudłaczowego szczeniaka, który mu się plątał przy spodniach.

— Co za hołota! — mówiły panie, odchodząc rozczarowane od drzwi — nawet nie podziękował. — I z oburzeniem przyrzekały jedna drugiej, że już tu nie wrócą. Ale Madame Carpette dalej łzawiła przed ludźmi: „mój mąż już taki, nie bierzcie mu tego za złe, po tym pobycie w Maroku trawi go ciągle gorączka. Malarię ma przecież”. Więc wracały — ale teraz już tylko przezornie kładły paczuszki przed drzwiami i odchodziły. Bo bądź co bądź ludzie tu mieli dobre serca. I Madame Carpette o tym wiedziała. Toteż co rana wysyłała dzieci po sąsiadach, tu „pożyczyć” cukier, tam sto franków „do jutra”, gdzie indziej „tylko trochę” oliwy. Najsprytniej wywiązywała się z tego najstarsza Charlotte. Była koścista, długonoga i blada jak ojciec. Kiedy się ukazywała w drzwiach, by o coś poprosić, rozszepetywała się bezgłośnie słabym głosem, jakby już jej sił brakło, by ustać na swych pajęczych nogach. Ubrana przy tym była zawsze krótko i dziwacznie, jakby się tylko co wyrwała z widowiska cyrkowego.

Dawano jej więc wszystko o co prosiła. Wtedy wyrwała na galerię, przystawała na schodach i zanim zeszła na dół opychała się cukrem, chlebem, a nawet jadła margarynę.

Najczęściej wysyłano ją do Madame Lacrampe. Z nią też najbardziej Madame Carpette lubiła zatrzymać się na pogaduszkę. Dawniej się żaliła, popłakiwała, ale teraz rozmowa sprowadzała się nieodmiennie do porodu. Szczegółowo i długo opowiadała jak to się zaczęło u niej przy Charlotte, jakie to komplikacje były z urodzeniem Georges'a i tak po kolei od pierwszego aż do szóstego porodu. Po każdym z nich były jeszcze jakieś skomplikowane operacje. A w międzyczasie miała przecież także poronienia. I to jakie! Krwotoki, zakażenia... Najgorsze jednak były ciążę. Miała ich sześć, a przy każdej były inne objawy, inne dolegliwości, bo ciążę są bardzo rozmaite. Więc ta pierwsza... ta druga... i tak po kolei aż do szóstej. Starczało tego na dobrą godzinę.

Wreszcie udawało się jej pod jakimś pretekstem wymknąć z galerii i zamknąć za sobą drzwi. Potem godzinami czuła dokoła siebie zapach eteru, pobrzękiwania chirurgicznych instrumentów, czuła ciepło wolno spływającej krwi i myśl o jakiejś możliwej komplikacji stawała się koszmarem. Odstraszało ją to od galerii, gdy chciała czasem wyjść przed próg i popatrzeć chwilę na góry. Znała już na pamięć zarys grani, znała każdy szczyt. W górach zawsze coś się działo; zależnie od pory dnia, godziny, ustawicznie zachodziła w nich jakaś zmiana — to kolor, to jakiś nieoczekiwany długi obłok wplątany między skały, to tęcza rozpięta na stoku, to małe nieruchome punkciki owiec na połoninach — i dobrze było czasem sobie przystanąć i popatrzeć. Ale cóż, te sąsiadki... Nie było na to rady.

Zakrzętnęła się w kuchni. Z pieca doszedł ją miły zapach przyrumieniającej się pieczeni. Otworzyła drzwiczki i polewała starannie, ze wszystkich stron gorącym sosem okrągło zwinięte mięso. Z przyjemnością wciągała aromat czosnku. Lubiła ostatnio czosnek.

Zamknęła piec z zadowoleniem i usiadła na niskim stołku. „Kto widział tak nisko siadać — wykrzyknęłaby Madame Borne — powinna pani wziąć krzesło, w t a k i m s t a n i e ! ! ! przyciągnęła ku sobie płaski koszyk i wysypała z niego na fartuch szparagową fasolkę. Była zielona, świeża i jej wąskie, jędrne strąki nie miały prawie włókien. Obskubywała więc tylko ich końce i wrzucała do garnka.

Drogo jednak zapłaciłam za baraninę — myślała. Taka pieczeń to niemal szaleństwo. Ale dziś niedziela. Mark wrócił z gór i przecież Tomasz teraz w domu. Wczoraj wieczorem Mark rzucił beztrąsko na stół parę banknotów wymiętoszonych w kieszeni roboczych spodni. Zaraz uspakajająco dodał:

— To tylko zaliczka, nie martw się, w kasie nie skończono rachunków i dadzą nam pensję dopiero w przyszłą sobotę. Potem sobie pogwizdywał fałszywie i nierówno, opróżniając kieszenie z brudnych chustek, bonów do kan-

tyny, kawałków drutów. Wytrząsał też z podszewki dwie czy trzy zgniecione szarotki.

— To dla ciebie, byłbym o nich zapomniał — zawołał. — W tym tygodniu pracowaliśmy bardzo wysoko. Przeszło 2.600 metrów. Widziałem sępy przy padlinie, ogromne, wstrętne. Były obżarte, że aż strach.

— A ta zaliczka, to ile właściwie? — spytała machinalnie.

— Nie dużo, może ci jednak wystarczy do soboty. Nie płać na razie mieszkania. Potem zobaczymy.

„Jakoś się ułóż”, „nie przejmuj się”, „bierz tymczasem na kredyt”... Takie było Markowe niezmiennie rozwiązanie sprawy. Zresztą nie lubił na ten temat dyskutować. Udawał wtedy roztargnionego i mówił na przykład o sępach.

Wiedziała dobrze, że to wcale nie zaliczka, ale to co zostało z pensji. Za tydzień się do tego przyzna jak chłopak, który nabroił i wreszcie, przyciśnięty do muru, nie może się dłużej wymigiwać. Wtedy powie prawdę.

Bo Mark tam w barakach grał w karty. Nie robiła mu o to wyrzutów. Cóż mieli w górach robić po całym dniu pracy? Wleźć pod namioty, zwalić się na prycze i spać? Toteż co wieczora ociągali się w kantynie, mieszczącej się w dużym drewnianym baraku. Były tam stoły i ławki, było nawet radio, no i picie. Tu się jakoś przynajmniej czuli po ludzku, a nie, jak te muły, które harowały, żarły i szukały od razu legowiska.

Rozsiadali się więc za stołem i zawsze ktoś wyciągał brudne karty. Zaczynała się partia pokera. Mark grał z pasją, bo widok pieniędzy na stole przyprawiał go dosłownie o gorączkę. Ale miał pecha. Złorzeczył, odgrywał się, znów tracił. A wtedy ogarniała go panika i namiętna, bezrozumna chęć zgarnięcia ze stołu pieniędzy.

Po północy, wyszarzały ze zmęczenia, zdeprymowany, szedł wolno w stronę namiotów, by odszukać po omacku swą twardą pryczę.

W domu tłumaczył potem naiwnie:

— Ci Hiszpanie to banda draniów. Mają na pewno szachrowaną talię. Już im się nie dam nabrać.

Nie odpowiadała mu nawet. Nie z potulności, nie z rezygnacji, ale po prostu dlatego, że była zmęczona. Tyle lat to już trwało. Miała przecież ciągle materialne trudności. Była to istna obsesja: brak pieniędzy, znowu długi, znowu za mało — co robić? Teraz już do tego nawykła o tyle, że nie była tym nigdy zaskoczona. Nie wyobrażała sobie nawet, że mogłoby być inaczej. Każda troska, kiedy pojawia się ustawicznie, regularnie, staje się jak ten strup, który zdrapuje się machinalnie, zanim zdąży przyschnąć. Gdyby się wygoił, znikł, ze zdziwieniem patrzyłaby na jego czysty ślad.

Tylko, że tym razem sytuacja komplikowała się. Tomasz jest teraz w domu. Przed ciężą dawała sobie radę, pracowała. Była dochodzącą służącą. Gdy dzieci były w szkole, wykorzystywała te godziny, by trochę dorobić. Ale teraz?

Z tych przemyśliwań, które do niczego nie prowadziły, wyrwało ją pukanie do drzwi. To Madame Duval zajrzała. I od razu mała przestrzeń między kuchenką i zlewem zapełniła się jej obfitymi okrągłościami, które przetaczały się z miejsca na miejsce, bo była ruchliwa i, kiedy mówiła, lubiła stać akurat naprzeciw osoby, z którą rozmawiała. Zależnie więc od jej poruszeń zaskakiwała to od lewa to od prawa i gestykulując żywo krótkimi ramionami uskarżała się na niemożliwą migrenę.

Mam dziś głowę jak kocioł — mówiła szybko — skronie tak ścisnęło, jakby mi je kto obcęgami przychwycił. Kto wie, czy zapalenia mózgu nie dostanę. Kark mi zdrętwiał i sztywny jest dziś jak sztaba.

Pochyliła nieco głowę i macając z uwagą mięśnie, wykrzyknęła:

— A co, nie mówiłam, nie mogę poruszyć szyją. Ajajaj... A w uszach mi szumi, jak bym wentylator w nich miała!

Wrzuciła na wrzątek fasolę. Nie przejmowała się tymi demonstracjami. Do tego też nawykła. Madame Duval co

dzień miała sensacyjne bóle, o których obrazowo i przekonująco opowiadała. Wyglądało to tak, jakby cały jej organizm był jakimś ogromnym warsztatem, w którym wszystko szło na przekór. Serce waliło młotem, w płucach zawadzał jakiś kołek, kiszki związały się w supeł, płuca charczały, żołądek się rozburczał, a w kolanach za każdym krokiem zgrzytał reumatyzm.

Te wszystkie bóle były „niehumanitarne”, ale jakoś nikt jej nie pocieszał więc sama sobie współczuła i dziwiła się, że ma w ogóle siły tu stać i mówić, a nikt nie jest w stanie zrozumieć, jakim to jest dla niej wysiłkiem.

— Tej nocy oka nie zmrużyłam — oświadczała co rano komuś na galerii. Gdyby zliczyć te noce, okazałoby się, że jest fenomenem natury, albo że powinnaby się już dawno od tej bezsenności zwalić z nóg.

Poza tym usiłowała wszystkich przekonać, że prawie nic nie je. Bała się widocznie, że wobec jej tuszy gotowi ją posądzać o obżarstwo. Zresztą robiono w tym sensie na galerii żartobliwe aluzje, by się z nią przekomarzać. A ona przecież nic strawić nie mogła. Ot, dwa listki sałaty, sardynka, jedna śliwka na deser i tyle.

W dodatku z wszystkim co zjadła, działy się jakieś niesamowite rzeczy. Zdawało się, że Madame Duval, jak w podręczniku anatomii, widziała cały schemat swego przewodu trawienego i mogła dokładnie śledzić, co się z czym stało. Tak więc z powodu sardynki buntowała się żółć w wątrobie, śliwka utknęła gdzieś jeszcze w przełyku i uciśkała jak guz, a te dwa niewinne płatki sałaty wyczyściły jej jelita tak brutalnie, że zaraz po obiedzie dostała biegunki.

— Oho, ja to bym nie mogła jeść fasolki. Zaraz by mnie wzdęło — orzekła, rzucając wzrokiem w stronę rondla.

Wyszła wreszcie, ale za chwilę już była z powrotem.

— Kali się okociła — wołała z emocją — jest ich pięć. Czarne z białą łatką na szyi. Tylko jeden jest zupełnie szary. Zasapała się.

— I pomyśleć, że muszę je wszystkie potopić. Zostawię chyba jednak tego szarego — dodała po namyśle.

Miała już cztery koty. Paskudziły, miauczały, rozciągały po galerii kości i ocierały się nieustannie o balustradę, zostawiając przy niej kłaki kosmatej sierści. A teraz będzie jeszcze ten piąty — szary.

Wybiegła na galerię czerwona z podniecenia.

Zabrała się do nakrywania stołu. Na jednym, jedynym obrusie jaki miała, tym od niedzieli, ustawiała fajansowe, jednobarwne talerze i sztućce. Te ostatnie skompletowała sobie kupując kawę „Negro”. Przy zakupie każdej paczki firma dawała aluminiowy widelec lub łyżkę. Łamały się wprawdzie łatwo ale póki nie było stać na inne...

Po środku stołu ułożyła starannie kwiaty w niewielkim glinianym dzbanuszku. Ogromne polne rumianki i drzącąkę, która na swych wiotkich łodygach, ażurowo, delikatnie osnuwała okrągłą biel kwiatów.

Pozostało już tylko wytrzeć szklanki do wina. Naraz galeria zatupotała zwinnymi krokami. Dochodziły z niej głośne okrzyki, które nagle urwały się. Słychać było tylko chichoty, szepty. I nagle zafurkotało, jakby się stado wróbli poderwało od ziemi. Któż, jak nie chłopaki z dołu! Zbiegali teraz na zbity łeb schodami, jeden za drugim i czmych na ulicę.

Otworzyły się gwałtownie sąsiednie drzwi.

— A żebyż ich! — wykrzyknęła Madame Duval.

Galeria zatrzęsała się. Grube nogi goniły szybko, opadały ciężko na stopnie schodów, którzyś z nich jęknął i już z ulicy słychać było niski, z lekka ochryply głos:

— Niechże was tylko złapię, nicponie! a no...

Nie ulegało wątpliwości. Bachory z dołu musiały znowuż coś przeszkrobać.

Po chwili Madame Duval zziąjana, spocona, bez tchu, osiadała ciężko na tapczan.

Że też wszystkie zajścia na galerii mają zawsze swój epizod tu, na tym tapczanie, myślała na wpeł wesoło.

Byle jakaś kłótnia, awantura, intryga, zaraz każda tutaj śpieszy by jej wszystko opowiedzieć.

Tu było spokojne miejsce na skargi, żale, złośliwości, plotki, nowiny. Tu jedna się odgrażała co powie przy okazji drugiej, a ta planowała szykany wobec trzeciej — tu każda po prostu zrzucała swój balast i wyładowana, uspokojona, wygadana, zabierała się do siebie.

A mnie to wszystko tak obojętne, myślała. Czyż właśnie to je przyciąga? Czasem jej aż wstyd było, że w każdym konflikcie dla spokoju przytakiwała tej, przyznawała rację tamtej, zależnie od tego, która w danym momencie siedziała na tapczanie.

— Banda draniów, urwipółciel! Co im do głowy przyszło? — wymyślała Madame Duval.

— Faktycznie, cóż za głupi pomysł — przytaknęła.

— No bo przybiegli, rozchwyтали cichaczem kocięta i pomknęli z nimi trotuarem, aż do zakrętu ulicy. Któż by się ich dołapał.

A Kali leżała sobie na galerii i na razie lizała starannie poklejoną sierść, która obsychała na słońcu.

— Biedna kotka — rzekła, byle coś powiedzieć. Może wreszcie Madame Duval zabierze się. Lada moment wróci Mark z Tomaszem. Że też ciągle się coś na tej galerii działo. Nawet dziś.

Minęło już dawno południe, gdy wreszcie pojawił się Mark z Tomaszem. Właśnie krajała cienko pieczeń ociekającą sosem. Mark z triumfem postawił na stole butelkę „Cinzano”. Mój Boże, osiemset franków — przemknęło jej przez głowę. Bezwiednie musiała wszystko przerachowywać na franki. Całe szczęście, że robiła to tylko w myśli, niedostrzegalnie, przez ułamek sekundy. Przynajmniej nie ujmowała tym nikomu radości.

Mark opowiadał z ożywieniem, jak się to obydwaj doskonale zgrali w kule.

— O mało nie rozwaliłem cyferblatu jednemu Włochowi — mówił ze śmiechem. — Twój ten... jak to on się nazywa? — ręką wskazał na Tomasza. Mniejsza z tym! Jak przyszła jego kolei, szturchnął bokiem kulę makaronia-

rza. Temu zaraz musztarda w nos poszła. „Nie ruszyła się, ani o włos” — mówi zuchwale. „Gdzie ty masz ślepią skurwysynie!” — krzycząc do niego. A on tylko uchami trzepnął i powtarza: „a ja ci mówię, że się nie ruszyła”.

Tu Mark rzucił się na środek kuchni i rozkraczywszy nogi, rzucił ręką w bok, jakby ów Włoch był tuż, tuż...

— Ej, bo jak ci zawinę moją flagą, to twój pradziad w grobie westchnie. Co nie tak było? — pytał, szturchając Tomasza.

Ale ten nie uważał. Zresztą i na placu nie bardzo rozumiał o co chodzi. Jakiś Arab, w cudacznej chyba francuszczyźnie, usiłował mu tłumaczyć reguły gry. Rzucał więc kulą jak inni. Zrozumiał tylko tyle, że wszyscy tę grę brali bardzo na serio. Pochylali się w skupieniu, poważnie ważyli kulę w rękę, i milcząc, wahadłowym ruchem ramienia rzucali nią wprzód, śledząc uważnie jej bieg. Gdy się zatrzymała, gonili wszyscy w jej kierunku, przysiadali, gestykulowali, wymierzali palcami jakąś odległość. Wybuchał czasem różnojęzyczny spór, w którym wyłaniało się ciągle to samo, choć z odmiennym akcentem wymawiane słowo:

— *Putain de moine, putain de moine!*...

Ileż lat mógł mieć Mark? — myślał Tomasz. Tam na placu wyglądał na chłopaka. W dodatku był najbardziej rozkrzyczany z całej bandy.

Przy stole Tomasz dowiedział się, że *putain de moine* nie da się przetłumaczyć. Tak orzekła matka. Lepiej już powiedzieć „zut!”.

— Ty w ogóle się niczego ode mnie nie ucz, tłumaczył Mark, ja tam Sorbony nie skończyłem. Gadam tak jak każdy batiar z przedmieścia. — Po chwili dodał:

— Powiedźże mu po polsku! On nic nie zaniuchał co mu mówię. — I znów napełnił Tomaszowi szklanę.

Przy końcu obiadu orzekł z uśmiechem:

— Morowy chłopak. Tylko ma takie zafajdane imię — pożałuj się Boże! Ani rusz go wymówić nie mogę!

— Tomasz, zjedz jeszcze kawałek placka — powiedziała.

Po południu wybrali się do kina.

Było śliczne słońce i żal było wchodzić do tej ciemnej, zamkniętej sali. Ale Mark miał dosyć światła, gór, powietrza. Chciał przynajmniej w niedzielę czuć, że jest pomiędzy ludźmi, domami, że siedzi w sali kinowej obok swej żony, wygodnie, dobrze i że ma przed sobą właśnie tylko ten prostokątny, ograniczony ekran.

Film był sentymentalny, kliwy i wysiłał się na łzawy tragizm. Ale Mark bardzo się nim ubawił. Miał przy tym zwyczaj śmiać się w najniewłaściwszym momencie: zawsze w najdramatyczniejszym napięciu akcji jakiś gest czy słowo wydawały mu się zabawne.

Po skończonym spektaklu, już u wyjścia, zaczynał po swojemu komentować film.

— Widziałas, ten gość co kitę odwalił.. ależ się wycharczał zanim zipnął na dobre!

Albo:

— Fajna była ta blondynka. Tylko za bardzo biodrami chybotwała. Lubisz takie? — spytał szturchając Tomasza.

— Co?

— Nic, powiada, że dobry film.

— Oh, *oui, oui* — przytaknął Tomasz.

— A co, widzisz, jemu się też takie facetki podobają.

— O daj mi spokój, mdli mnie.

Zwolnił kroku. Z zabawną ostrożnością wziął ją pod ramię. Mówił coś o tym, że powinna uważać na siebie, że to już niedługo, tylko jeszcze parę głupich miesięcy. A to w ogóle przecież nic, nawet nie choroba... W głosie jego była nieporadna, zresztą szczerą troskliwość. Po chwili dodał melancholijnie:

— Ot, i już prawie po niedzieli. Jutro znowu góry, baraki i te przekłete pilony.

Milcząc, szli przez chwilę wysadzaną platanami ulicą.

— Patrz — zawołał nagle — ta stara purchawka, to zastępca dyrektora. Ma teraz „Versailles” i to ostatni model. — Gwizdnął z podziwu.

Mijała ich lśniaca, wiśniowa limuzyna o długim płaskim kadłubie, który sunął asfaltową jezdnią niemal bezgłośnie. W zaokrąglonych liniach była doskonała proporcja.auta są jak kobiety: eleganckie, śliczne, efektowne.

— Skąd ci ludzie mają forszę — rzekł Mark. W głosie jego nie było ani krzty zazdrości.



Zaczął się nowy tydzień upalny, gorący, duszny.

Pod wieczór chodziła z Tomaszem do parku. Nudne to musiało być dla niego. Park był wprawdzie cienisty, ładny, na wpół dziko utrzymany. Ale ławki były gęsto poobsadzone letnikami, a po trawnikach tarzały się hałaśliwie dzieci i psy.

Tomasz wolałby się pewnie wymknąć w góry, na połoniny, a może i wyżej, między skaliste granie, na szczyty. Powiedziała mu to. Ale odrzekł łagodnie, że mu wszystko jedno. Do parku też lubi chodzić.

Gdy się zmęczyła, siadali w trawie pod wierzbą, tuż przy sztucznym stawie. Po środku wody tryskała fontanna i w jej pyle tęczowo migotało słońce. A dzieci, te z Paryża, Tuluzy, Lyonu, które tu z miast przybyły na wakacje, rzucały do wody piłki lub łódeczki z gazety, biegły za nimi brzegiem i wylapywały je długimi patykami.

Robiła na drutach. Nie lubiła siedzieć beczynnje. Tomasz obserwował kręgi na wodzie, gdy któryś z chłopaków rzucił z chlupotem kamykiem.

Raz poprosiła go, by się trochę uniósł. Chciała mu przymierzyć przód puloweru. Wtedy to nieoczekiwanie zapytał:

— Dlaczego właściwie wyszłaś za Marka? — Powiedział to spokojnie, prawie cicho.

Odjęła od niego robotę. Chwilę trzymała w rękach druty, aż naraz bezradnie odrzuciła je na kolana.

— Nie wiem — rzekła z namysłem.

Patrzył na nią. Wyglądała młodo, dużo młodziej niż sobie wyobrażał. Ale czy w ogóle ją sobie kiedy wyobrażał?... Skonstatował to może właśnie dopiero w tej chwili. I dziwiło go, że wciąż robi na drutach. Czyż nie lepiej było patrzeć na wodę?... Dlaczego w tym momencie zdecydował się właśnie spytać o Marka? Wyglądało nawet na to, że z tym pytaniem nalegał, że nie ustąpi; nie spuszczał z niej oczu.

— Sama nie wiem — powtórzyła cicho.

Ale wiedziała, że to nie wystarczy. Musiała wytłumaczyć — ale co? Jak można usprawiedliwić coś, co nie miało sensu, ani żadnej racji, ani powodów? Były chyba tylko okoliczności, ale jakie, kiedy?... Które z nich były najważniejsze, istotne? W jakim układzie zdarzeń zapadła jej decyzja? A może to się samo tak ułożyło, bez jej udziału, bez jej woli?

— Bo przecież — ciągnęła wolno — gdybym miała sama jakąś decyzję z rozmysłem podjąć, nigdy by mi do głowy nie przyszło, że Mark... nie, wiem na pewno, że nic mnie z nim nie wiązało.

— Więc dlaczego — upierał się.

To właśnie usiłowała w tej chwili jakoś wyłowić ze świadomości. Ale czyż mogła teraz w pamięci szukać, szperać, analizować? Wyłuskać z twardej łupiny minionych lat jakiś fakt, który z biegiem czasu już się może skurczył, wysuszył. I nawet jego bezpośrednie konsekwencje wydają się już teraz dalszym ciągiem zupełnie innych zdarzeń, oderwanych od ich zasadniczej, kiedyś przecież istniejącej przyczyny.

Ale musiała odpowiedzieć. I to logicznie, jasno, a przede wszystkim szczerze.

— To było z końcem wojny — usiłowała jakoś nieudolnie nawiązać. — Ale długo by o tym mówić.

— To nic, spróbuj — rzekł zachęcająco. Jego jasne oczy patrzyły w nią uważnie, spokojnie, upornie.

— Byłam w obozie. Wspominałam ci, że mnie deportowano. Trzy lata spędziłam w tym łagrze. Dwanaście godzin na dobę pracowaliśmy w fabryce amunicji. Tydzień nocą, tydzień na dzienną zmianę. Robota nie zatrzymywała się więc ani na chwilę.

— Musiało ci być ciężko.

— Przetrwalam jakoś. Wiedzieliśmy, że to prowizoryczne, że się to skończy prędzej czy później. Tylko czas się dłużył. Czekaliśmy, żyliśmy nieustannie myślą o dniu, kiedy wreszcie będziemy wolni. Chwilę zamilkła.

— No i wreszcie przyszedł ten moment — powiedziała jakby z odrobiną tłumionej ironii. — Wojska amerykańskie uwolniły miasteczko, uwolniły fabrykę i łager i nas. Myślisz pewnie żeśmy szaleli z radości?... Tak by się zdawało. Tak może nawet lepiej mówić. Ale dla nas po koszmarze niewoli przyszedł tylko koszmar wolności. Nie, nie wzdrygaj się. Byłam tam przecież, wiem.

Z niewolą wiadomo było jak sobie radzić, niewola była swego rodzaju porządkiem, jakimś stanem rzeczy. Z wolnością nie wiadomo było co robić. Wolność była nagłym chaosem, wytrąceniem z regularnego trybu. Wobec wolności znaleźliśmy się nagle bezradni, bierni, naraz zmęczeni i pozbawieni wszelkiej decyzji. Paradoksalne ci się to może zdaje, ale tak było.

Wyobraź sobie łagier o kilkunastu długich, w prostokątnym ładzie ustawionych barakach. Dokoła wysoki parkan, druty kolczaste, wzdłuż sztachet warta, psy policyjne, a u bramy wacha, zza której szyb śledziły nas nieustannie grymaśne, niedobre twarze. Co noc po północy żandarmi z karabinami wchodzili na sztuby i w ciemnościach wdzili latarkami od pryczy do pryczy, by nas przeliczyć. Rano podrywano nas do pracy ostrym gwizdkiem. Droga z baraków do fabryki była niedługa. Po ciemku, czy to w śniegu czy w lepkim błocie szłyśmy nią po omacku, na pamięć, wlokąc na bosych, zsiniałych z zimna nogach, drewniaki. W fabryce stawałyśmy przy maszynach jak automaty, ogłupiałe, wyczerpane, głodne.

I teraz wyobraź sobie, że to się nagle urywa. Ofensywa, ta oczekiwana, wypatrywana przez nas ofensywa, rozszalała się z pasją tuż nad naszymi głowami. Piekło bombardowań, kłęby chmur, świsty, do rozdygotanej ziemi przypadł czarny od dymu dzień, oszalały strachem. I naraz zaległa cisza. Podobno na wieży magistratu SS wiesiło białą flagę. Wolność.

Wysuwaliśmy się ze schronów nieufni, zaskoczeni, milczący. I co teraz?

Baraki tu i tam rozwalone, z wachy dymiącej przy ziemi zwał desek, kantyna bez szyb, z zerwanym dachem, pod nogami odłamki szkła, gruzy. Ani psów, ani policji. Zmęczone pokładaliśmy się spać, po omacku szukając prycz, bo nie było światła.

Nazajutrz poderwał nas nie gwizdek, ale nagła świadomość swobody. W miasteczku rozwalano magazyny, wtargnięto do opuszczonych domów, zabierano co się dało. Wolność. Dziewczęta zeskoczyły z prycz i pomknęły na ulice. Roilo się tam od „Ausländerów” ze wszystkich niemal łagrów. Bezmyślnie, chaotycznie, chciwie ogalano opustoszałe z Niemców miasteczko. Dziewczęta znosiły do baraków mnóstwo nieużytecznych rzeczy: serwisy, kapelusze, fotografie... Taszczono się z workami żywności, zawalano sztubę skrzyniami konfitur, margaryny, kawy, rzucano sobie pudełkami biszkoptów, opychano się czekoladą. Żarcie, żarcie, aż dopóki się nie zrzygano pod ścianą baraku.

Wieczorem, żołnierze szturmowych oddziałów, które nas oswobodziły, przyszli hurmem na łager. Ciągnęli ze sobą skrzynie pełne flaszek koniaku i rumu, które wywączali w schowkach niemieckich koszar. Byli to Amerykanie, w większości Murzyni, którzy wesoło łyskali zębami, zaglądając przez wybite okna. Rosjanie z fabryki w szale wandalskim wyrwali sztachety z parkanu i palili już na majdanie ogromny ogień. Pili, krzyczeli i coraz to któryś dla uciechy rzucał w płomień niewybuchłe naboje. Huk rozsadanego prochu wstrząsał resztkami baraków. Gdzieś pod kantyną dźgał się na noże jakiś Serb

z rozcharczanym Ukraińcem. Jeden z nich zawył z bólu i umilkł.

Nocą Amerykanie dobijali się gwałtownie do drzwi, wyrwali zamki, spici, rozkrzyczani rzucali się po ciemku na prycze. Dziewczęta piszczały, chichotały, prychały histerycznym śmiechem. Ale nie zapomnę nigdy tej czternastoletniej Józki, gdy krzyknęła nagle: mamó, maamo!

Przy drzwiach Hucułka z opuszczonymi warkoczami, w swej śmiesznej kusej koszuli, szamotała się dysząc. „Boże ty mój!” — zawołała w momencie, gdy duża czarna dłoń zamknęła jej usta.

Ja z Nelą zdążyłam się wcisnąć pod pułap w małym schowku, gdzie były półki na obuwiu. Dygocąc z emocji pomiędzy butami, które nam ugniatały plecy, doczekałyśmy rana. O świcie wszystko się uciszyło.

I wtedy uświadomiłam sobie jedno: nie sposób czekać w łagrze, lepiej stąd ujść i to jeszcze choćby dziś. Zanim po oddziałach szturmowych nadejdą okupacyjne władze, zanim się zajmą administracją, transportami, za długo było czekać.

W ciągu dnia Niemcy cichaczem zatruli nam wodę, tu i ówdzie wyłapywano SS-owców ukrytych w fabryce i wieszano ich gdzie się dało. W rzeczce koło łagru Rosjanie zabawiali się przez godzinę topieniem jakiegoś majstra, którego przytrzymywali na sznurze, oparłszy się o poręcz drewnianego mostku. Gdzie się ruszyć — bestialstwo, chaos i rozpusta.

A brama przecież była otwarta. Wacha nie istniała. Tylko, w którą stronę iść? Dotychczas była stąd tylko jedna droga — ta do fabryki. Teraz, jeśli się za nią wyjdzie, trzeba wybrać kierunek. I to na długi dystans. Dokąd?

W tym właśnie momencie pojawił się Mark. Zapomniałam ci powiedzieć, że pracował z nami w fabryce. Byłam z nim nawet przy tych samych maszynach. Lubiłyśmy go. Bez troski, żartobliwy, umiał nas zawsze na chwilę rozchmurzyć i mimo woli jego humor nam się udzielał. Był przy tym usłużny. Sprzedawał nam papie-

rosy, wprawdzie szelma brał za nie paskarskie ceny, ale cóż miałyśmy robić z pieniędzmi? Z naszym „P” nie wolno nam było wejść do żadnego sklepu. Był doprawdy dobrym kolegą.

W ostatnim momencie straciłam go z oczu. Byłabym w ogóle o nim zapomniała. W tym natłoku zdarzeń nie przyszło mi na myśl zastanawiać się, gdzie się zapodział.

Gdy zobaczyłam go nagle u tej rozwalonej bramy, przyznam się, że się ucieszyłam.

— Mark, co ty tu robisz, *ça va?*

Był nie tyle blady, ile jakiś szary, ziemisty, policzki miał zarośnięte, a oczy zupełnie matowe i ciemne pozbawione były wszelkich refleksów. Nawet głos miał stłumiony i słowa mu tak bełkotały w gardle, że trudno go było zrozumieć.

— Miałem paskudną historię — mówił. — Na chwilę przed uwolnieniem jakichś dwóch rozwścieczonych Niemców, którzy uciekali z fabryki, rzuciło się na mnie w ciemnym korytarzu, zapchali w jakiś schowek i zamknęli na zasuwę drzwi. Nie wiem nawet ile czasu tam skurczony przesiedziałem. Brakło mi już powietrza. Dopiero dziś dwóch Belgów mnie przypadkowo usłyszało i wyciągnęło.

Spojrzał na mnie i rzekł:

— Tak się cały czas bałem o ciebie.

Świadomość, że ktoś o mnie myślał, niepokoił się, zaskoczyła mnie. Ale było to dla mnie nagłą pociechą. Toteż od razu zwierzyłam mu swą, nierealną na razie, decyzję.

— Muszę uciekać z łagru. Wszystko jedno gdzie, ale dziś przed wieczorem więcej stąd. Nie ma co tu dłużej czekać.

— Wiem, właśnie dlatego zaraz tu przygoniłem.

Poczułam się od razu pewniej.

— Mam dwa rowery, wziąłem je z podwórza fabrycznego. Zabierz co najpotrzebniejsze, a ja zajmę się żywnością. Za godzinę możemy odjechać.

— Dokąd? — ale już nawet nie czekałam na odpowiedź. Odjechać, to znaczy być na jakiejś drodze, oddalać się. Nie pamiętałam nawet o pożegnaniu koleżanek. Tak jakoś głupio wymknęłam się z baraków, niby to tylko na chwilę. Żal mi je było zostawiać. Były między nimi różne: dziewczęta uliczne, awanturnice, szumowiny przedmieścia, były Żydówki z fałszywymi papierami, chłopki z wiosek, studentki za polityczne historie. Były i dobre i perfidne, nieczułe i życzliwe, oddane lub podłe i złe. Różne. Trzy lata razem, to nie byle co — żyłyśmy się. A oto teraz przyszło się rozpierzchnąć.

Przy bramie natknęłam się na Nelę. Tę najbardziej lubiłam. Spojrzała na moje zawiniątko pod pachą.

— Jedziesz?

— Tak — odrzekłam przyłapaną.

— Z Markiem?

— Z Markiem.

Bezmyślnie obłupywała ze słupa bramy długą drzazgę.

— Czemu się pytasz? — rzuciłam, by przerwać milczące zażenowanie.

— Tak sobie. Widziałam was tu przed chwilą. Domyślałam się.

Po chwili dodała:

— Ja puszczam wszystko kantem. To, cośmy tu przeżyły, to tylko epizod. Trzeba się zdobyć na to, by to wszystko zostawić za sobą: pluskwy, przyjaźnie, strach, miłość i nawet zmęczenie. Rozumiesz, wszystko. Przeciąć więzy i nie oglądać się.

Po namyśle rzekła:

— Ja odjadę stąd sama, w swoją stronę.

— I wiesz dokąd?

— Nie wiem. Zobaczę. W każdym razie najpierw się dobrze zastanowię, namyślę. — Tu jakby z wyrzutem spojrzała na mnie, ale uśmiechnęła się, szybko się odwróciła i pobiegła w stronę baraku.

— Nelu! — zawołałam za nią.

Zdaje mi się, że to ona przez wybite okno uczyniła lekki gest pożegnania. Ale z daleka nie widziałam już

dobrze jej twarzy, tylko tę rękę, która się poprzez framugę w moją stronę zachwiała.

Milcząc, szłam na spotkanie Marka.

W pół godziny potem jechaliśmy już autostradą. A właściwie, by ci dokładniej wyjaśnić, to samym skrajem autostrady, paseczkiem wąziutkim, tyle tylko ile trzeba na koła roweru. Bo szeroko, hałaśliwie, zawrotnie pędziły drogą nieskończone kolumny aut, z których Murzyni łyskali białkami oczu. Amerykanie rozparci przy kierownicach walili jak diabli, żując gumę. Nad samą autostradą, tuż nad głowami, wibrowały oszałamiająco alianckie samoloty.

Żelazne, pancerne olbrzymy, jak rozjuszone bestie, rwały z ofensywą na Berlin.

Za każdą taką kolumną wir powietrza wciągał mnie jak lej, i choć dobrze jeżdżę na rowerze, miałam co chwila wrażenie, że utracę równowagę. Ten niesamowity hałas dosłownie mnie otumaniał, zdawało mi się, że przeze mnie jakaś zjadła siła, która mną lada moment rzuci na asfalt, zmiażdży, zgniecie i ogromnymi oponami zatrze po mnie wszelki ślad.

Słupy drogowe odliczały kilometr za kilometrem, ale było jeszcze wciąż daleko do Eisenach, do którego chcieliśmy przed wieczorem dobrać w pierwszym etapie. Wreszcie w momencie, gdy zaczęło się zmierzchać, na jakimś zakręcie przed lasem, dałam ręką znak Markowi, który jechał za mną, że przystaję. Zeskoczyłam z roweru, usiadłam nad brzegiem rowu i oparłszy głowę o kolana, rozplakałam się. Szlochałam tak długo i szczerze, że kiedy w końcu obtarłam ręką łzy, poczułam, że mi ulżyło. Mark stał nade mną skonsternowany.

— I co teraz zrobimy — spytałam wreszcie. Ale od razu dorzuciłam, że za nic już nie wsiądę na rower. Nie pozostawało nam nic innego, jak boczną ścieżką skręcić do małego skupiska domów i tam się zatrzymać na nocleg. Gdyśmy, prowadząc wolno rowery, weszli w wąską uliczkę, nie było widać nikogo przed domami. Zdawało się,

że są opustoszałe i żywej duszy tu nie ma. A jednak tu i tam, zza framugi okna przyłapałam nieufnie wodzące za nami oczy. Wreszcie zatrzymaliśmy się na chybił trafił przed jakimiś drzwiami. Mark zastukał i wszedł pierwszy. Na zydlach siedziało dwóch mężczyzn. Jeden skręcał wolno tytoń w bibułkę. Przy stole kobieta skrobała marchewkę. Uniosła na nas milcząco głowę, ale natychmiast ją opuściła i dalej zajmowała się jarzynami. Mężczyźni spojrzeli wymownie na siebie. Jeden z nich zapytał po cośmy tu weszli.

— Chcemy przenocować — rzekł Mark kiepską niemczyzną.

Znów się porozumieli oczyma. Ten starszy zapalił papierosa, puścił kłęb cuchnącego dymu i wskazał ręką na pułap.

— Chyba na strychu — rzekł niechętnie.

W kącie kuchni była prymitywna drabina, a ponad nią u sufitu drewniana, kwadratowa kłapa. Wzięliśmy nasze tłumoczki i zaczęliśmy się windować po szczeblach drabiny. Na jednym z nich przystanęłam i machinalnie spojrzałam w dół. Wtedy przychwyciłam w oczach obu Niemców, którzy uważnie śledzili nas wzrokiem, zły, a zarazem drwiący ogień. Zdrętwiałam. Gdyśmy już byli na strychu złapałam Marka za ramię.

— Widziałeś? Wpadliśmy tu jak w pułapkę. Oni za nami tak patrzyli jakby mieli ochotę do gardła nam skoczyć. — Mark zaśmiał się.

— Jesteś u kresu nerwów. Zdaje ci się. Nie myśl o niczym i śpij. — Po chwili buchnęłam na worki, które Mark mi w kącie ułożył i zasnąłam jak suseł. Bolały mnie mięśnie, jakby mnie kto obił.

Nie wiem czy długo tak spałam, gdy nagle usłyszałam tu koło mojej głowy szept Marka:

— Wstawaj, wstawaj zaraz, słyszysz co mówię?... podnieś się cicho, a teraz ja cię podniosę. Złap się za framugę okienka i wysłizgnij się na dach. Uważaj, jest bardzo pochyły, czekaj na mnie.

Zasugerowana jego szeptem, jak pod hipnozą, bez szmeru, wykonywałam podyktowane mi przez niego ruchy. Dopiero gdy poczułam pod nogami stromość dachu, jak obudzony nagle somnabulik, otworzyłam w czarną noc wystraszone oczy. Ręka Marka przytrzymała mnie mocno za ramię.

— Teraz się za mną zsuwaj — powiedział ledwo dosłyszalnie.

Na szczęście o parę metrów niżej było płaskie poddasze, podtrzymywane słupami ganku. Mark ześlizgnął się po jednym z nich, a ja tuż za nim, prawie na jego plecach. Było dość wysoko, ale znaleźliśmy się prędko na ziemi.

Mark złapał mnie bez słowa za rękę i teraz bieглиśmy, potykając się, poprzez grządki, poprzez ugór, między łąkami, przeleźliśmy przez wysoki płot, a potem już polem, coraz dalej, szybciej, do utraty tchu. Za nami ujadały z daleka psy, aż w końcu umilkły. Goniliśmy teraz na przełaj przez łąkę miękkiego pastwiska, ale już mi nogi zasłabły. Zachwiałam się i Mark mnie mocno przez chwilę przytrzymał w ramionach.

— Teraz już nic — rzekł uspokajająco — zaraz będziemy przy drodze. Nie bój się.

Trzęsłam się bowiem nie tyle z zimna, bo była upalna, majowa noc, ile z lęku na myśl, że wyrwana tak nieoczekiwanie ze snu, przed czymś z Markiem uciekałam. I znów zobaczyłam, jak wtedy ze szczebla drabiny, spojrzenie obu szwabów.

Przy autostradzie poczułam się ufniej. Szliśmy trawą, tuż koło drogi i Mark podtrzymywał mnie ramieniem. Uprzytomniłam sobie nagle, że tam przed domem od strony ulicy zostawiliśmy nasze rowery. Chciałam o tym powiedzieć Markowi, ale on przecież to wiedział. Zresztą, co tu dużo mówić, pewniej się czułam na piechotę, choć nogi miałam sztywne i obolałe.

W ciemnościach nocy, jak czarne straszdyła z przyćmionymi ślepiami, rwały nieustannie pancerne kolumny. Nad ranem zaszliśmy wreszcie na przedmieście miasta

Eisenach. Ruch tu był ogromny. Mnóstwo wojska, policji, jeep'ów służbowych. Widać było, że władze okupacyjne tu już działały, organizowały może transporty, powrót. Było się o co zaczepić.

Usiedliśmy na brzegu trotuaru, by odpocząć. Nikt się nami nie interesował. Ulicami szwendało się pełno takich jak my, szukali władz, biur, powrotu i przysiadali pod murami domów, układając przy sobie bezkształtne tłumoki. Tylko, że my już nawet naszych zawiniątek nie mieliśmy. Zostały przecież tam, na strychu.

Wreszcie teraz zapytałam Marka:

— Co się właściwie wtedy tam stało ?

— Nic, głupstwo — odparł niechętnie.

— Przecież coś musiało cię zbudzić — nalegałam.

— Nie spałam. Wcale się nawet nie położyłam.

— Więc co robiłeś? Powiedzże wreszcie!

— Przykłękłem na ziemi i przypatrywałem im się przez szczelinę.

— Nie spali?

— Nie. Ta kobieta może i tak, bo wyszła. Ale oni wciąż siedzieli na zydlach.

— A potem?

— Nic, dalej sobie siedzieli.

— Mark — rzekłam zniecierpliwiona — denerwujesz mnie. Chcieli nas chyba zakatrupić, co?

— Tak.

Przeszło mnie chłodnym dreszczem. Nawet już nie nalegałam o szczegóły. Ale po chwili ciekawość wzięła górę.

— Więc co?

Mark wolno, skąpyimi słowami opowiedział wreszcie:

— Siedzieli na zydlach i palili machorkę. Nawet chyba nie mówili, tylko czasem gestem albo oczami porozumiewali się. Potem wybiła jedenasta. Wtedy ten starszy wstał, zgasił światło i zapalając kieszonkową latarkę, otworzył jakąś szufladę. Chyba była ze sztuccami. Smuga światła ślizgała się jeszcze chwilę po kuchni, a potem

nagle uderzyła w sufit. Wtedy jedna z sylwetek zaczęła cicho, szczebel za szczeblem, piąć się w górę. Ten drugi stał też koło drabiny.

— A ty co?

— Nic, czekałem. Miałem tylko mój scyzoryk.

— Otwarty?

— Myślisz żem wysunął korkociąg albo pilnik do paznokci? Kłapa uniosła się w górę bez szmeru i wtedy na krawędzi zobaczyłem dwie ręce, które chwyciły za parapet. Z nienacka ciachnąłem w nie ostrzem, w jedną a potem w drugą... zawył i zsunął się po szczeblach na dół. Bałem się, że się zbudzisz, ale ty nawet się nie poruszyłaś — dodał ze śmiechem. — Na tego drugiego to nie czekałem. Trzymał latarkę na dole. Gdy tamten się zwałił na podłogę, zaklął i powiedział: *Licht!* — pochylił się zaraz ku niemu z latarką. Widziałaś pod ścianą te garnki gliniane? Był w nich zdaje się smalec. Złapałem za jeden i wałnąłem mu prosto w plecy. A potem cisnąłem jeszcze w dół dwa następne.

— I co wtedy?

— No i ciebie zbudziłem. Teraz już wiesz co dalej.

— A oni?

— Skądże mogę wiedzieć. Latarka potoczyła się gdzieś pod stół i ciemno się zrobiło pod drabiną. Miałem może zejść i posadzić ich z powrotem na zydlach?...

Potem zamilkł. Ja też. Siedzieliśmy jeszcze dobrą godzinę na brzegu trotuaru, wreszcie trzeba było pójść. Gdy zbliżaliśmy się do śródmieścia na jednym z placów ujrzałam coś, czego nigdy już nie zdołam usunąć w niepamięć. To było więcej niż koszmar. Przed ogromnym, kilkupiętrowym hotelem, który widocznie w pośpiechu zamieniano na szpital, roiło się od szarych pasiaków. Był tu punkt dla jeńców z Buchenwaldu. Można sobie wyobrazić jednego, dwóch, trzech ludzi... białych, ślaniających się, bezsilnych. Ale widzieć ich dziesiątki, setki, niezliczone mnóstwo wyszarzałych, do niczego nie podobnych upiórów, nie, tego nie sposób wytrzymać. Chciałoby się zamknąć oczy i ukryć twarz w dłoniach. Ale nie można.

Kiedy się wlekli, podtrzymując jeden drugiego, ciągnąc za sobą dziwacznie powykręcane nogi, zdawało się, że lada moment opadną na chodnik, by być już tylko workiem porzuconych kości. Ich oczy, gdzieś w głąb czaszki wepchane, były nie do opisania. Nie, widzisz, nie mogę o tym mówić. Ściska mi krtań.

Około południa znaleźliśmy gdzieś na końcu miasta ogromne koszary, w których, jak nas poinformowano, znajdował się punkt repatriacyjny. Były to dwupiętrowe budynki rozstawione szeroko na pustej przestrzeni, ogrodzonej wysokim murem. Pachniało tu krezolem i wapnem. Ileż tam było ludzi z tłumokami, na tłumokach, między tłumokami, jak w jakiejś gigantycznej poczekalni, w której wszyscy oczekiwali na odjazd. Ale dokąd, jak, kiedy? — nikt nie wiedział.

Jakkolwiek to jedno tylko wszystkich absorbowало. Mówiono jedynie o tym i w najprzeróżniejszych językach udzielano sobie nawzajem informacji. Tylko, że nikt i nic nie potwierdzało.

Już na sam widok tego tłumu zdezorientowanego, podnieconego, złaknionego powrotu, który wydawał się coraz węższy, doznałam uczucia fizycznego zmęczenia. Oparłam się o mur cementowego budynku i miałam ochotę tylko spać.

Mark poszedł, by wyszukać jakieś miejsce. Korytarze, sale, schody były tak zapchane, że nawet nie próbowałam przez nie przebrnąć. Zresztą nie miałam sił. Patrzyłam więc za Markiem gdy się oddalał, gubił się między ludźmi, nikł za budynkami. Ogarnął mnie strach, że teraz stracę go z oczu na dobre. Uświadomiłam sobie, że gdyby Mark nie wrócił, to chyba się spod tego muru nie ruszę. Nie sposób wyrazić jak w tym momencie poczułam się w tym rojowisku ludzkim zgubiona, obojętna, smutna.

Słońce na tym ogołoconym betonie podwórza paliło żarem i pragnienie przyschnęło mi do warg. Bolała mnie głowa. Wreszcie go zobaczyłam. Szedł rażno i z daleka czynił w moim kierunku ożywione gesty. Wyglądał jak

chłopak, który się rozdokazywał i wygłupia się, by kogoś rozśmieszyć.

— Chodźże, odlep się od tego muru — wołał głośno. Znalazłem kąć. I pociągnął mnie za sobą, wymijając szybko i zręcznie grupujących się co kilka kroków ludzi. Faktycznie, w jakimś garażu bez drzwi wyszperał kawałek wolnego miejsca, poza skrzynkami, sztabami żelaza i rupieciami, wśród których siedziało w kucki na prowizorycznych legowiskach mnóstwo innych pomęczonych i pewnie zgłodniałych ludzi.

Jakim sposobem przed wieczorem jeszcze Markowi udało się znaleźć nawet koc i trochę słomy — to już nie wiem. Byłam u kresu sił. W nocy chwyciła mnie gorączka. Miałam spierzchnięte, suche wargi, oświadczył mi ciężki żar, a w uszach nieustannie i męcząco słyszałam wzbierający szum. Mark w jakiejś blaszanej puszcze przyniósł mi trochę wody. Jego ręka była chłodna, więc przytrzymałam ją przy skroniach, a Mark przykucnął przy mnie i co chwila mnie pytał: „już ci teraz lepiej?”. Męczyło mnie to, więc nie odpowiadałam.

Ile dni ile nocy ta gorączka mnie trawiła — nie wiem. Wieczorem majaczyłam. Koszmarne kształty i barwy podrywały mnie ze słomy i gwałtownie otwierałam piekące powieki. Półświadomie dostrzegałam sylwetki ludzi poruszających się w garażu. Zdawało mi się, że byli tuż, blisko, jak ogromne, nieproporcjonalne widziadła. A przecież głosy ich dochodziły mnie gdzieś z daleka, jakby się od nich odrywały, uchodziły w przestrzeń i dopiero stamtąd wracały stłumione i ciche, by osiąść na ich poruszających się wciąż wargach.

Wreszcie któregoś ranka, otarłszy szorstkim kocem pot z twarzy, uniosłam głowę i spostrzegłam Marka. Zdawało mi się, że go długo tu nie było i dopiero teraz się zjawił. Siedział tuż przy mnie oparty łokciem o pakę.

— Skąd wróciłeś? — wyrwało mi się jakimś nie moim głosem.

Zwrócił się twarzą ku mnie, ale nie dostrzegałam jego rysów. Było jeszcze bardzo szaro. Jakąś wilgotną

szmatą ocierał mi czoło, odchylając z niego lepki kosmyk włosów. Zdaje się, że zaraz usnęłam.

Gdy się w jakiś czas potem uniosłam, zobaczyłam, że u wyjścia z garażu było słońce. Dużo słońca i rażącego światła. To już nie ta szara porowata ściana, ku której byłam nieustannie zwrócona.

Mark siedział na skrzyni i mówił do dwóch mężczyzn, którzy stali tuż nade mną, popijając coś gorącego.

— Gdyby nie ta chinina, to nie wiem co by się z nią stało. Miałem szczęście, bo ów typ miał wszystkiego tylko dwa proszki. Przehandlowałem z nim za trzy paczki papierosów. Chciał cwaniak cztery, ale zmiękł.

— No i od razu lepiej.

— Inaczej to by kiepsko było — potakiwali.

— Na gorączkę to tylko chinina.

Mark się zwrócił ku mnie.

— Patrzy na mnie, a co, widzicie? — wołał z podnieceniem. — Kto ja jestem, powiedz, no nazwij mnie wreszcie!

Mimo woli uśmiechnęłam się.

— Mark — rzekłam cicho, by mu sprawić przyjemność.

— Słyszycie?! — zawołał z triumfem.

Po kilku dniach już wstawałam i mogłam chwiejnie dojść do drzwi garażu. Siadałam na progu. Patrzyłam na ludzi, którzy grupowali się, chodzili, mijali, to tu, to tam, i ten ruch był dla mnie swego rodzaju atrakcją. Podpierałam ręką głowę i mogłam tak patrzeć godzinami.

Mark tymczasem biegał. Z odżywianiem było bardzo kiepsko w tych koszarach. Kuchnie były źle zorganizowane, nie przygotowane na taki nawał ludzi. Podobno od piątej rano do południa czekało się w długich ogonkach na miazgę czarnej, niesłodzonej kawy. Zupę dostawało się gdzieś pod wieczór, albo i wcale nie. Trzeba więc było sobie radzić na własną rękę. Mark z niebывałym sprytem wkręcał się gdzie się dało, chodził z kolegami na fermy, w mieście nagabywał amerykańskich żołnierzy, nieustan-

nie czymś handlował, wymieniał, skupował. Tak więc rano miałam często trochę świeżego mleka, czasem parę jabłek, konserwy, ba, nawet miętowe, zielone cukierki. Kiedy go dostrzegałam, gdy wracał ze swą płócienną torbą przewieszoną przez ramię, rozradowany, ożywiony, rzeźki, podnosiłam się z progu i szłam wolno na jego spotkanie. Obejmował mnie i szliśmy tak razem do naszego kąta, gdzie Mark, wypróżniając torbę, opowiadał mi co słyszał nowego, co widział, o czym mówiono. Ten i ów przysiadł się do nas i godzinami mówiliśmy o powrocie. Dłużyła się nam już wszystkim ta koszarowa egzystencja. Toteż wszelkie wiadomości dotyczące możliwych transportów, choćby niepewne i mgliste, były dla nas pasjonującym tematem. Wieczorem, któryś z naszych towarzyszy powiedział zdeprymowany:

— Cóż chcecie, jak w takim tempie pójdzie, to jeszcze tu całe tygodnie przesiedzimy. Zaledwie dziesięć, dwanaście aut zajeżdża co dzień do koszar. A tu przecież tyle ludzi! — Ktoś dodał:

— Podobno nas tu przeszło dziesięć tysięcy. Zimować tu przyjdzie.

A inny zawołał:

— Jeńcy to przynajmniej mają szczęście. Wystarczy im zapisać się tylko w biurze na listę, pokazać swoją książeczkę wojskową i już nazajutrz zawożą ich na lotnisko. Samoloty biorą ich rano, a w południe mogą już pić aperitif w Paryżu.

— Jeniec ma pierwszeństwo przed cywilami. My to gówno. A przecież nas tu też przymusowo wzięli.

— To i czekamy — dorzucił ktoś z goryczą.

A Mark był jeńcem. Mógłby pojechać nawet jutro... Wtedy zostałabym w tych koszarach sama. Od końca wojny to słowo było dla mnie obsesją, lękiem. Sama. Co znaczyło: być samą? Fakt, że się było właśnie między ludźmi?...

Wreszcie któregoś dnia kolumna kilkunastu aut zjechała przed budynek tuż obok garażu. Stało się to tak nieoczekiwanie, że nie było czasu się zebrać.

— Teraz na was kolej — zawołał po francusku jakiś Kanadyjczyk — ładujcie się raz, dwa! Zaraz odjeżdżamy!

Kto sprytny, kto szybki, kto łokcie rozepcze, odepchnie innych, ten odjedzie. Reszta będzie czekać na następny transport. Za tydzień, za dwa... Kto wie kiedy.

Mark był zwinny. Chwycił mnie gwałtownie za rękę i nie wiem doprawdy jak się stało, że znalazłam się w aucie. Pchano mnie ze wszystkich stron, duszono, parto na mnie, wreszcie uczułam, że ktoś mnie unosi w górę. Znalazłam się na platformie. Żołnierze zaczęli już odpychać resztę, zarzucili klapę, zgrzytnęły zasuwy. W ostatniej chwili Markowi udało się uchwycić tył auta. W momencie gdy ruszało, z trudem przewalił się na platformę. Odetchnęłam.

Auta wyjechały z impetem za bramy koszar i pędziły już teraz jedno za drugim gładką, szeroką szosą. Byliśmy na tych platformach jak żywy, rozchybotany bagaż, który na każdym wirażu chylił się to w prawo, to w lewo nieruchomą stłoczoną masą. Staliśmy, łapiąc się nawzajem ramion, wparłszy się w siebie dla utrzymania jakiej takiej równowagi.

Drzewa, które mijaliśmy w tym pędzie, nie były już oddzielnymi drzewami, tylko zwartym, świszczącym szpalerem, który usiłował nas smagać gałęzmi.

Pędziły ciężarowe auta, pędziło z nami powietrze, czas, przestrzeń, droga. Wszystko było już tylko zawrotną szybkością. P o w r o t e m !

Przy kierownicach, w pełnym biegu, nonszalancko zmieniali się miejscami kanadyjscy szoferzy. Wariaci! Toż to istna akrobacja! Ale to nic, niech się nie zatrzymują, niech nie tracą czasu.

Mimo niewygodnej pozycji, mimo zmęczenia, wszystkich rozpierała radość, radość pędu, powrotu. Spiewano, wymachiwano rękami, mijając miasteczka i wioski.

— *Adieu, adieu, sales Boches* — wołano za ludźmi, którzy przystawali.

I ja tylko chyba sterczałam milcząca, nieżywa ze strachu i niepokoju przed każdym brutalnym zakrętem

szosy. Wciśnięta w tę rozwrzeszczaną z emocji grupę, jakże byłam nieludzko sama. Dla mnie to nie był powrót tylko odjazd, droga w przeciwnym kierunku. Między mną a krajem był front, szturmowe armie, był Berlin, który dopiero atakowano. W tym kierunku nie szły jeszcze żadne transporty. Mowy o tym nie było.

Jechałam więc do Francji, tak jak inni. Mark też. Dlatego chyba byliśmy wciąż razem. Długo trwał ten etap. Potem zabrały nas towarowe długie pociągi do Frankfurtu. Nie było ani sygnałów, ani rozkładu jazdy, nie było nawet dworców. Mijaliśmy tylko gruzy spopielałych miast i stosy dziwacznie wykręconego żelastwa wzdłuż jedyne go, pośpiesznie oczyszczonego toru.

We Frankfurcie transporty utknęły. Chodziło o jakiś most. Podobno był rozwalony. Inni mówili, że już go prowizorycznie naprawiono. Ale dwa dni temu zawalił się pod ciężarem pociągu o dziewiętnastu wagonach, który przewoził Belgów. Bujda, po co siać niepotrzebnie panikę. A może prawda, skoro wszyscy o tym we Frankfurcie mówią.

Wreszcie transporty ruszyły. Pamiętam ciągle ten most. Był długi i pociąg jechał nim wolno, wolniutko, jakby się miał lada moment zatrzymać. Szerokie drzwi wagonów były otwarte. Francuzi siedzieli na platformie, zwieszając z niej nogi. Zdawało się, że zarzuca długie wędki, by łowić ryby. A ja z za ich pleców patrzyłam lękliwie w dół na tę szarą, szybkim prądem uchodzącą wodę i myślałam o Belgach. Byłam okropnie tchórzliwa.

Poza tym mostem nie było już w drodze żadnych emocji. Nocą, kołysani monotonnym rytmem kół, przejechaliśmy granicę. Nikt się nawet nie zbudził. Przed wieczorem ktoś wykrzyknął:

— A co, nie mówiłem, dojeżdżamy do Paryża!

Zdławiło mnie niespokojnie w gardle. Paryż! W wagonie wszyscy się rozruszali, tłoczono się, popychano. Mark pociągnął mnie ku przodowi. Wyglądaliśmy poprzez ramiona i głowy innych.

Widzisz, mijamy teraz lotnisko, a tam na lewo to centrala...

— *C'est grand Paris!* — skonstatował ktoś głupio.

— *C'est grand...* — potakiwano z namysłem, byle coś powiedzieć, byle się nie przyznać, że nagle łaskocze w sercach.

Pociąg zwałił się na dworzec — Austerlitz.

A więc to był już naprawdę powrót. Dla nich. Na peronie słabo oświetlonym stały tłumy ludzi, kobiety, dzieci, stali zbitą, skupioną masą, wparci w żelazną barierę, wzdłuż której szliśmy wolno jeden za drugim, ciągnąc tłumoki. Byli tacy, co z zażenowaniem, z niepewnym uśmiechem na wargach szukali oczyma wśród tej masy blade oświetlonych głów. A nuż ktoś ze swoich?... Bo chwilami zza bariery wyrывał się jakiś okrzyk. Tłum się poruszał, chybotął, ktoś się przepychał ku przodowi. Wtedy nie jeden się oglądał. A nuż to do niego?... No, pewnie!

U wyjścia czekały na nas autokary. Gromadzono się i tu koło nas. Kobiety rozpytywały: skąd, z jakich łagrów?... czy inni już też wracają? Któraś z nich spojrzała na mnie.

— Patrzcie, ta też z Niemiec wraca! Lepiej było tam zostać!

— My tu takim głowę golimy! — zawołała inna.

Ktoś mnie szturchnął. Rozkrzyczano się nagle koło mnie.

— Zabieraj się z powrotem, wracaj! — Któraś z kobiet cisnęła w moją stronę z impetem dojrzałą brzoskwinia. Rozplaskła mi się lepkiem mięższem na ramieniu tuż koło szyi.

— *Putain! Retourne chez les Boches!*

— Stulcie gęby — wrzasnął nagle spoza mnie Mark. Jak wam nie wstyd. To nie żadna wolontariuszka, z obozu wraca, deportowana...

— Aaa — powiedział ktoś nijako.

— Skądże to wiedzieć. Były takie co same pojechały — wyjaśniano z zażenowaniem.

— Ale ja wiem! Popatrzcie, Polka przecież, deportowana — powtarzał dookoła zirytowany.

Zamilkli, może nawet i głupio im się zrobiło. Aż tu nagle jakaś dziewczyna zachichotała:

— To czego tu, niech wraca do siebie. Alboż tu na was nasze nie czekają. — Zakręciła się szybko na obcasach i wmieszała w tłum.

Wsiadłam do autokaru. Ruszyliśmy w stronę śródmieścia i patrzyłam przez szyby na mijane ulice. Nieciekawa ich teraz byłam. Mark milczał.

Nazajutrz zaczęły się po biurach formalności, papiery, komisje lekarskie. I znowu wszędzie tłum ludzi, ogonki — przy biurkach, przy okienkach, po korytarzach. Tu wydawano jakieś bony, tam coś notowano, wypełniano formularze. Ciągle to samo: nazwisko, miejsce urodzenia, narodowość, skąd... jak... a dokąd...

Wtedy zawsze Mark wysuwał się ku przodowi.

— Jedziemy do mojej rodziny, tak — odpowiadał nieustannie — załatwimy formalności i potem weźmiemy ślub.

Niezliczoną ilość razy obilo mi się już o uszy to słowo — ślub, ślub... A ciągle zdawało mi się, że to nie o mnie chodzi tylko o kogoś obok, lub poza mną. A może po tych biurach zawieruszyła się moja identyczność. Nazwisko, data urodzenia, narodowość... wszystko się gdzieś pogubiło w formularzach, kwestionariuszach, wszystko już oddałam, zostawiłam na biurkach i teraz, cóż mi zostało? Moje ja, którego już nie poznawałam? To ja, które miało podobno wziąć ślub?

Powiedziano mi, że muszę jeszcze się zgłosić do polskiego konsulatu. Poszłam. Mark czekał na mnie na ulicy.

W pustym szerokim korytarzu poziewał woźny.

— A no usiądź pani, zaczekaj pani.

Konsul przyjął mnie szybko. Siedział za masywnym biurkiem, wydawał się zza niego mały i raczej nijaki. Ale był uprzejmy. Sekretarka wyciągnęła formularz w trzech egzemplarzach. I znów odpowiadałam na pytania. Wreszcie konsul podpisał, przypieczętował. Te papiery miały

mi służyć wobec władz francuskich. Coś mi tam jeszcze wyjaśniał. Mówił cicho, miał zmęczony głos, zmęczone oczy.

— A w każdym razie — zakończył — nie radzę pani wracać do kraju. Przynajmniej na razie.

Gdy już byłam prawie u drzwi, zapytał:

— Co ma pani zamiar robić?

Zawahałam się.

— Nie wiem — skinęłam głową i wyszłam.

Na korytarzu woźny nudził się, przewracając w rękach gazetę. Chciałam chwilę odpocząć. Przysiadłam koło niego na ławce. Dawno już nie miałam przed oczami żadnego drukowanego pisma.

— Można? — poprosiłam.

Ustał mi natychmiast gazetę. Był to jakiś londyński biuletyn informacyjny. Nic ciekawego. Szpalty z drobnymi drukami, wypełnione komunikatami.

— No i dokąd to teraz jedziesz pani?

— Do jednej rodziny.

— Francuskiej?

— Tak, mam wziąć ślub — powiedziałam prawie bezmyślnie.

— Z kim, z Francuzem?

— Z Francuzem.

— Jeniec może?

— Tak.

— Aaa... A co on robi? — spytał z praktycznością przezornego w życiu człowieka.

— Robotnik.

Chwilę pomyślał i znów zapytał:

— A w jakim, że tak powiem, fachu?

— Zdaje się, że nie ma określonego zawodu. Właściwie to nie wiem...

Woźny przeciągnął ręką po szarych włosach. Westchnął.

Oddałam mu gazetę.

— Nic w niej nie ma ciekawego — rzekłam rozczarowana.

— A bo o czym to pisać — odparł lakonicznie.

Odprowadził mnie korytarzem do samych drzwi, nie tyle służbowo, ile może dlatego, że nie miał co robić. U wyjścia mnie zatrzymał.

— Z tym ślubem to się jednak pani nie spiesz. Poczekaj, rozejrzyj się pani — rzekł przekonywująco.

Uścisnęłam mu w milczeniu rękę.

Na schodach nie wiem czemu, myślałam o Neli. Mark niecierpliwił się na ulicy:

— Ugrzęzłaś w tym twoim konsulacie. Myślałem już, że się nie doczekam.

— Chodziło o formalności.

Na drugi dzień rano pojechaliśmy do R. Było to brzydkie, małe miasteczko. Fabryki, domki robotnicze, bezdrzewne, gorące ulice.

— A więc tu wreszcie utknę — myślałam niechętnie.

W podmiejskim długim domu mieszkała rodzina Marka. Byli tu ściśnięci, bo żyli wszyscy razem na dole, a życie ich koncentrowało się w brudnej, niedbale utrzymanej kuchni. Na górze u poddasza były małe, duszne sypialnie o zamkniętych od słońca okiennicach. Było mroczno.

Cóż ci mam o nich mówić — była to rodzina robotnicza, zapewne taka jak inne. Dwaj bracia pracowali w cegielni. Należeli do syndykatu, mówili ciągle o strajku, o płacach, o dyrekcji, ale w rezultacie byli bierni, leniwi, i jak słusznie Mark im wyrzucał, tylko w gębie wciąż swą politykę obracali. Ojczym pracował w rzeźni miejskiej. Był mały, schorowany i trudno było sobie wyobrazić, że ten nieszkodliwy, małomówny człowieczek ubijał co noc bydło. W dzień siedział na krześle i nic nie robił.

Synowe były raczej wulgarnie i sprytnie. Jedna z nich, Hiszpanka, pracowała jako szwaczka, ale uchodziła raczej za tandetną. Podobno dość często partaczyła, więc dawano jej tylko przeróbki. Druga, nieco starsza, pracowała w mechanicznej pralni. Znano ją w miasteczku, bo „zanim się ustatkowała”, jak to mówią ludzie... ale mniej-sza z tym. Dzieci było dużo. Umorusane, zasmarkane,

biegały cały dzień po ulicy i wpadały do domu tylko, by coś porwać do zjedzenia.

W domu wodziła jej matka Marka. Była to tęga brunetka o ładnych, choć twardych rysach. Jej czarne oczy, przenikające i uważne, energicznie się po wszystkich rozglądały. Posiadała nieoceniony dar poznawania ludzi na pierwszy rzut oka. Potrafiła zawsze zastosować wobec nich umiejętną taktykę. Była powściągliwa zarówno w słowach jak i w gestach. Wyglądała przez to na szorstką, a była tylko rozważna, ostrożna. Autorytet swój utrzymywała w sposób pełen niezrównanej dyplomacji. Z sąsiadami nie utrzymywała żadnych stosunków. Zachowywała wobec nich umiarkowany dystans. Toteż, gdy ją zapytywano, niby to od niechcenia: „a jakżeż pomieściła pani tych dwoje młodych w takiej ciasnocie?” — odpowiadała bez wahania: „dałam im łóżko w mojej sypialni. Odgrodziłam je parawanem”.

„A kiedy ślub?” — podchwytywano złośliwie. „Zobaczmy” — odpowiadała krótko.

Źle się tu czułam, źle i obco. Zdawałam sobie sprawę, że mimo obustronnego wysiłku, nie można było mówić o współżyciu. Wiedziałam, że nie wsiąknę w atmosferę tego domu, nie nawyknę do ich sposobu życia, nie porozumiem się. Byłam obca.

I raz wieczorem matka Marka odważnie, bez hipokryzji, bez ogródek, krótko to skonstatowała. Nikt nic nie powiedział. Faktem było, że jestem dla nich zawadą, że ich krępuję, że jestem tu intruzem. Że przywłaszczyłam sobie egoistycznie miłość Marka, bo na razie było mi z tym wygodnie. Tak, miała odwagę powiedzieć mi to prosto w oczy, nie spuszczając ze mnie wzroku. Nie zawahała się też wyrzucić Markowi, że jest otumaniony, nierozsądny, że komplikuje sobie życie idiotycznym zaślepieniem i że czas to wreszcie zrozumieć. Mark milczał.

Wtedy zwróciła się znów do mnie:

— To przecież tylko pomyłka. Dlaczego on tego nie może zrozumieć? Czyż to ja mam mu oczy otwierać?

Wtedy wstałam od stołu.

— Jutro sobie chyba pójdę — rzekłam jakby do siebie.

Dostrzegłam w jej oczach żywy błysk ulgi.

Nazajutrz zgłosiłam się do biura pośrednictwa pracy. Dano mi miejsce pokojówki hotelowej. W tym miasteczku były gorące, siarkowe źródła i leczono tu reumatyzm błotnymi kąpielami. Podobno były bardzo skuteczne. Latem zjeżdżało moc kuracjuszy, i w dolnej dzielnicy było dużo doskonale prosperujących hoteli.

Dostałam się do jednego z nich. Co robiłam?... Mój Boże, czyż warto o tym mówić? Scieliłam rozrzuconą na łóżkach pościel, wycierałam proszkiem umywalki, czyściłam grzebienie z włosów i szczoteczki od pasty do zębów, wylewałam nocniki. Po korytarzach i schodach zwijałam sztywne, czerwone chodniki i trzepałam je na dworze. Jadłam w kuchni i musiałam znosić wstrętne rozmowy i głupkowate uwagi personelu. Szczególnie pomocnik kucharza był dokuczliwy, bezczelny, wulgarny. Mam nawet wrażenie, że był niespełna rozumu.

Mark codziennie wpadał przed wieczorem do hotelu. Ale byłam tak zmachana, że zbywałam go byle czym, z roztargnieniem słuchając jego opowiadań. Pod koniec dnia czekało mnie zawsze składanie stosu wypranych prześcieradeł. Mark mi pomagał.

Mówił mi przy tym, że paskuje teraz razem z ojczymem. Ten przynosi łój z rzeźni i robią w domu mydło. A potem Mark je cichaczem sprzedaje. Brakło jeszcze ogromnie tego produktu więc ma dużo klientów i wcale dobrze zarabia. Tylko z policją trzeba uważać.

— Na miłość boską — mówiłam — Mark, jakże ci nie wstyd! Czyż nie lepiej byś zapisał się na jakiś kurs, nauczył porządnego zawodu?..

— Co tam! Wszędzie marne płace. Nie potrzebny mi żaden fach. Wystarczy mieć tylko trochę sprytu. Warunki są jeszcze nieustabilizowane więc handel tego rodzaju idzie na całego. Trzeba korzystać póki się da — mówić beztróska.

— Zresztą — dodawał — muszę zarobić dużo pieniędzy. Nie chcę byś się marnowała w tym hotelu. Nie widzisz jak tu mizerniejsz?

— Wcale mi tu nie jest źle. Zresztą nie kłopot się o mnie — dodawałam niemal szorstko.

Ale Mark był uparty.

W jakiś czas potem udało mi się nawiązać kontakt listowny z moją daleką kuzynką. Była faktycznie daleka, bo przebywała aż w Kanadzie. Napisałam jej któregoś dnia o moim hotelu, o pracy, o tym jak mam już dość sprzątanania klozetów i schodów, a może opowiedziałam jej też jak się splakałam w kącie korytarza, gdy mi dano po raz pierwszy napiwek. Oczywiście nie wspomniałam nic o Marku.

List od niej przyszedł bardzo szybko. „Przyjeżdżaj” — pisała — „nie namyślaj się, nie trać czasu! Czekam cię tu ciekawa praca i nasze swojskie, emigranckie środowisko. Trzymamy się razem. Pracuję w redakcji tutejszego miesięcznika. Pasjonująca robota. Dużo tu ludzi z Kresów. Czy wiesz, że paru Lwowiaków tu cię zna... mówiłam z nimi o tobie”.

Tego dnia czułam się dobrze i lekko. Nawet w jednym z pokoiów zamiast sprzątać oparłam się o framugę okna i długo wygrzewałam się na słońcu. Ale wieczorem ogarnęło mnie podniecenie i niepokój. „Przyjeżdżaj” — ale jak? Ileż to forsy trzeba na taką podróż? Z bagażem to nie kłopot. Wszystko co miałam mieściło się w jednym kartonie pod łóżkiem. A płaszcz? Czyż na taką podróż nie jest potrzebny jakiś płaszcz, albo przynajmniej kurtka? A co na nogi? Jakże to się puścić w drogę w tych łapciach na sznurkowej podeszwie?...

Było już późno, ale ani rusz nie mogłam usnąć. Zresztą w tym hotelu pchły tak niesfornie obskakiwały łóżko, że nie sposób było oka zmrzyć. A złapać pchłę to nie byle co. Tego się trzeba nauczyć. Być tak samo zrecznym i szybkim jak ona. Zapalałam światło, ale nie udawało się. Więc pogrążałam się znów w innych skomplikowanych kalkulacjach: trzy miesiące pensji, napiwki... Kto

wie, może to wystarczy na bilet okrętem? Odtąd myślałam już tylko o Kanadzie. To było mi ogromną pociechą w pracy. I powiem ci po cichu: już nie wstydziłam się napiwków, przeciwnie, czekałam na nie jak inne pokojówki. Musiałam kupić płaszcz, a zresztą jeszcze półtora miesiąca i skończę z tą hotelową harówką. Tą myślą żyłam, łudziłam się, trzymałam się nią od rana do wieczora. Z tą myślą usypiałam spokojnie, ufnie, dobrze.

Tylko, gdy Mark wpadał na chwilę by mnie zobaczyć, robiło mi się smutno. Oczywiście nic mu nie mówiłam o moim projekcie. Nie myślałam nawet jak mu o tym powiem. Czy w ogóle powiem?

Skończył się wreszcie sezon. Nic z mojej pensji nie wydałam i miałam niewielką, ale zapewne wystarczającą sumę. Mieszkaliśmy na razie dalej w hotelu, w tym pokoiku na poddaszu. Właścicielka bardzo poczciwie do mnie się odnosiła i sama mi to zaproponowała.

Jednego wieczora wpadł tu Mark. W zasadzie nigdy na górę do mnie nie przychodził. Powiedziałam mu, że regulamin hotelowy nie zezwala służbie na żadne wizyty na poddaszu. Nie było żadnego zakazu w tym zakresie, ale było mi tak wygodniej.

Tym razem jednak Mark przyszedł na górę mimo wszystko. Był podniecony, ożywiony, wesoły. Opowiadał, że poznał „jednego typa” z Paryża, który robi zawrotne afery. Ten mu zaproponował doskonały interes. Chodzi o zakup opon samochodowych z jakiegoś amerykańskiego stock'u.

— Czy wiesz ile teraz kosztuje jedna opona? — wołał. — W ogóle mowy nie ma by teraz znaleźć opony! A ten typ ma cały stock już prawie w rękach. Puszczają go po paskowych cenach, świetna okazja.

Tylko, że on nie ma forsy, to znaczy, że ma, ale nie tyle ile trzeba. Mark dołoży swoje pieniądze, ale mu jeszcze brak kilku tysięcy.

— To jakiś podejrzany interes — orzekłam.

— Co też ty mówisz! — zwykły handel. Któż teraz nim się nie zajmuje. Tylko nie każdy może dobrnąć do

źródła, znaleźć okazję. To bardzo porządny człowiek, paryżanin, ma stosunki i już niejeden interes przeszedł mu przez ręce.

Z tego co mówił wynikało, że sprzedawanie tych opon na czarnym rynku będzie niemal charytatywną akcją. Ludzie ucieszą się z tej możliwości. A Mark z owym typem zarobią. W pośrednictwie nie ma nic złego. Wystarczy mieć do tego żyłkę.

— Jeżeli ty dołożysz twoje pieniądze, interes będzie ubity jeszcze w tym tygodniu. Suma, którą włożysz, podwoi się.

I będę sobie mogła kupić płaszcz, pantofle i wszystko co mi trzeba na drogę — myślałam.

Dość, że w pół godziny potem Mark wymknął się z hotelu. A ja powierzyłam mu pieniądze. W tydzień potem ów „bardzo porządny typ z paryskimi stosunkami” wsiąkł jak kamień w wodę. Nie było słyhu ani o nim, ani o owych oponach. Zostawił jakiś adres, ale list wysłany do niego wrócił z dopiskiem poczty: *destinataire inconnu*.

I byłam teraz bez grosza. Mark zresztą też. Nie miałam na razie pracy. Markowi handel mydłem już nie szedł, bo towar pojawił się w sklepach, wprawdzie na kartki, ale wystarczająco. Wtedy zaangażowałam się jako dochodząca służąca po domach. Mark dostał pracę przy wyrębie okolicznych lasów jako drwal. Widywaliśmy się raz na tydzień, w niedzielę. Szliśmy wtedy razem do kina, czasem na spacer. Mark miał mnóstwo projektów, był dobrej myśli, optymistycznie patrzył w przyszłość nie spostrzegając się nawet, że nie miał właśnie żadnej przed sobą perspektywy. Jego plany były chimerami, dziecinną — opierały się na niepewnym: „a jeżeli”, „a gdyby tak...”; „; a może coś naraz”. Nie miało to żadnych realnych i przemyślanych podstaw. Ale Mark był ufny i beztrosko upraszczał wszystko. Nie warto rozumować. Rozsądek komplikuje każdy szczegół.

Ja zaś podle, cichaczem, snułam nowy plan. Napisałam do Paryża, zwracając się do jednej organizacji emigra-

cyjnej której adres nawet nie pamiętam jak wyszperałam. Miałam szansę. Bo prezesem tego komitetu był dawny przyjaciel twego ojca, człowiek o niezwyklej logice i woli, inteligentny, aktywny, doświadczony. Trzebaż trafu, że mój list wpadł właśnie w jego ręce.

Odpowiedź była oczywiście bardzo pomyślna, przyjemna, nieoficjalna. Proponował mi pracę w bibliotece, którą organizowano dla polskich żołnierzy na terenie okupacji francuskiej. „Tego właśnie nam trzeba: kto do tej pracy podejdzie nie tylko inteligentnie i umiejętnie, ale z sercem i entuzjazmem, czego wiem, że nigdy pani nie brakło” — pisał. Dałam znać, że przyjadę prawdopodobnie z końcem miesiąca.

Była jesień, ale w tym południowym klimacie odczuwało się jeszcze suchość, niemal gorąco lata. W wolnych chwilach chodziłam kilka kilometrów na piechotę do lasu, w którym pracował Mark. Lubiłam tę drogę. Były tu ogromne paprocie i sosny ociekające żywicą. Siadywałam na zwalonym konarze i patrzyłam jak Mark, obnażony do pasa, obciosywał z innymi lepkie od soku gałęzie. Czasem nadchodziłam w momencie, gdy piłowano, rytmicznie, wytrwale, długo. Naraz zgrzyt urywał się, cisza, kilka pokrzykiwań — i wolno z głuchym łomotem zwałało się ogromne drzewo. Doznawałam wrażenia, że to pada jakiś tragiczny kolos z otwartymi szeroko ramionami, kryjąc twarz w ziemi. Mark zbliżał się ocierając pot i siadał na chwilę koło mnie. Wracałam przed zapadnięciem mroku. Po drodze myślałam o Paryżu, o tej bibliotece, kładłam się spać zmęczona żywicznym powietrzem i marszem. Na zajutrz rano szłam do pracy.

Czułam się czasem jakoś niewyraźnie. Mroczyło mi się w oczach, albo gdy długo stałam pochylona przy praniu kręciło mi się w głowie i wszystko się naraz dokoła mnie zataczało. Raz zasłabłam, gdy odkurzaczem czyściłam fotele w salonie. Moja pracodawczyni, przemiła kobieta, poradziła mi pójść do doktora. „To anemia, trzeba się trochę wzmocnić” — mówiła troskliwie.

Doktór spokojnie mnie zbadał.

— Mam wrażenie, że to już drugi miesiąc ciąży —
orzekł obojętnie. Proszę się pokazać za jakiś czas.

Nazajutrz była niedziela. Powiedziała Markowi od razu. Nie posiadał się z radości i myślała, że mnie zgruchocze w ramionach na powitanie. Przez resztę dnia był tak zabawnie uważający i zapobiegliwy, że mnie to w końcu zirytowało. Po raz pierwszy miałam ochotę mu powiedzieć coś przykrego, coś co dotknie, rozżali.

— I cóż ty myślisz, że ja z tym bachorem zrobię?!
Ani forsy, ani mieszkania.

— Co tam, jakoś się ułoży, zobaczysz.

Zresztą jak się potem przekonałam, to było przecież jego życiową dewizą.

No i tak zostałam. Ale zimno już się robi nad tym stawem, może wrócimy? Nie wzięłam swetra.

Tomasz uniósł się wolno i w milczeniu szli teraz przez park. Mrok opadał w aleje. Nie było już letników na ławkach, ani dzieci, ani psów.

Rozpachniały się odurzającą wonią lipy.

Kolację tego wieczora zjedli w półmroku, nie zapalając nawet światła. Tomasz otworzył radio. Wspaniała orkiestra wiedeńskiej opery grała piątą symfonię Beethovena. Tomasz usiadł w fotelu. W miarę jak słuchał, rysy jego tężały, nieruchomiały, wargi się zwęziały. Opuścił oczy, chwycił oburącz głowę i trwał tak bez poruszenia, skupiony, jakby obolały.

Muzyka była jego pasją. Od dawna grał na pianinie i tu w domu było mu zapewne tego bardzo brak.

Stała we framudze okna i też słuchała. Nie z roz-targnieniem, byle jak, jak to zazwyczaj. Ale tym razem uważnie, z namysłem, cicho. Usiłowała się wczuć w muzykę, by zrozumieć co Tomasz z niej wchłania w tym momencie. Radość czy ból, spokój czy zamęt — w jego twarzy było to wszystko skojarzeniem.

Tylko właśnie teraz wraz z głośnym pukaniem wtargnęła Madame Duval.

— Co światła u was nie ma? — wołała od progu. Przekreśliła kontakt u drzwi. Już była w pokoju i dopadała do tapczanu.

— Niesłychana historia! Wie pani, co mi gospodyni wyszykowała? List rekomendowany. Wymawia mi swój pokój! Dech jej zapařło, z takim impetem wyładowała z siebie tę nowinę.

Udała zdziwienie. Doprawdy? Czemu? Było to proste. Madame Duval nie płaciła już od pięciu miesięcy czynszu. Ale przecież jej mąż był w Indochinach, wszyscy o tym wiedzą. A ta podła gospodyni wcale się tym nie wzrusza! Trybunałem jej groził!

— Niechże tylko pani posłucha w jakim tonie do mnie pisze. — Odczytała list.

— Widać, że nie ustąpi — przytakiwała.

— Ooo! Ja z tego wybrnę. Nie dam się szykanować. Sprowadzę kontrolę mieszkaniową i będzie musiała wszystkim obniżyć czynsz. Zobaczysz pani!

— Tak, kontrolę — mówiła.

— I do trybunału z nią!

— Do trybunału — powtarzała machinalnie. I naraz głupio się jej zrobiło. Z gospodynią przecież żyła dobrze, nigdy nie miała z nią żadnej utarczki. Czyż to ładnie tak podjudzać Madame Duval tym trybunałem, kontrolą?...

Ale przecież mówiła to tylko tak na odczepnego. Byle się jej w tym momencie pozbyć. Sąsiadka rozsiadła się na dobre i wyjęła włóczkową robotę; zanosiło się na wizytę do późnego wieczora.



Nazajutrz miały powrócić dziewczynki z kolonii wakacyjnej.

— Pójdiesz ze mną na dworzec? — spytała Tomaszka.

— Dobrze.

Czekała, że się ucieszy, że mu się będzie spieszyło, by je zobaczyć. Przecież to były jego siostry. Ale jeszcze

ich nie widział, nie znał. Cóż mógł odczuwać na myśl o nich, poza zwykłą ciekawością.

Stali więc na peronie, czekając na pociąg. Nadszedł. Dziewczynki zeskoczyły ze stopni wagonu i rzuciły się pędem ku matce. Naraz przystały.

— To wasz brat Tomasz — wyjaśniła po francusku.

Ivette odwróciła głowę patrząc na naczelnika stacji z czerwoną chorągiewką. Tomasz miał już na ustach przyjazne *bonjour*, ale rzuciły się ku wyjściu i szły naprzód, nie odwracając głowy. Były jasne i zwinne. Szczególnie ta młodsza ze swymi krótkimi warkoczycami wydawała się Tomaszowi zabawna.

— Jakże wam nie wstyd! — zawołała — przywitajcie się. Wtedy Sylwia przystała, podskoczyła do Tomasa, ale zanim mu zarzuciła ręce na szyję, opuściła głowę i wywinęła mu się z otwartych ramion.

— Chodźże, nie wygłupiaj się! — napominała Ivette.

Biegły, trzymając się za ręce, by podrażnić płaskiego jamnika, który za nimi piskliwie ujadał wzdłuż siatki hotelowego ogrodu. W domu, gdy zasiadły do śniadania, zza miseczek kawy widać było tylko ich oczy, które ukradkiem śledziły Tomasa.

Wreszcie Ivette nie wytrzymała i rzekła do matki z wyrzutem:

— Mówiłaś: przyjedzie wasz brat, będziecie miały brata, a tu co?

— Jak to co?

— On przecież taki duży jak papa. Cóż nam z takiego brata? — rzekła z żalem.

— Za duży — potwierdziła zdecydowanie Sylwia.

— Co ona mówi — wypytywał Tomasz.

— Wygłupia się.

— Co ty jemu mówisz — spytała podejrzliwie Ivette.

— Że wy się bardzo cieszyście...

— Nieprawda — zaprotestowała Sylwia. — Cóż to za brat, nawet nie umie mówić tak jak my.

— On chyba małol — oznajmiła rzeczowo Ivette, zajadając chleb z marmoladą.

— O co chodzi? — pytał na wpół ze śmiechem Tomasz.

— Och, nic, głupstwo!

— Powiedz mu, że za duży i już — upierała się Sylwia.

— Och, dajcie mi spokój, wyrrywajcie teraz na galeryę — rzekła zirytowana.

— A on, to zostanie z tobą — burknęła Ivette.

Miała zaledwie dziesięć lat i doprawdy niemożliwy charakter. Lubiła mówić na opak, była przekorna, zaczepliwa, arogancka. Trudno było ją utrzymać w ryzach. Wysyłała ją co roku na kolonię z myślą, że w dyscyplinie zbiorowego życia będzie musiała ustępować, poskromi swą szorstkość i despotyzm. Ivette po powrocie opowiadała zastraszające historie o tym jak ją torturowano, jak się nad nią znęcano, jak wszyscy byli wobec niej wyrefinowani i źli, a że miała dużo imaginacji, więc w końcu wierzyła, że tak było istotnie, rozczułała się nad sobą i oczekiwała, że matka teraz jej zrekompensuje ten tragiczny miesiąc na kolonii.

Ponieważ ośrodek ten prowadził zakład Franciszkanek, Ivette przy swej skłonności do przesady popadała w istną bigoterię. Nad łóżkiem przypinała pluskiewkami na ścianie święte obrazki, dekorując je medalikami i kolorowymi papierkami od cukierków. Wieczorem odprawiała długie modły, prosiła o nawrócenie Chin, o wyzdrowienie papieża, modliła się za piratów na morzu, za bandytów w więzieniach, błagała o ciepłą zimę dla Eskimosów, o ulgę dla trędowatych i karę dla Madame Duval, która trzy razy do roku topiła kocięta.

Powiedziała raz poważnie i zdecydowanie, że albo zostanie zakonnicą, albo wyjdzie za mąż za Murzyna.

— Dlaczego za Murzyna — dziwiła się zaintrygowana Sylwia.

— Też pytanie! Że by go nawrócić!

— A po co?

— Bo beze mnie pójdzie do piekła, głupia kozo!

Sylwia umilkła nie wiadomo czy z podziwu czy z

ostrożności. Z kapryśnym humorem siostry nie łatwo jej było sobie radzić. Szczególnie, że Sylwia była z natury potulna i spokojna. Miała dużo wrodzonego wdzięku i łatwo sobie wszystkich dokoła zjednywała. Ale ze zdrowiem jej było raczej kiepsko. Szczuplutka, chuchrowata, wątła, reagowała niezwykle na najmniejszą zmianę temperatury. Wystarczył zimniejszy podmuch, a już gorączkowała i zmagala się cichutko i słabo z jakąś zażartą chorobą, która ją potem na długi czas zbijała z nóg.

Może dlatego miała do Sylwii lekką słabość. Zresztą Sylwia umiała rozbierać ufnym wyrazem dużych, niebieskich oczu i kocią pieszczotliwością. Była poza tym wrażliwa i posłuszna, doprawdy nie sprawiała kłopotu. Tylko przy stole trzeba ją było ustawicznie upominać: bo grzebała w talerzu jedząc leniwie i niechętnie, aż tłuszcz zastygał i wszystko przybierało wygląd nieapetycznej i zimnej papki.

Sylwia wróciła z kolonii zarumieniona, ale jej zdawało się, że ma nogi jeszcze bardziej patyczkowate. Może urosła.

Tomasz przechyliwszy nieco głowę przypatrywał im się przez okno, ale go nie zauważyły. Może dlatego, że był za firanką. Ivette siedziała na ziemi pogrążona w pasjonującej lekturze, a Sylwia gładziła miękko lśniąca sierść rozleniwionej Kali.

Już chyba ze dwa tygodnie minęły od przyjazdu Tomasza, stwierdziła w myśli. Byli razem całymi dniami, a właściwie przecież nie byli z sobą. Tomasz spał długo, wstawał bardzo późno i zaczynał się myć przy kuchennym zlewie właśnie wtedy, gdy płókała przy nim jarzyny, albo coś przepierała. Nie miała łazienki i to było niewygodne. Usuwała się więc nieco na bok, a on rozchlapwał na wszystkie strony wodę i mydlaną pianę.

Do śniadania siadał sam. Jadł długo, dużo i czytał gazetę. A że niewiele z jej tekstu rozumiał, upierał się i co chwila wołał do kuchni zapytując o takie czy inne słowo, które wymawiał niemal fonetycznie i z okropnym akcentem.

Więc nadbiegała z kuchni, by zająrzeć mu przez ramię do gazety, ale on już zgubił szpalnę, nie umiał jej odszukać w tej niezrozumiałej treści, tłumaczyła mu więc na zapas całe zdania, za chwilę jednak znów musiała wrócić, bo Tomasz utykał na nowym słowie.

Wreszcie wstawał i szedł trochę na dół — najczęściej tylko po znaczki pocztowe. Zostawiał za sobą stół lepki od konfitur, pełen okruszyn i mokrych plam po kawie.

Zaraz niemal potem była godzina obiadu. Właśnie wtedy Tomasz pograżał się w korespondencji. Pisał długo, wyrwał niepotrzebnie z bloku kilka kartek na raz, rwał kopertę, bo mylił się w adresach, wreszcie pozostawiał niedokończone listy.

Przy obiedzie jadł milcząco, przyglądając się nieustannie dziewczynom. Te popisywały się albo wygłupiały. Najbardziej bawił je fakt, że mogą mówić brednie, a Tomasz nic nie rozumie. Wreszcie zdecydowały, że muszą go nauczyć francuskiego. Ivette wyobrażała sobie, że trzeba do niego krzyknąć, tak jak się mówi do głuchego, to wtedy zrozumie. Sylwia natomiast opowiadała mu beztrudko wszystko co chciała, a gdy się do syta wygadała pytała: — rozumiesz?, nie?... no to ci mama wytłumaczy. Tomasz śmiał się. Bawiła go ta „konwersacja”, a dziewczynki konstatowały z radością, że właściwie nie jest taki duży, skoro tak jak i one przepada za plackiem z jabłkami.

— Widzisz, wcale nie jest głupi — orzekła filozoficznie Sylwia.

Ivette zaperzała się.

— Kto o tym mówił? Może ja? Mamo, Sylwia mnie się czepia.

— A ty w ogóle na nią nie zwracaj uwagi — perswadowała Tomaszowi. To taka smarkata!

Tomasz na wszystko kiwał pojednawczo głową, bo i tak nie wiedział o co im chodzi. Całe szczęście zresztą. Bo Ivette, która na wszystko z natury impulsywnie reagowała, mogłaby go nieraz bezwiednie urazić. To huntuwała się, że on teraz zajmuje jej miejsce przy stole, że było jej właśnie lepiej na tamtym krześle, bo się przyzw-

czaiła, a teraz jest na tym i nie może do niego przywyknąć. Dziwiła się nieustannie, że on tyle je i ciągle robiła na ten temat uwagi:

— A co, nie mówiłam, że złapie za trzeci kotlet!

— Mój Boże, wszystkie brzoskwinie wcina!

— Spiesz się Sylwio, bo omlet nam sprzed nosa zmiecie.

Bała się ustawicznie, że z samej intonacji głosu Tomasz domyśli się sensu tych okrzyków. Usiłowała im zapobiec, próbowała oczyma poskromić gadatliwość Ivette. Ale ta była roztargniona i nie zauważała jej wzroku. Czasem więc zniecierpliwiona mówiła:

— Zabierzesz się ze swoim talerzem na galerię. Dostać już!

— A co nie mówiłam — zauważyła z goryczą Ivette — od kiedy „ten tu” przyjechał, nie można nawet przy stole nic powiedzieć. — Kontynuowała obiad z opuszczoną pochmurnie głową, ale za chwilę ją już znów korciło, więc niepoprawnie zauważała:

— Już przeszło pół litra wina wytrąbił. Musi mieć w czubie — udawała jednak, że mówi to już tylko do siebie.

Po obiedzie Tomasz szedł do swojej alkowy, siadał i oparłszy się łokciami o stół, studiował. Godzinami wertował swoje notatki, szperał w książkach, uczył się. Robił to z istną pasją, uparciem, zawzięciem. Nic w tych momentach nie było w stanie oderwać jego uwagi. Był tak pochłonięty pracą, odgradzony od rzeczywistości, że nie słyszał nawet sąsiadek, które zaglądały do kuchni, albo rozgadywały się długo na galerii. Czasem któraś przechodząc koło otwartego okna zatrzymywała się, rzucając mu stereotypowe pytanie:

— No cóż, podoba się panu we Francji?

Odrywał wtedy od notatek zdziwione oczy i zaskoczony odpowiadał:

— *Oh, oui, oui.*

Ivette, która na galerii zawsze musiała się do wszystkiego wmieścić, raz odburknęła za niego:

— A gdzie on tę Francję widzi. Nawet i gór z okna nie może zobaczyć. Wiecznie ma przed nosem wasze kombinacje i majtki na sznurach.

— A ty, co tu swym dziobem trzaskasz?!

— Zuchwała, że aż strach!

— Arogancka!

— A przy tym jaka mądrała. Widział to ktoś!

Ivette taka, Ivette owaka... A ta czmychała do kuchni. „Maamo! Twoje sąsiadki się mnie czepiają”. A przy wieczornym pacierzu dorzucała tragicznie: Boże wybaczone „im”, bo nie wiedzą co czynią, ale niech mi „one” dadzą spokój, albo zawał tę galerię, amen.

Galeria miała wprawdzie podpróchniałe deski, ale wszystko wytrzymała. Nawet hordę dzieci z dołu, kiedy z impetem goniły na wyprzódki do ubikacji, podstawiając sobie nogi. Tomasz nie zauważył nawet jak mu podrzuciły na framugę okna ledwo zipiącą ze strachu ropuchę. Sylwia to spostrzegła. Hołubiła ją potem w kartonowym pudełku, otulała czule wata, podsunęła jej nawet pod pyszczek długonogiego komara, zachęcała ją, namawiała, kołysała... Ale ropucha zdechła. I leżała rozplaskana i szeroka a Sylwia cichutko, bezgłośnie popłakiwała nad pudełkiem, przykrywszy je rogiem swego błękitnego fartuszka. Tomasz wychylił się przez okno. Uchyliła brzeg fartuszka, podnosząc ku niemu pudełko. Ale jak miała mu wytłumaczyć, że ropucha zmarła ze strachu? A Tomasz namyślał się, jakby to jej gestami dać do zrozumienia, że mu doprawdy bardzo szkoda biednej ropuchy. Oboje pochylili się nad pudełkiem. Sylwia uniosła głowę i łzawo się do niego uśmiechnęła.

Tomasz po czytaniu i nauce miewał często migreny. Zążywał wtedy „Aspro”. Wychodził na galerię, przeciągał się, patrzył w góry. Łaciate, nieregularne płyty lasów czerniły się między jasnymi połoninami. Nad graniami migotało przejrzyste, widzialne jak opar powietrze. W głębi kanciaste szczyty biało wrzynały się w niebo, które, jak na

tanich widokówkach, zdawało się przesadnie błękitne. Gorącym przeciągało się słońce.

— Pójdę trochę w góry — oznajmiał nieoczekiwanie.

— Weź sweter!

— Po co?

— Czekaj, dam coś do zjedzenia na drogę.

— Nie warto.

I szedł. Długim, równym krokiem, pochylony nieco naprzód, oddalał się ku drodze, którą było widać z galerii. Sylwia machała ku niemu ręką, ale nie przychodziło mu na myśl odwrócić się.

— Czemu nie zabrał mnie z sobą? — pytała z żalem.

— To daleko. Zresztą woli sam.

Trasy, które sobie obierał nie były w żadnym przewodniku, omijał drogi i stada turystów hałaśliwie podziwiających kaskadę, zostawiał za sobą campingi, mączące zielen jaskrawą żółcią namiotów i szedł na przełaj między granie i skały, z których cicho usuwały się w dół białe obłoki. Zachłystywał się powietrzem, które mu wiatr wypychał w gardło i z łoskotem obsuwających się kamieni wspinał się wyżej i wyżej, chwytając czasem za kolczastą gałąź, by wreszcie gdzieś wysoko, na jakiejś pochyłej skale, czy dziwacznie wystającym głazie przystanąć, otrzeć pot i objąć szeroko oczyma niezmierną przestrzeń.

Wracał nieraz późną nocą zmachany, spragniony i duszkiem pił przy zlewie wodę. Doznawała wtedy uczucia ulgi. Teraz już była spokojna. Nie mówiła mu nic jak z zapadnięciem mroku myślała o nim, jak zwlekała z kolacją, jak nasłuchiwała, czekała. Nie przyzna się, że po północy ogarniał ją dosłownie popłoch, myślała już o ratunku, o pomocy... Dlaczego? Czyż właśnie tam, w górach, nie było bezpiecznie, spokojnie? Cóż mogło mu się stać?

Korzystała z tych jego wypadów, aby mu trochę sprzątnąć alkowę. Układała rozrzucone książki, wyciągała z szuflady wymiętoszone, brudne koszule, które tam wciskał zmieniała prześcieradła, słała łóżko. To ostatnie miało zawsze wygląd tragicomiczny: co rano przykrywał je

ukośnie zwisającymi kocami, wsuwając pod nie zwinietą w tłumok pyjamę, która się garbato uwypuklała pod nimi. Ale to go nie raziło. Tak samo nie zwracał uwagi na ten nieporządek, jak nie zauważał ładu, który udawało jej się czasem zaprowadzić.

Nie była pedantką, więc nie uważała tej abnegacji za katastrofę. Niemniej zastanawiał ją nieraz jego nieporadny sposób podejścia do praktycznej strony życia. Zdawał się w ogóle żyć poza ramami, jakie stwarza dokoła nas realna, codzienna egzystencja. Wymykał się poza nie. Wszelka praktyczność, która wiąże czas, przedmioty, otoczenie w jakiś skoordynowany system, ciążyła mu. Wydawała mu się trudna i zbyt ciężka.

Był z usposobienia nerwowy, jak niespokojny żrebak. Wyrażało się to w jego ruchach, gestach, które były zawsze szusowate i nieprzewidziane. Wystarczyło na przykład by przeszedł z pokoju do kuchni. Kto inny by to zrobił nie zwracając niczyjej uwagi. On tym ruchem zaskakiwał. Podrywał się nagle, jakby mu coś nieoczekiwanego przyszło do głowy, odrzucał za siebie krzesło, paroma ogromnymi krokami dawał susa i, najczęściej roztrącając coś po drodze, wpadał w drzwi. Mimo woli nasłuchiwało się co nastąpi dalej po tym skoku. A on nic, sięgał po zapalki na półce, pytał o szczotkę do ubrania lub o grzebień.

Wieczorem rzucał się na radio. Przeglądał nerwowo program, aż zniecierpliwiony jego obfitością odkładał go na stół i zabierał się do aparatu. Z pośpiechem przerzucał strzałkę z jednej stacji nadawczej na drugą, suwał nią gwałtownie to w prawo to w lewo, zataczając nią nerwowe łuki. Wreszcie ze skłóconych zgrzytów i szmerów, poprzez jazz i operową arię wyławiał londyńską rozgłośnię. Jakiś prelegent zniżonym głosem mówił o sytuacji „ekonomiczno-społecznej na terenie kooperatywnej produkcji zjednoczonych związków”... wyglądało, że mu zawadza sztuczna szczęka bo seplenił.

Tomasza to nie interesowało, więc chwycił za książkę i pogrążył się w lekturę. Radio pozostawione samo

sobie, wyło, charczało, jakaś atmosferyczna czkawka zagłuszała Londyn, i urywanym skowytym wrywał się czyjś sopran desperacko przygłuszony akordeonem.

To było nie do zniesienia. A Tomasz rozczytany w dziwnym, trudnym symbolizmie jakiegoś paradoksalnego autora, trzymał oburącz głowę i nawet nic nie słyszał. Wchodziła wtedy do alkowy zamykając radio. „Może się wreszcie domyśli jak mi to szarpie nerwy”. Ale on jej nawet nie dostrzegał, nie zdawał sobie sprawy z nagłej ciszy, bez wycia i bez zgrzytów. Czytał.

Bądź co bądź oryginał z niego, myślała czasem. Ale czyż nie zdawało nam się oryginalne, dziwne, wszystko to czegośmy jeszcze nie zdążyli poznać, zrozumieć, czemu nawet jeszcześmy się dobrze nie przypatrzyli? I to zarówno książka, obraz, czy chociażby właśnie człowiek.

Ale jak można było poznać, zrozumieć, zgłębić Tomasz? Gubiła się w tym jak w labiryncie o nieprzewidywanych, skomplikowanych skrętach. Zdawało się, że już tam penetruje, że rozumie wreszcie na czym polega zawilość jego linii, a przecież trafiała wciąż na jakąś zaporę, jak mur ślepego zaułka, który zamyka wszelką drogę i pozostawia tylko odwrót do poprzedniego punktu.

Mogła więc tylko czekać. Na co? Na odpowiedni moment? Jaki moment, czy ten co się „nadawał” do zwierzeń? Tomasz nie umiał się zwierzać, nie odczuwał potrzeby zwierzeń, nie przywykł do nich. Nie był wcale wylewny. To wszystko co dotyczyło tylko jego, zamykało się w nim jak na zatrask. Gromadziło się wewnątrz, układało się w warstwy uczuć, refleksji, doświadczeń. Z zapasu nagromadzonych wydarzeń formowało się wewnątrz jego „ja”. To prawdziwe „ja”, którego się przecież nie będzie obnosić na sobie, jak płaszcz włożony podszewką do góry, by pokazać ludziom. Patrzcie to ja, to moje ja od spodu, to, któregoście nie zwykli widzieć, które ukrywam.

Pytać go o coś, zagadać, to tak jak by się chciało natarczywie i niedyskretnie uchylić poły, by właśnie zobaczyć, dotknąć owej podszewki.

Tomasz był z natury mało mówny, skąpy w słowach. Opowiadał krótko, zwięźle, ale bardzo logicznie i rzeczowo. Jeśli o czymś mówił, pomijał w tym właśnie siebie. Próżno w tych relacjach czyhała na jakieś słowo czy fakt, który bezpośrednio wiązałby się z jego życiem. Wszystko o czym mówił działo się dokoła niego w obrębie ogólnych spraw, ogólnych zdarzeń. Obejmowało kraj, ludzi. Było więc niejako tylko tłem, zarysowującym się wyraźnie, jasno, ale bez sztafażu. Usiłowała go jakoś wyłowić na pierwszy plan, a to była zaledwie jego sylwetka, jakby wycięta z kartonu, nic więcej. Przesuwała się to tu, to tam i raz po raz znikwała, by odsłonić całkowicie ów dalszy plan.

Cóż ją obchodziła polityka Gomułki czy postępy w kopalnianej produkcji, zmiany ministerstw, postępy w szkolnictwie, handlowe stosunki z Chinami, modernizacja portów, Ziemie Odzyskane, metody organizacyjne, reżym taki czy inny... To było w prasie emigracyjnej, w gazetach, może przeinaczone, tendencyjne, niedokładne, mniejsza z tym!

Ale Tomasz?... W tym wszystkim przecież żył, egzystował, obracał się. Jakżeż go się miała doszukać! Dlaczego się nie oderwie od tego zbiorowiska zdarzeń i ludzi? Cemu nie powie: a wiesz teraz, jak to ze mną było?

Może po prostu nawykł, że nikt go o to nie pytał.

Tak więc z rozmowy o tym czy owym zbierała skrzątkę, jak skrawki pasjonującej łamigłówki, rzucone nie uważnie słowo, szczegół, który mu się czasem wymknął, dotyczący jego własnej egzystencji. Ale tyle jeszcze w tej składance brakło, że nie wylaniał się z niej żaden realny obraz, poza odrębnymi cząstkami, które trudno było z sobą spoić.

Aż raz zupełnie zwyczajnie a nieoczekiwanie ten „moment” nadszedł sam. I to oczywiście w chwili najmniej właściwej. Mleko uciekało, a gotujący się gulasz już przywierał do dna i trzeba go było pilnować, dolewać wrzątku, mieszać. Krótko mówiąc, w chwili gdy niesposób się oderwać od kuchni.

Listonosz zastukał i przyniósł polecony list. Sama go odebrała, bo Tomasz naprawiał zdesperowanej Sylwii latawca, który się rozklejał. Machinalnie rzuciła okiem na kopertę. „Monsieur Andrzej Raszyński”. Tak, wyraźnie — Andrzej.

— To dla ciebie? — spytała z wahaniem.

Podniósł się, sięgnął po wyciągnięty list, spojrzął na kopertę.

— Tak — odrzekł spokojnie — to do mnie.

— Ale przecież... — usiłowała coś dodać.

Uśmiechnął się, opuścił z zakłopotaniem głowę, aż naraz uniósł ją i patrząc prosto w oczy, jak zwykle gdy coś mówił, rzekł:

— Bo ja się wcale nie nazywam Tomasz. Nie wiedziałaś o tym? — dodał z zażenowaniem.

— Nie — odparła cicho. Wahala się czy nie odejść do kuchni, ale sam ją przytrzymał żywym gestem.

— Nie, nie odchodź! Zaczekaj! Sylwio — rzekł łagodnie — skończymy potem twego latawca.

Oparł się o komodę i powiedział po chwili wahania:

— Nazywają mnie Andrzejem.

— Kto? — spytała z niepokojem.

— Wszyscy. Zawsze byłem Andrzejem.

— Chcesz powiedzieć, że wcale nie jesteś Tomaszem?

— Dla ciebie tak. Wprawdzie z początku mnie to raziło, nie mogłem sobie uprzytomnić, że to o mnie chodzi. Ale teraz lubię, że nazywasz mnie Tomaszem, choćby dlatego, że nazywasz mnie właśnie inaczej niż wszyscy.

Usiadła wolno na skraju łóżka i rzekła tym razem tonem nieustępliwej prośby:

— Musisz mi powiedzieć jak to było. Dlaczego nie jesteś tym, kim byłeś? Nie dość, że mi zabrali ciebie, ale jeszcze wymyślono, że jesteś Andrzejem a nie Tomaszem, tak jakby i śladu po tobie nie było — dokończyła z żalem.

— Czyjaż to wina? — spytał z namysłem. — Po prostu tak się złożyło. Nie było w tym niczyjej złośliwej intencji.

— Więc dlaczego? — nalegała z dziecinnym niemal uporem.

— Pamiętasz jak „tamtej nocy” zabrałaś mnie nad ranem z łóżeczka i zanosłaś do babki na ulicę Łyczakowską? Miałem wtedy zdaje się dwa lata. Nie przypominam sobie tego momentu. Potem cię podobno zaalarmowano byś uciekała, bo ciebie też mają aresztować. Tak mi opowiadała babka. W pośpiechu odjechałaś. Nie miałaś nawet możliwości mnie pożegnać.

— Uciekłam prawie w ostatnim momencie, już mnie szukano. Udało mi się dobrnąć do granicy litewskiej. Usiłowałam się przekraść — dorzuciła.

— Nie wiedziałem o tym. Bo po tobie od razu potem ślad zaginął.

— Złapano mnie nocą na granicy. Byłam w więzieniu. Oczywiście miałam fałszywe papiery i nie chwaliłam się, że jestem ze Lwowa. Ale mniejsza o mnie.

— Tymczasem właśnie we Lwowie nie mogli się ciebie doszukać. Podobno zależało im na zeznaniach dotyczących ludzi, którzy współpracowali z ojcem. Myśleli, że z tobą łatwiej im pójdzie. Skoro nie było po tobie śladu, wpadli na pomysł by szukać mnie.

— Przecież miałaś zaledwie dwa lata. Co by NKWD z ciebie przyszło? — spytała z niedowierzaniem.

— Liczyli, że gdy mnie będą mieć w ręku, to się sama do nich zjawisz. Gdy nas o tym uprzedzono, babka i obie ciotce, wystraszone, oszalałe z niepokoju, straciły zupełnie głowę. Panika dosłownie je sterroryzowała. Na szczęście była Julka. Pamiętasz ją?

— Jakżeżby nie. Dziewczyna ze wsi, która u babki służyła. Ruchliwa, niestrudzona, zręczna. Pamiętam jak godzinami czyściła samowar i lampy naftowe. Bo babka nie chciała się ich za nic pozbyć. Szczególnie mowy nie było o założeniu elektryczności. Babka od lat przyjmowała w czwartki, w ogromnym salonie o ślicznych, stylowych meblach. W kątach migotało dyskretnie światło naftowych lamp i pachniało kopciem. To miało swój urok, lubiłam tam chodzić. Ale dlaczego mówisz o Julce?

— Ona jedna w tym momencie nie straciła spokoju. Skoro tak — orzekła zdecydowanie — zabiorę małego i jadę do mnie na wieś. Już cztery lata jak u moich nie byłam. Powiem im, że to mój chłopak. Miałam go w mieście i już!

Cóż innego robić? Było to jedyne wyjście.

— A metryka? — pytała oszołomiona babka.

— Kto się tam będzie w takich czasach o metrykę pytał. Parafia się spaliła i już — orzekła logicznie Julka.

— A jeśli by się doszukiwali, pytali?...

— A gdyby kto wpadł na trop — dorzucały niespokojne ciotki.

— Czego się bać! Dzieciak mały, nic jeszcze nie powie. Moim synem będzie. Ciuchała... Andrzej Ciuchała. Tomaszka nie ma, nic o nim nie wiecie nie był tu.

Jeszcze przed wieczorem Julka okręciła mnie w swój ciepły szal jak tłumok i pojechaliśmy. Podobno tejże samej nocy policja wpadła po mnie do babki. Wyrwana z półsnu, dygocąca z zimna, odparła z udanym spokojem:

— Mój wnuk?... Skądżeby tu! A mówcie do mnie głośniej, bo jestem głuchawa.

Machnęli ręką, trochę poszukali i zabrali się.

Dwa lata przebyłem na wsi u Julki. Dobrze mi tam było. Pamiętam niektóre szczegóły, wprawdzie dość mętne, niejasno. Jedno tylko wiem, że byłem Andrzejem, bo tak na mnie wołano. Gdy Lwów się znalazł pod okupacją niemiecką i niebezpieczeństwo dla mnie minęło, Julka odwiozła mnie do babki. Sama zaś wróciła na wieś, bo dwóch jej braci zginęło na froncie i brakło w domu roboczych rąk. Powiedziano mi, że „mama” pojechała i nie rozumiałem dlaczego. Nie wiedziałem też, że tym razem chodzi tylko o mamę w cudzysłowie. Jedno tylko było wciąż dla mnie pewne, że nazywam się Andrzej i gdy wołano na mnie: Tomasz! — w ogóle nie reagowałem. Babka dała temu pokój. Ciotki też nie nalegały, przeciwnie, uznały że tak lepiej. Czasy były jeszcze niepewne, kto wie czy front się znów nie przesunie, sytuacja może się zmienić. I tak już zostało. Z tym, że jak się już wszy-

stko po wojnie ustabilizowało wróciłem do mego nazwiska, ale Andrzejem byłem nadal. Przyznam ci się, że żał by mi było z tym imieniem się rozstać. To by było tak, jak by nagle odłączono ode mnie coś, co ze mną wzrosło. Imię to niby nic, a przecież to nie tylko kwestia przyzwyczajenia. Zżywamy się z nim.

— Może wolisz...

— Nie, nie, wolę tak jak jest — odparł łagodnie.

— To dobrze. Bo widzisz dla mnie Tomasz — to właśnie ty, ten sam, którego niosłam ostatni raz do babki na Łyczakowską ulicę.

Z kuchni dochodził swąd przypalonego gulaszu. Wstała i machinalnie zgasiła gaz. Wolno wróciła z powrotem na skraj łóżka.

— A więc, gdy ci mówiono o matce — ciągnęła z namysłem — to ty miałaś na myśli po prostu Julkę?

— Tak — odparł szczerze. Zresztą nie mówiono mi prawie wcale o matce. Chyba właśnie dlatego, by uniknąć w mej wyobraźni tego mimowolnego skojarzenia. Niemniej, w moim pojęciu matka to było to, co zdołałem zapamiętać. I była to bezsprzecznie twarz Julki.

I co potem? — spytała sciszonym głosem.

— Z czasem i to wspomnienie zacierało się, nikło jak stara, wyblakła na świetle fotografia. Wiedziałem, że nie mam matki. W samej rzeczy był to dla mnie tylko fakt, nad którym się nawet nie zastanawiałem. Stwierdziłem to jako oczywistość i tyle.

— A gdy widziałeś, że inni twoi koledzy, rówieśnicy, że każdy z nich miał matkę...

— To było też tylko faktem. Ty tego nie zdołasz zrozumieć. Mój kolega miał matkę, poczytywałem to za coś równie oczywistego jak to, że ja jej nie miałem.

— Nie było momentu, że ci właśnie tego brakło?

— Był, z pewnością był nie jeden taki moment, ale nie uświadamiałem sobie, że brak właśnie mi matki. Nie sposób ci tego wytłumaczyć. Ciebie to może boli. Ale tak już jest. Czy sądzisz, że można mieć żal po czymś, czym się nie miało nawet okazji nacieszyć?

Było to logiczne, jasne, a przecież smutne.

— Co się potem z tobą stało?

Krótko, węzłowato, streszczał lata w chronologicznym porządku zdarzeń, starannie jak w szkolnym wypracowaniu na podyktowany, raczej nie ciekawy dla niego temat.

— Potem przyszedł koniec wojny. Ewakuowano nas ze Lwowa. Babka musiała się pozbyć samowara i lamp naftowych, jak zresztą rozstała się z całym swym mieniem, nagromadzonym latami w mieszkaniu na Łyczakowskiej. Zniosła to doprawdy ze stoickim spokojem. Skierowano nasz transport na Mazury. Któraś z ciotek, która tu jeszcze przed wojną przebywała, zdołała ze swego dawnego majątku uzyskać niewielką parcelę, tyle tylko by uprawiać rzodkiewkę, sałatę i mieć kilka kur. Mąż zginął, synów zagnało aż do Australii. Żyła teraz sama. Domek był tuż nad jeziorem, daleko od wioski. U brzegu wody butwiały stare łódki. Kilku rybaków żyło opodal w małym, spokojnym osiedlu.

Jak widzisz, była babka, trzy ciotki i ja, jedyny „mężczyzna” w tym gronie. Czy nudziłem się? Ale gdzież tam! Do szkoły miałem sześć kilometrów. Te codzienne wyprawy poprzez łąki, rowami, drogą, aż do odległej wioski, były pasjonującą włóczęgą. W szkole biłem się z kolegami. Z początku bowiem nie chcieli się na mnie zgodzić. Byłem nie tutejszy. Ale narzuciłem się im z impetem, wywalczyłem sobie miejsce w ich gronie, bo cwaniak był ze mnie co się zowie. Nawykli do mnie i łobuzowaliśmy się razem.

W domu zajmowałem się kurczętami, kopałem grządki, siałem rzodkiewkę, a nawet zasadziłem truskawki i byłem z tego bardzo dumny. Ciotki mogły na mnie liczyć, bo nawet i drzewo na szczyпки umiałem porąbać i czułem się tu doprawdy mężczyzną.

Chodziłem też na jezioro, sam się nauczyłem pływać jak psiak i przyznam ci się, odczepiałem łódkę, odpychałem się kijem od brzegu i wiosłując rękoma, chybotąłem się nieraz godzinami na wodzie. Jezioro było niepewne, zdradliwe, pełne jam, wodorostów i mielizn. Lubiłem je.

Żał mi było, gdy musiałem na dobre odjechać do Warszawy. Musiałem zacząć przecie gimnazjum. Ciotki oddały mnie na stancję do jakichś dalekich krewnych, którzy od razu orzekli, że „nie biorą żadnej odpowiedzialności, nie mogą mi w niczym dopomóc”... a przecież nikt ich o nic nie prosił, chodziło tylko o mieszkanie. Ich opieka ograniczała się do nieustannych uwag, jakie z sobą wymieniali na temat mego niepewnego losu. Zwracali się do mnie, mówiąc: „mój biedny chłopcze, poradzisz sobie z lekcjami? A nie ukarano cię w szkole?”. Czasem wypytywano, jakie mam plany na przyszłość, jak sobie sam poradzę... Jestem pewny, że z góry byli przeświadczeni, że prędzej czy później zostanę chuliganem. Bo cóż mnie czekało tu innego? Byłem zdany sam na siebie, a przecież „dzisiaj ta młodzież”... Mój chłopcze, uważaj.

Byłem szczęśliwy, gdy z końcem szkolnego roku wracałem do moich pocziwych ciotek. Już tylko one mi zostały, bo babka usnęła cicho i spokojnie, jak umierają zmęczeni wiekiem ludzie. Ciotkom ciężko było sobie poradzić. Nie spostrzegalem jednak kosztem jakich wyrzeczeń, oszczędności i skrzętnych starań zapewniały mi byt. Teraz to zrozumiałem. Ale wtedy, to że o mnie dbały, że opiekowały się mną pieczołowicie i starannie, wydawało mi się zupełnie normalne. Nie upominały się zresztą o wdzięczność. Nie robiły żadnych na ten temat aluzji. I dlatego teraz jeszcze bardziej doceniam ich wysiłek. A przecież nie umiem im nawet tego okazać. Ot i teraz, od czasu przyjazdu mego tutaj wysłałem do nich tylko kartkę z widokiem gór. A one może czują do mnie żal, nie wyobrażają sobie jak jestem do nich przywiązany. Byłem zawsze ośrodkiem ich myśli, trosk, niepokojów i radości. Wygląda tak, jak bym przyjeżdżał do nich tylko, by się najeść, dostać trochę pieniędzy, wyleniuchować się na jeziorze i tyle. Drań ze mnie! Nie wiem dlaczego taki jestem.

— A kolegów miałeś dobrych, oddanych?

— Na ogół tak. Ale miałem tylko raz przyjaciela — utopił się w zeszłym roku w jeziorze. Doskonale pływał,

a utopił się i to na moich oczach. Nawet nie wołał o ratunek, poszedł pod wodę i już. Myślałem, że nurkuje. Gdy się puściłem za nim, był już na dnie, oplątany w śliskie wodorosty.

— A inni?

— Inni to nie to samo, chodzimy tylko razem do knajpy pić.

— Lubisz alkohol?

— Tak, wódkę.

— Dlaczego?

— Dobrze jest pić — odrzekł lakonicznie.

Rzucała pytania chaotycznie, prawie natrętnie. Ale naraz chciała wszystko z niego wydobyć. Zdawało się jej, że stoi osaczony tymi pytaniami jak w matni i teraz już się nie może wykpić. Ale potem da mu spokój — już go do odpowiedzi nie będzie przymuszać. Bo potem je sobie ułoży, przemyśli, zgłębi. Na razie to było tak, jak gdyby poruszyła powierzchnię wody. A ta zmacona, rozchybotana kręgami, zamiast ukazać dno skrywała je; ujrzeć je było jeszcze trudniej. Czyż można od razu przeniknąć głębiej, nad którą uważnie i trwożliwie pochylamy twarz?

Tomasz mówił wolno, z namysłem, uczciwie i szczerze. Ton jego był łagodny, jak by chwilami chciał się usprawiedliwić, że myśli, czuje, tak a nie inaczej, jakkolwiek by się to mogło wydawać paradoksalne czy smutne. A ona niczemu się nie dziwiła, niczego nie komentowała, niczym co mówił nie zdawała się być zaskoczona. Słuchała. Nie drgnęła nawet, gdy poważnie, zdecydowanie orzekł, że nie wierzy w Boga. Mówił, że nie zaprzecza definitywnie Jego istnienia, ale w nie wątpi. A to czego nie jest pewien, nie daje mu żadnego oparcia.

Mówił, że życie jest nabrzmiałe tragizmem nieporozumień, że wszelki wysiłek ludzki jest dramatyczny w swym bezsensie. Bowiern tylko przypadek, dziwaczny stwór pełen ironii, rządzi naszymi poruszeniami. I to jest źródłem naszych rozczarowań, nieustannego niepokoju i tej bezwoli, która nas raptem ogarnia w momencie kiedy właśnie w maksymalnym napięciu naszych sił, gotujemy

się do działania. Nic nie wart ten wysiłek; bezużyteczność jego jest i tak z góry przesądzona. Wchłania nas gorycz i smutek, jak te przeraźliwie piękne, żarłoczne kwiaty, które chwytają w swe płatki naiwne owady, zwabione orgią barw.

Cóż nam pozostaje. Nic. Sceptycyzm. Czekamy, oblekamy twarz nieufnością i cynizmem. A gdy nas nikt nie widzi, ukrywamy ją w dłonie, by czuć dobre ciepło sączących się przez palce łez. Ale przed ludźmi kpimy z siebie. Ogołoceni ze wszystkiego, śmiejemy się z własnej nagości, jakby to była farsa, którą bezwstydnie przygotowujemy dla uciechy innych. Ktoś powiedział, że my, młodzi, wyglądamy czasem na żywych samobójców i, że tragizm nasz leży nie w samobójstwie, ale w tym, że mimo niego żyjemy nadal! Może w tym jest też tylko złośliwy przypadek. Nie, nie sędzę. Bo przecież to życie, takie jakie jest, nas pasjonuje.

Pytasz czy pociąga mnie komunizm. Nie. Katolicyzm jeszcze mniej. Nie pociąga mnie żadna ideologia, żaden reżym. Jestem, muszę być, więc trwam — to jedyna moja Ewangelia. Czy to trąci egzystencjalizmem? Może. Wszystko co przeżywamy musimy z przyzwyczajenia podciągać pod jakąś filozofię. Co za głupia mania, mnie wszystko jedno jak to kto nazwie.

— A ty wierzysz? — spytał z nagłą, nie ukrywając ciekawości.

— Tak — odrzekła spokojnie.

— W co?

Chciała powiedzieć po prostu: w Boga. Ale rzekła:

— Wierzę w sens naszego bytu, w konieczność bólu, w moc dobra, i jestem pewna, absolutnie pewna, że nic nie jest na próżno — ani nasz trud, ani najgłupszy wysiłek.

— Skąd masz tę pewność?

Bez wahania odrzekła:

— Żył przecież między nami Człowiek, który nam to przyrzekł, zagwarantował. Nie był to ani filozof, ani żaden demagog. Nie używał frazesów, nie łudził pociągającymi perspektywami, nie zapowiadał nowości i zmian.

które obiecują błyskotliwe ideologie. Już choćby dlatego nie był oszustem. Cierpliwie, spokojnie usiłował nam wytłumaczyć sens naszego istnienia. Kto chciał — wierzył, siedł za nim. Nie łatwo było iść śladem jego bosych stóp na suchym piasku. Trzeba było odrzucić kompromis, wahanie, wyrzec się siebie uczciwie i szczerze. Trzeba Mu było ufać, że to nie pójdzie na marne. I On to jedno tylko przyrzekł.

— W tej obietnicy nie ma nic konkretnego — przewał żywo. Zrealizuje się kiedyś w mglistej, niepewnej przyszłości, którą w katechizmie nauczono nas nazywać wiecznością. A jeśli śmierć jest kresem, jeśli nic poza nią? Znowuśmy wykiwani. I na nic ból czy trud, czy wszystko czegośmy się rozmyślnie wyrzekli, lub cośmy znieśli zaciśkając zęby. I wtedy człowiek dojdzie do swego kresu jak głupi bankrut, który dał się naiwnie nabrać. Nie pozostanie mu nic innego, jak złożyć wstydliwie swój bilans i zniknąć.

— To by było faktycznie smutne. Czyż nie lepiej więc wierzyć w wieczność? — zapytała niezdecydowanie.

— Można, można w ogóle żyć złudami, nadzieją, można ufać i wierzyć. Ale ja nie mogę — dodał niemal z zażenowaniem. — Nie mogę i nie chcę. Muszę być wszystkiego pewny. Dlatego, jeśli mówię, że katolicyzm nie ma dla mnie atrakcyjnej siły, to nie dlatego bym z góry, zdecydowanie odrzucał każdą ideologię, bym nie doznawał potrzeby wyznawania, bym nie pragnął szczerze jakiejś prawdy. Sęk w tym, że nieufność nakazuje nam każdą ideologię oglądać pod światło, jak niepewny banknot, w którym można się dopatrzeć niezręcznie podrobionych odcieni. Mam wstręt do fałszerstwa i szwindlu. A ludzie mają szczególny dar wypaczania idei i pojęć, i to tak dalece, że zniekształcone i wymięte dotykiem ich grubych rąk, nie mają nic wspólnego z pierwotnym kształtem. W ludzkiej, niezręcznej interpretacji sens traci nawet Ewangelia.

Cóż mówić dopiero o polityce. Rozpaćkane błoto, z którego ten i ów, gdy się daleko zapuścił, usiłuje nie-

zdarnie wyciągnąć swój kalosz. Kloaka szachrajstw, kalkulacji, interesów, w imię tego czy owego, byle jakiś slogan mieć na ustach. Zachód, Wschód, licytują się w sloganach. To w imię cywilizacji, to w imię pokoju, dla dobra klas, dla postępu, dla równowagi sił, za wolność, za godność, dla mas, dla człowieka... Wszystko sprowadza się do jednego: surowce i wojna. Wojna o surowce i surowce dla wojny — nafta, żelazo, uranium. I dokoła tego wiruje światowa polityka. Jeszcze jeden obłądny bezsens.

Czym warto żyć? Nie wiem. Studiuję, to prawda. Pasjonują mnie nawet moje studia. Ale gdy pomyślę, że to wszystko po to, by za parę lat objąć jakiś etat w miasteczku na Ziemiach Zachodnich, że pokratkuję mój dzień na rozkład lekcji w takiej czy innej klasie, że z końcem miesiąca dadzą mi podskubaną pensję, z której nie sposób będzie wyżyć... gdy nieostrożnie pozwalam sobie o tym myśleć, mam ochotę puścić wszystko kantem.

A więc nic mi nie daje radości? Owszem.

Czasem, gdy mam kilka wolnych dni biorę z kolegą kajak, plecak z żywnością i wypływamy na jeziora. Suniemy wśród szeleszczących szuwarów, wynosi nas fala na nieoczekiwane wody, obramowane daleko lasem, czasem gubimy się w wąskim przesmyku kanału, w którym wiosło prawie zaczepia o brzeg, by po godzinie wypłynąć na bezkres, rozlany gdzieś aż po horyzont błękitu o migotliwych, wymykających się świecidełkach słońca. Zanurzamy się w nie naszym półnagim ciałem włóczęgów — i wtedy warto żyć!

— Cicho! Zdaje się, że Mark wraca. Tak, słyszę jego kroki na schodach. Przecież to sobota. Szkoda — dorzuciła mimo woli.



Zaczął się rok szkolny. Naprawiała dzieciom zeszló-roczne teczki; wypastowała je, wytarła flanelową ściereczką, wyglądały jak nowe. O kupieniu fartuszków nie mogli

być mowy. Trzeba było naprawić, przedłużyć, wycerować stare. Ale starannie wyprasowane, uprane, mogły jeszcze ująć. Gorzej było z kupieniem nowych książek. No i oczywiście potrzebne były ołówki, temperówki, atrament, a i zeszyty i to „grube”, bo Ivette już zaliczała się do starszych a o tym właśnie świadczyły stukartkowe bruliony, a nie cienkie kratkowane, które jeszcze miała „ta smarkata Sylwia”.

Mark wrócił z gór już na dobre. Zaczynała się jesień i zwolniono sezonowych robotników. Praca teraz ograniczała się do robót przy samej centrali, a do tego wystarczała stała, od dawna zaangażowana, załoga. Mark wrócił bez troski i z radością się zadowolił. Był niezwykle rozmowny, rozruszany, dowcipkował i wygłupiał się. Nieustannie opowiadał coś Tomaszowi, droczył się z dziewczynkami i podziwiał głośno jej otyłość. Ha, dobrze być w domu — stwierdzał z zadowoleniem. Za pracą miał się rozejrzeć „jutro”, bo „dzisiaj” mógł jeszcze z tym poczekać. Na razie nie było się czym kłopotać, ograł przecież wreszcie na odjeźdźnym Hiszpana i czuł się Rotschildem. Kupił Tomaszowi zegarek a jej nylonową kombinację, której oczywiście nie mogła włożyć. Dziewczynki uznały moment za właściwy, by naciągnąć go na „szkolne zakupy”. Znalazł się więc w ich pokoju ogromny globus i kolorowa, skomplikowana gra w pionki. Tu już przyszło nadskubać nieco pensję, z której wreszcie zdał jej skrupulatnie rachunek i to, co z niej zostało włożył do szuflady.

— Mój Boże, przecież trzeba zapłacić mieszkanie!

— Ach, prawda, wyleciało mi to z głowy. Może wystarczy.

— W dodatku gospodyni podwyższyła czynsz.

— Aaa... wstrętne babsko! Tomasz, idziesz do kina?

Grają fajny western. Pam-pam, pam-pam... gonią się i strzelają na wszystkie strony. Chodź!

Tomasz wychylił się zza gazety.

— A my to co? — rzuciła zaczepnie Ivette.

— Zabieram was, co tam!

I poszli. W domu zrobiło się nagle cicho. Słychać

było tylko mruczenie „Kaśki”, zwiniętej czarno w kłębek. Pościeliła tapczan i z ulgą położyła się. Coś ją nieustannie teraz bolało — czuła się nieswojo. Ten ból stawał się dotkliwy, natarczywy. Pojawiał się nagle i trzymał zawzięcie przez dobrą chwilę, potem ustawał i znów nielitościwie wracał. W ciągu dnia, przy robocie, było to niezwykle uciążliwe. Toteż wieczorem ogarniało ją poczucie ogromnego zmęczenia. Zwaląca się ciężko na tapczan i usiłowała znaleźć spokojną pozycję, by wreszcie ten ból udobruchać. Czasem udawało jej się od razu usnąć. Ale były wieczory, kiedy obolałymi ruchami ostrożnie, powoli układała się to na wznak, to bokiem, a ból przewalał się wraz z nią, nie usypiał. Otwierała wtedy zmęczone powieki i godzinami patrzyła w ciemność. Było w jej stanie coś nienormalnego — to nie był zwykły przebieg ciąży. Nawet Madame Borne orzekła ostatnio, że miała jakąś niewyraźną minę. Zresztą była to słuszna uwaga. Ten ustawiczny bolesny ucisk nie pozostawał bez śladu na jej twarzy. Zmizerniała, przybladła, a rysy jej kurczyły się w niemym nasłuchiowaniu. Czuła się niespokojnie. Maleństwo już się poruszało, ale były to skoki spłoszone i szybkie, jak ruchy wystraszonego w trawie zajączka. Wsłuchiwała się w nie w milczącym skupieniu. Otulała w ciepły, miękki szlafrok swoje maleństwo, swój ból i to tajemnicze porozumienie. Za wszelką cenę musiała teraz utrzymać ten wspólny, delikatny wątek życia, który ich dolegliwie razem spoił.

Pójdę do doktora, obiecywała sobie. Ale nie było o tym na razie mowy. Na ileż dni wystarczy jeszcze tych trochę pieniędzy z wypłaty Marka? A w dodatku teraz z jego pracą tak niepewnie.

Właśnie wrócili z kina. Dziewczynki potulnie, ci-chutko pokładły się spać, bo im się oczy kleiły. Tomasz prychnął koło zlewu, przy wieczornej toalecie.

— Śpisz, co? A może nie śpisz? — Mark zwykle w ten sposób ją budził.

— A co, dobrze zrobiłem, że poszedłem do kina — opowiadał, rzucając niedbale ubranie na poręcz fotela. — Widzisz, wszystko mi samo w ręce lezie, nie potrzebuje

niczego szukać. Ot i teraz mam robotę. — Przysiadł na skraju tapczana, zapalając papierosa.

— Właściciel kina, wiesz ten mały, wygolony jego-
mość, który siedzi w kasie, otóż ten jak tylko mnie przy
okienku zobaczył, pyta:

— A co ty teraz robisz?

Mówię mu:

— Na razie nic. Wróciłem z gór. Muszę się za czymś
rozglądnać.

A on mi na to:

— Jak chcesz to ci dam pracę. Mego syna zabierają
do Algieru, musi się stawić w tym tygodniu do koszar.
Nie mam operatora pod ręką.

Gadam do niego:

— A cóż ci ja w tej kabinie będę robić? Pojęcia
nie mam jak się film kręci.

— Projekcja filmu to nic trudnego. Przyjdź, póki jesz-
cze mój syn tu jest. Pokaże ci parę razy jak manipulować
przy aparacie i od razu skapujesz. Sprytny jesteś.

— Dobra — mówię — przyjdę jutro. Ot i widzisz
mam już pracę.

— Przecież to jest tylko jeden wieczorny seans. Cóż
ty zarobisz?

— Niewiele, to prawda, ale będę miał cały dzień, by
tu i ówdzie dorobić. — Rzucił niedopałek na podłogę
i przydeptał go nogą. W chwilę potem już spał, odrzu-
ciwszy na bok poduszkę.

Jesień zaczęła się już na dobre. Była śliczna. U podnóża
gór szalała orgią kolorów przesyconych czerwienią i słońcem.
Powyżej rdzawiły się połoniny, a sponad lasów sterczały
ostro granie już zaśniewione i tak białe, że trzeba było przy-
mrużać oczy. Rano unosiła się błękitna mgła, z której
sztywno wyłaniały się pojedyncze, огоłocone już z liści
topole. W górach, jak co roku w tym sezonie, palono
trawy. Wieczorem z galerii widać było w ciemnej zwartej
masie stoków, pochyłe serpentyny migocące czerwonym

żarem, niczym potworne węże wypływające na nocne orgie.

Wracały już z hal owce, które co lata wyprowadzano w góry na paszę. Przed zimą spędzano je stadami do ferm rozrzuconych w dolinie. Nocą budziły pustą, zaspaną uliczkę miasteczka miedziano-basowym bełkotem ogromnego dzwonka uwieszzonego u szyi baranów; meczały na różne nieoczekiwane tony, jak by się dziwaczyły, nawzajem się przedrzeźniając, a w tym przeciągłym mee eee, było chwilami coś szyderczo ludzkiego. Pasterze, nie krępując się nocną godziną, nawoływali głośno, donośnie, jak na graniach, popędzając owce środkiem ulicy między domami.

Obudzona tym gwarem unosiła się z tapczana i uchylwszy okiennicy patrzyła przez okno. Z góry ta wełnista tłocząca się masa wyglądała jak kłębiący się szaro potok. Pocziwe zwinne kundły biegły za stadem, zabiegając od czasu do czasu chodnikiem, by przygryźć udo niezgrabnego jagniątka, które niesformnie usiłowało się precyzyjnie naprzód. Gdy ostatnie stado zniknęło za zakrętem ulicy znów nastawała cisza uspiomych za okiennicami domów.

Wracała na tapczan. Wskazówki budzika na nocnym stoliku, fosforycznie, zielono odmierzały cichaczem tykający, nieprzespany czas. Układała się niewygodnie ze swym bólem i otwartymi oczyma wyszukiwała w ciemnościach niewyraźny kształt poszczególnych mebli: tu róg stołu, tam poręcz fotela, a tu przyćmiony refleks lustra na ścianie... Dobrze jest w ciemnościach nocy. Zacierają się w nich kontury zatroskanego dnia. Bierny spokój i cisza są jak dobry okład na obolałe czoło. Ciemność, niczym ciepłe, aksamitne powieki opada na jaskrawość minionych faktów. Odgonione już poza próg „wczoraj” nie zdążyło się jeszcze stać nieuniknionym „jutrem”.

Moment ulgi wydarty z rytmu aktywności i cisza w półśnie otwartych oczu.

Zza uchylonych drzwi dochodziły spokojne, wolne oddechy. Te cichutkie, ledwo uchwytnie to z pokoju dziewczynek. Ivette zapewne leży jak zwykle na wznak z rękoma pod głową, a Sylwia oddycha cicho tuż nad pluszowym

uchem swego misia. Ten lekko chrapliwy, nierówny oddech, to Marka, który niespokojnie, nerwowo obraca się z boku na bok, męczony co noc przez koszmarne sny. Z alkowy dochodzi głęboki silny oddech Tomasza. Zapewne śpi z na w pół rozchylonymi ustami, jakby płucom jego trzeba było masy powietrza z otwartego na oścież okna.

Lubiła się wsłuchiwać w ten oddech. To moje, moje własne, myślała sobie w duchu, jakby w tym spokojnym i ufnyim śnie każdego z nich, było jej własne tajemniczo chuchnięte tchnienie.

Ale noc myliła, noc oszukiwała, sprowadzając wszystko do uproszczonego problemu snu w rytmie jednostajnych oddechów. A cóż to sen? — spoczynek, ucieczka, bez troskie rozleniwienie wobec czyhającego jutra, niepamięć tego co minęło, co groziło w ubiegłym dniu? Amnezja, błogość eteru w momencie, gdy skalpel szpera w żywym ciele, misternie oddzielając tkanki?...

Tak, noc to błoga ucieczka w ciemność przed rażącym blaskiem świadomości.

„...Pójdź biedaczku.

Tu w tym pocieszeniu przed burzą się skryj:

Życie śmierć kończy i każdy dzień umiera snem”.

Kto tak pisał? Mauley Hopkins?

Dziwne jak nasze życie jednostek, rodzin, pokoleń jest nieustanną ucieczką. I każdy szuka jej na swój sposób, desperacko i nieporadnie, lub metodycznie i rozważnie, upornie i konsekwentnie lub przypadkowo i chaotycznie, zależnie od swego temperamentu, od możliwości i upodobań.

Śmieszny, naiwny człowiek!

Wydaje mu się, że jest za czymś w ciągłej pogoni, w której niemal traci dech, a on przecież tylko ucieka. Wystarczy spojrzeć jak się wciąż ogląda w tył, jak nim szamocze niepokój. Nie ma wątpliwości: on nie goni patrząc w przód, ale wyrывa, by pozostawić jak najdalej poza sobą to, przed czym chce się wymknąć, od czego

uchodzi, szukając wzrokiem kąta, który by mu dał schronienie.

Może mu się uda. O, nie od razu, nie tak to łatwo. Nieraz przystanie zadyszany, zdezorientowany, ręką tłumiąc bicie niesfornego serca.

Jakże dobrze o tym wie.

Kiedy była jeszcze Hanką nie знаła tego uczucia. Przed czym miała się wymykać? Ufała w łaskawość losu, we własne osiągnięcia, w nieprawdopodobną łatwość każdego wysiłku. O cóż się zresztą troszczyć, gdy się jest tuż przy samym korzeniu, przy źródle życiodajnej siły, z której młody pęd może czerpać do syta potrzebne mu soki?

Dopiero potem, gdy się wiotko zachwiała, jak wybujała, jasna łodyga zdana na własne siły, gdy przyszło się opierać nieoczekiwanym wiatrom, gdy sama chęć życia nie wystarczała do przetrwania, wtedy dopiero spojrzała w tył i wtedy trzeba było uciekać. Przed wspomnieniami, przed nawykami, przed samą sobą, przed tym co się ukochało, do czego się lgnęło sercem, od tego co dziś wydawało się nierealne, utracone, niepowrotne.

Zagubić pamięć, znieczulić się, nie pozwolić nawet myślom cofać się w tył. Zatrzasnąć za sobą drzwi, by nawet przez najwęższą szparkę nie wślizgnęła się jasność wspomnień. Realny, prawdziwy, istotny jest tylko czas teraźniejszy. Wszystko co było, to tylko wymyśl!

Ale jakże właśnie umknąć od tego „dzisiaj”, które ogarnia czasem takim znużeniem? Może w ogóle nie wolno?... A przecież tak dobrze w ciemnościach bezsennej nocy wymknąć się wstecz, wspominać, myśleć sobie po kryjomu jak to było... Dać ulgę kapryśnej wyobraźni, roić sobie do syta, aż powieki w półśnie same się przymkną, znużone chaosem wspomnień.

W ucieczkach były te absurdalne, niedozwolone zwroty. Wyrzucała to sobie i dlatego nie znajdowała w nich ulgi. Najtrudniej bowiem chyba zdobyć się w tym na logikę.

A Tomasz?... Przed czym chciał się wymknąć?

Przed rutyną, konwenansami, przed zakłamaną rzeczywistością, przed nonsensem ideałów, w które nie wierzył, przed nudą fałszowanego na każdym kroku życia, przed niepewnością jutra, przed obcością otoczenia?

Niespokojny, osamotniony, borykający się sam z sobą Tomasz. Może tu, w domu, w rodzinie szukał przytuliska, spokojnego kąta, w który by zaszył się z ulgą, może tu liczył na bliskość otoczenia, na rodzinne ciepło, na porozumienie, przyjaźń?... Może oczekiwał podświadomie, że coś się zmieni, coś się tu w jego egzystencji zadecyduje, przeinaczy. Że to nieoczekiwane spotkanie z matką będzie jednak czymś więcej, niż wydarzeniem?...

A czymże to było? Może tylko jeszcze jedną iluzją? Gdyby bodaj chciał coś o tym powiedzieć. Ale czyż przemilczaniem można zmylić intuicję matki? Przecież wiedziała. Wyczuwała, że teraz Tomasz myśli nad sposobem ucieczki. Wyrwać się z rodzinnego kręgu, bez bolesnego szarpnięcia, nie zwracając niczyjej uwagi, nie urażając nikogo, zaczekać po prostu na okazję, która krok ten wytłumaczy, usprawiedliwi. Odejść, nie wymykając się. Pożegnać, nie obarczając się na drogę balastem rozczarowań i żalu. Pójść sobie i szukać, szukać dalej. Czego? Sposobu dalszej ucieczki?...

Ale teraz, w nocy, spał spokojnie, mocno, zdrowo. I tylko ona o tym myślała. Takie już bowiem były jej ciemne, nieprzespane godziny.

Wreszcie przez szczeliny okiennic, jak spod przymrużonych powiek, zaczęło się sączyć szaro, zaspanie, światło ranka. Wtedy usypiała ciężko i źle z odrętwiałym łokciem pod głową.

Mark wstawał wcześniej i sam przygotowywał kawę. Przyniósł ją jej w miseczce, stawiając na nocnym stoliku. Teraz nie mogła się już sama podnieść. Więc pochylał się nad tapczanem i na wpeł ze śmiechem obejmował ją unosząc tak, by mogła się oprzeć plecami o poduszki.

— A to niezdara teraz z ciebie — żartował. — Kiedy tak siedzisz wyglądasz jak niedołączna babka — mówił popijając kawę. Uśmiechała się do siebie.

— To nic, jeszcze parę miesięcy i już będzie po wszystkim — dorzucał z zadowoleniem.

Miesiące, tygodnie, dni jeszcze... Jak tu przebrnąć od jutra do jutra z tym nieustannym niepokojem, z tym bólem, który już się stał tak swojski, codzienny, że chyba bez niego by się i nie obeszła. Wżył się w nią swą zwykłą, konieczną do zniesienia, obecnością.

Dzieci szły rano do szkoły, Mark zwlekał, wreszcie też odchodził, bo w końcu ktoś po niego przychodził. Tam mu dawano porąbać drzewo, gdzie indziej miał przystrzyc żywopłot, załatać dziurawe rondle, przenieść paki, zarzązać i opierzyć kure. Jednym słowem był potrzebny, miał co robić. Płacono mu marnie, ale dawano mu napiwki, tu i ówdzie znoszone spodnie, buty za duże lub za małe, spłowiąły sweter. A Mark znosił to do domu, cieszył się, przymierzał... zagadywał się. Spóźniał się znów do roboty, zapominał do kogo ma najpierw iść, więc go szukano. Ciągłe ktoś stukał, pytał o niego, mówił, że już od dwu dni czeka, że się z czymś właśnie śpieszy. A ona uspakała, obiecywała, że go na pewno wyśle.

— Ach prawda — mówił Mark, łapiąc się za głowę — to chyba ten, któremu pękła rura w łazience. Zapomniałem o nim.

Wieczorem szedł do kina „kręcić film”. Już zupełnie dobrze dawał sobie radę z aparatem projekcyjnym. Podołała mu się mała kabina i ta praca była dla niego raczej rozrywką. Oczywiście co wieczora po powrocie opowiadał nie tylko cały film, w którego szczegółach niemożliwie się gmatwał, ale i rysunkowe krótkometrażówki Walta Disney'a. Inscenizował je jak się dało i zaśmiewał się głośno, przypominając sobie komiczne sytuacje.

Słuchała go z roztargnieniem, ale by go nie okazać, od czasu do czasu rzucała:

— Aaa... no i co dalej? — Równocześnie myślała, że nazajutrz trzeba będzie uregulować rachunek za gaz, że w tym tygodniu mija ostatni termin zapłacenia raty za wełnę, którą wzięła na płaszczyki dla małych. Nie miały

przecież płaszczyków. Uszyje je sama. Zawsze wypadnie to dużo taniej niż gotowe w konfekcji dziecięcej. Trzeba będzie kupić do nich guziki. Zdawałoby się takie głupstwo. A przecież duże, w dobrym gatunku guziki kosztują drogo. Ileż to ich trzeba do dwóch płaszczyków?... Rozmyślając nad tym zwijała w kłębki włóczkę z poprutego sweterka Sylwii, który trzeba było przerobić. Przechodzi w nim jeszcze zimę. Z tymi drutami i kłębkim wygląda chyba też na niedołęzną babkę, jak mówił Mark.

— Wiesz, Conchita powiedziała, że z mojej kabiny ciekawiej patrzeć na film. Jest tam w ścianie mały, prostokątny otwór i widać przez tę dziurę ekran.

— Kim jest Conchita?

— Nie wiesz? Pracuje w kinie. Kontroluje przy wejściu bilety i prowadzi widzów do foteli. Pilar też jej pomaga. A potem w przerwie sprzedają na sali czekoladki i owocowe cukierki.

— Dziwne ma imię.

— Conchita to Hiszpanka. Pilar zresztą też. Tylko ta jest nieco starsza. Podczas kiedy Conchita ma zaledwie szesnaście lat. — I to kończy je dopiero ósmego maja.

— Mówiła ci?

— Tak. Często zagląda do mojej kabiny. Bo kiedy film się zaczyna, to nie ma już co na sali robić. Mnie się też nudzi. Rozmawiamy sobie.

— Aaa...

— Ona tu niedawno pracuje. Przyjechała z Hiszpanii w tym roku. Jej rodzice mieszkają nawet tu, w naszej dzielnicy. Pewnie widziałas ich nieraz przez okno. Jej matka chodzi tu koło nas do sklepiku na zakupy. Taka ciemna brunetka, bardzo pełna.

— Nie wiem.

— Poznałem ją, któregoś dnia była w kinie. „Proszę uważać na Conchitę” — powiedziała mi — „ona jeszcze taka koza. Nie chciałam, by pracowała w tym kinie, ale cóż, do szkoły już nie chodzi. W dzień pomaga mi w

domu, ale czas by trochę zarobiła. Proszę mieć tu na nią oko”.

— Coś jej odpowiedział? — spytała jakoś niemile zaskoczona.

— Powiedziałem, że może na mnie liczyć, zajmę się nią.

— A Pilar?

— Oh, Pilar! Ta to sobie sama da radę. Jest wulgarna, prowokująca i już z niejednego pieca chleb jadła. Podczas kiedy Conchita to co innego!

— Czemu?

— Conchita jest niezwykle ładna. Taka świeża, dziewczęca i naiwna. Przy tym ciągle się śmieje. Nie wyobrazasz sobie jak mnie to bawi.

— Pamiętaj, by pójść jutro do Monsieur Clavier. Trzeba założyć kilka dachówek. Podobno mu deszcz przecieka na strych — rzekła, rzucając kłębki do rafiowego koszyka.

— Ale, byłbym o nim zupełnie zapomniał. Późno już — skonstatował, przeciągle ziewając. Po chwili się położył i zgasił światło. Tej nocy usnęła ciężko i miała koszmarne, niespokojne sny. Rano obudziła się z migreną nie do zniesienia.



Tomasz robił niezwykle postępy we francuskim. Już nie tylko rozumiał o co chodzi w ustawicznych kłótniach Ivette z Sylwią, ale chwycił łatwo sens tego, co opowiadał Mark. Chociaż ten mówił żywo, szybko i posługiwał się z przyzwyczajenia paryskim *argot*. Nie raziło go już teraz, gdy czasem, przez zapomnienie, odzywała się do niego po francusku. Radził też sobie niezłe z odpowiedziami „na galerii”. Pytania mało się zmieniały, więc łatwo się było z nimi uporać. Mimo wszystko, odczuwał wciąż z powodu tego obcego języka w domu trudność zaadaptowania się. Życie w rodzinie, do którego zapewne się garnał, którego może był złakniony, nie było tym, czego się spodziewał.

czego szukał i pragnął, właśnie chyba dlatego, że nieustannie musiał mieć słownik pod ręką, by sobie tłumaczyć to, co się dokoła niego działo.

Ale ją najbardziej bolał fakt, że poza tymi spotkaniami na galerii, do których należało podejść raczej pobłażliwie i humorystycznie, by się nie wydawały irytujące, nie mogła mu dać ani kulturalnego środowiska, ani rozrywki, ani też ciekawych kontaktów z ludźmi. Jego pobyt za granicą ograniczał się więc do życia w rodzinnym kręgu, w który tak trudno było mu się wciągnąć. Cóż opowie w Warszawie, gdy koledzy go zapytają: no cóżeś tam widział we Francji? Mów nam o ludziach, o życiu. Musisz mieć masę wrażeń. A to szczęściarz z ciebie!

Niedawno Tomasz zawarł znajomość z synem gospodyni. Ucieszyło ją to. Właścicielka domu była to kobieta zacna, dostojna, nobliwa i miała arystokratyczne nazwisko, które wymawiała wyraźnie, kładąc nacisk na owo „de”, by go nikt nie przegapił. Była wdową po oficerze kolonialnym, co w jej rodzinie było karierą rozpowszechnioną. Poza tym, nazwisko jej figurowało w encyklopedii Larousse'a, bo ktoś tam kiedyś wybił się w dziedzinie wynalazków i fakt ten był godny zanotowania.

Pani de Vallon obnosiła więc czcigodnie swoje nazwisko i czuła się spadkobierczynią zasług i tradycji rodzinnych. Pozostał jej też ten duży, zahipotekowany dom z galerią o chyboczącej się balustradzie, z którego skromny dochód musiała jeszcze skrupulatnie dzielić z licznym rodzeństwem. Ubierała się okropnie, bez gustu, niedbale i uchodziła w dzielnicy za zdewociałą paniusię. Istotnie, żyła godzinami rannych mszy i nieszpórów, w kościele chwytiała się stuły spowiedników, u wyjścia czyhała na proboszcza, a w niedzielę po sumie wciskała ludziom parafialne gazetki. Poczuywała się bowiem do „apostolstwa”. Oczywiście terenem tej akcji był dom i jej lokatorzy. Usiłowała organizować ich życie według sztywnych reguł katechizmu i nakazów kościoła. Wglądała w ich sumienia i z cikliwym moralizatorstwem czyniła pozbawione wszelkiej delikatności i dyskrecji uwagi.

Było to irytujące, ale przez respekt dla jej wieku tolerowano jej pobożne aluzje i wnikliwe wejrzenia. Zresztą była gospodynią. Tylko Madame Duval bez żenady zamykała jej przed nosem drzwi, więc porozumiewały się z sobą poleconymi listami, gdy chodziło o kwestię czynszu.

W sprawach natury praktycznej i pieniężnej Madame de Vallon porzucała katechizm, przyjmując etykę dyktowaną interesem. Była to pozbawiona wszelkich skrupułów strategia, zręczna i chytra. Posługując się nią Madame de Vallon zachowywała godność uczciwej wdowy. Lubiła się o byle co uciekać do trybunału i procesów, tracąc na to swe dochody. Na galerii pojawiała się często, gdzie przyłapywała swych lokatorów drobnymi szukanami. Miała zwyczaj maskować je miękkim tonem i głośkotliwymi uśmiechami. Za nią, jak nieodłączny cień, pojawiał się jej syn.

Był chorowity, wymoczkowaty, brzydki, jakkolwiek miał arystokratyczne, pełne wyrafinowania maniery. Do matki mówił z respektem „vous” i powtarzał za nią wszystko jak echo. Poza tym był to człowiek bardzo inteligentny, poważny i myślący. Ale otoczony barierami swych poglądów i przekonań, nie śmiał wysuwać się poza nie, by w konfrontacji z innymi nie być zmuszonym do przeinaczania czegokolwiek w ładzie swego światopoglądu.

Jakkolwiek był zupełnie bezczynny i nieużyteczny uważał, że zajmuje należne mu miejsce w jakiejś, jego zdaniem, uprzywilejowanej elicie. W tym przeświadczeniu utrzymywała go zresztą Madame de Vallon, która uważała, że żadne stanowisko nie odpowiadało jego socjalnej sytuacji, uzdolnieniom i inteligencji. W rezultacie więc marnował swój czas i życie w domu, przy matce, która despotycznie, choć dobrotliwie i przekonująco dyktowała mu program jego dnia, zajęć, jego lektury i filozoficznych przemyśleń.

Monsieur de Vallon, gdy mu się czasem udawało oderwać od matki, przychodził pogadać z Tomaszem. Zakładając z góry, że ktoś, kto przeżywa swą młodość w jednym z państw-satelitów Wschodu, przesiąka na

wskroś komunizmem, uważał Tomasza za wyznawcę tej ideologii. Poczował więc za swój obowiązek otworzyć mu oczy na „ideał zachodniej demokracji”.

Zabierał się do tego niezręcznie. Będąc z natury megalomanem, usiłował nieustannie wykazywać prymat Francji we wszelkich dziedzinach. Dla tych sukcesów przekorny Tomasz znajdował zawsze jakiś odpowiednik na Wschodzie.

Skoro więc to nie brało, Monsieur de Vallon rozprawił o nieograniczonych przywilejach, jakie daje człowiekowi Zachodu tak tu respektowana wolność. Ale i do tego podchodził nieumiejętnie. Mówiąc bowiem o braku swobody w reżymie komunistycznym, dodawał zaraz: „my, Francuzi, nie zaakceptowalibyśmy tego”, „u nas we Francji to by było nie do pomyślenia”, „na to byśmy się nie zgodzili”. Wyglądało więc, że państwa „satelickie” ulegają wszelkim represjom tylko przez bierność, nieumiejętność protestu, ba, może przez brak wszelkiego sentymentu i potrzeby wolności.

To było obrażające i tylko chyba trudność wysławiania się nie pozwalała Tomaszowi powiedzieć, jak mu to ubliżało.

Monsieur de Vallon mówił również dużo o politycznych aktualnościach, które komentował tendencyjnie, a co najgorsze, swojej osobistej opinii nadawał charakter poglądów ogółu Francuzów. Jakkolwiek dotyczyły one tylko grupki czytającej posłusznie „Figaro”.

Kiedy dotykał najdrażliwszego tematu, dotyczącego Algieru, rozgadywał się szeroko i przekonywująco o prestiżu, humanitaryzmie i bezinteresowności Metropolii. Mówił o subwencjach, wkładach, konstrukcjach, posługiwał się co chwila słowami: cywilizacja, dobrobyt, gwarancja pokoju.

— Chcę by pan na ten problem spojrział jasno i obiektywnie, otrząsnąwszy się z tendencyjnych komentarzy waszej prasy. Myślę, że pan to teraz potrafi?

Tomasz odwrócił się do matki i niemal brutalnie odrzekł:

- Jak mu powiedzieć, że mam to wszystko gdzieś?!
— Monsieur de Vallon nie zrozumie dlaczego —
odparła spokojnie.



Na galerii było słonecznie ale chłodnawo. Teraz więc sąsiadki, by się nagadać wchodziły od razu do kuchni. A Madame Duval osaczyła ją na dobre. Nie robiła nic innego całymi dniami poza swetrami na drutach. Wykonywała je na zamówienia i z tego żyła, utrzymując syna. Mąż jej swego czasu pojechał do Indochin. Nie dlatego, by stać się, zresztą niechcący, jednym z bohaterów Dien-Bien-Phu, ale po prostu, że się z nią któregoś dnia pokłócił. Miał już dość tego rozbałaganionego pokoju, żony wiecznie rozlatanej po ludziach i kotów brudzących po wszystkich kątach. Odtąd nie pisał, nie przysyłał pieniędzy. A wiadomo przecież było, że żył, nie zginął, zwróciła się bowiem do władz wojskowych, do ministerstwa, ba, pisała nawet do prezydenta z prośbą, by jej z urzędu skierowywano część jego żołdu. Ale formalności, papiery, listy, wszystko to trwa nieskończoną ilość czasu. W oczekiwaniu na odpowiedź, która nie nadchodziła Madame Duval zdecydowała się wreszcie pracować. Cóż mogła innego robić jak nie swetry. Nauczono ją jeszcze tego w sierocińcu, gdy miała dziewięć lat. W tym jednym była zręczna i szybka. Druty jej tylko migały w rękach i nawet przy najbardziej skomplikowanym ściegu nie musiała patrzeć na robotę. Robiła na pamięć. Druty, jakby same czuły kiedy oczka skrzyżować, kiedy na prawo, kiedy na lewo, ile zmniejszyć, ile dodać...

Przez ten czas Madame Duval gadu-gadu bez przerwy, bo miała zawsze mnóstwo do opowiadania. Syn jej chodził do liceum. Jej zdaniem był fenomenem i wszystko co go dotyczyło w jej relacjach było zawsze *extraordinaire*. Zresztą gdy był jeszcze mały wszystko się z nim działo nie tak, jak z innymi dziećmi. Ząbki mu się przerzynały wszystkie naraz, chodzić zaczął o pięć miesięcy za wcześ-

nie, ważył, jak by miał już trzy lata i nie siusiał nigdy w pieluszki. Gdy podrósł, czytać się nauczył od razu z gazet. We wszystkich chorobach, czy to była wietrzna ospa, różyczka, odra czy inna dziecięca dolegliwość, był zawsze „o włos od śmierci”. Z roku na rok przybywało tych niezwykłości w życiu, a teraz miał już dwanaście lat. Było o czym opowiadać. Podobno był pierwszy w klasie, pierwszy w liceum i mógłby już niemal zdać maturę.

A ów fenomen przechodził galerią z miną głupkowego mopsa i nawet nikomu nie mówił *bonjour*. Był gburowaty i ponury jak ojciec. A może go krępowały te cudaczne historie, które o nim opowiadała matka. Wiedział przecież, że galeria się z tego cichaczem naśmiewa.

Madame Duval wieczorami czytywała pornograficzne broszurki, które sprowadzała sobie z ogłoszeń gazetowych, gwarantujących „dyskretną wysyłkę”. Mówiła, że ma węż do najbardziej pieprzonych wydawnictw. Była niezaspokojona w swych instynktach seksualnych, miała ogromny temperament, a żadnych, jak mówiła, „okazji”. Więc lubowała się w sprośnych, wulgarnych uwagach, które uważała za dowcipne i sama się z nich zaśmiewała, dając tym upust podnieconej imaginacji.

Czasem niesposób było wytrzymać, tak jej gadanina była męcząca, bezsensowna, oszałamiająca. Często zjawiała się któraś z innych sąsiadek i wtedy zaczynały się nieskończone dyskusje na temat domowych zatargów z Madame de Vallon. Wymyślały, odgrażały się, szukały sposobu, by jej dokuczyć, jak małe dzieci, które obmyślają złośliwe psoty wobec nielubianej nauczycielki.

Tematem ich pasjonujących plotek było też od pewnego czasu młode małżeństwo, które mieszkało u końca galerii na lewo. Marylou, do której nikt nie mówił „madame”, bo jeszcze do niedawna nosiła „koński ogon” i skarpetki, wyszła za mąż mając zaledwie osiemnaście lat. Była głupiutka, ale przemiła i cokolwiek włożyła we wszystkim było jej do twarzy. Wyrażano się o niej, że jest *mignonne*. Wścibska z niej była okropna. Zaglądała

ciągle do wszystkich, osaczała każdego masą chaotycznych, ciekawych pytań, a potem na prawo i na lewo o wszystkim paplała. Nieraz więc była mimo woli powodem intryg, scysji i kłótni, bo zawsze coś niepotrzebnie wygadała.

Mąż jej, również bardzo przystojny, był bardziej poważny i zrównoważony; miał około dwudziestu pięciu lat. Posiadał coś z banalnego typu filmowych aktorów, ale był ustawicznie zażenowany, niezgrabny w ruchach, powolny. Fajtlapa! — mówiono o nim na galerii, bo nie zwracał wcale uwagi na swe sąsiadki, odpowiadał zdawkowo na ich uśmiechem podsycane zaczepki, w ogóle na galerii pokazywał się jak najmniej, tyle tylko, by regularnie po obiedzie przejść przez nią do ubikacji.

Pracował w liceum jako woźny, ale Marylou opowiadała wszystkim, że był prawą ręką dyrektora, który obejść się bez niego nie mógł. Obiecał im nawet mieszkanie w szkole z centralnym ogrzewaniem, łazienką i podwyżką pensji. Na razie mąż jej zamiatał liście platanowe na podwórzu liceum i rzucał posuwiste spojrzenia za uczennicami, z których niektóre miały już ponad szesnaście lat, ale nie zwracały na woźnego uwagi, jakkolwiek ten „prawie zastępował dyrektora”.

Marylou wesoło i frywolnie spędzała dzień to na galerii, to na ulicy lub w sklepikach. Gdy było zimniej wyglądała oknem, z którego do wszystkich wołała, pytała dokąd kto idzie, co kupił, gdzie teraz pracuje, ile zarabia. I każdy mimo woli zatrzymywał się, odpowiadał. Bo miała ładną, pocieszoną jak ptaszek główkę i wzbudzała sympatię. Ale ptaszek często się za bardzo rozwierkiwał, doprowadzając do katastrofy. Wtedy radosny i niefrasobliwy ulatywał i tylko zza drzwi nasłuchiwał, co się działo po rozsianskich przez niego nieopatrznie ploteczkach.

Tym sposobem Madame Borne straciła swego najlepszego klienta — owego emeryta. Bo dowiedział się, że podobno ma spocony, tłusty kark i jego koszul doprać się nie można. W dodatku stary przyk z niego i skapiarz. Tak podobno mówiła do swojej matki, a Marylou miesz-

kała tuż za ścianą i podsłuchiwała jak Madame Borne dorzuciła: „puszczę go kantem, alboż mi to brak klientów?”.

Madame Borne przyrzekała, że jak przyłapie Marylou na schodach, to jej buziak tak spuchnie, że nawet przez okno głowy nie wysunie. Ale Marylou przezornie i sprytnie pojawiała się na galerii, gdy nie była pewna, że Madame Borne wyszła na zakupy. Przez parę dni była nieuchwytna. Aż oto Madame Borne przyłapała ją u niej. Od razu ją zaczepiła:

— Powiedz no Marylou, czy długo się jeszcze będziesz uszami do mojej ściany przylepiać?

— Co, jak, kiedy?... — broniła się niewinnie.

— Nie udawaj, myślisz, że cię nie słyszę!

Marylou wydeła obraźliwie usta.

— A ty taka, ty siaka, czekaj no!... — atakowała Madame Borne. Wtedy Marylou równie napastliwym tonem wypaplała wszystko co przez ścianę słyhać, choć nie widać, a czego się łatwo domyślić. Po czym zwinnie wyrwała na galerię i pogoniła do siebie zatraskując drzwi.

— Kłamczucha! — wołała za nią Madame Borne. Co, nieprawda, Madame Lacrampe, muszę jej raz wreszcie nosa utrzeć!

— Może jej mąż zwróci wreszcie uwagę — usiłowała załagodzić.

— Co, ta ciamajda?! — wykrzyknęła Madame Duval. — Alboż on do czego zdolny?! Wczoraj wieczorem wchodzę z nim razem po schodach. Mówię mu: „ciemno tu, że nawet poręczy nie widzę”. A on, wie pani co na to? Przekręcił kontakt i zapalił światło! Toż to nie męzczyzna, ale manekin! — Wzruszyła ramionami.

I na tych gadaninach schodziły im godziny. Tomasz zamykał dyskretnie drzwi alkowy i czytał. Czasem otwierał radio. „Myśli, że ze mnie też plotkara. A ja przecież nie mogę ich za drzwi wyrzucić, cóż zrobić. Lubią tu przychodzić, lubią żeby je słuchać i tyle”.

Jakże obce, nieważne były dla niej ich sprawy. Ale nie mogła im tego odmówić, tak niewiele przecież od niej

żądały. Wystarczało im to, że tu była, że w każdym momencie otworzy im drzwi i będzie słuchać. By nie tracić czasu, siadała do maszyny i szyła kaftaniki, koszulki, obrebiała małe prześcieradła. Wszystko to robiła ze starości, z zużytej bielizny pościelowej. Ale mimo tego, starannie, pracowicie wykańczała robotę hacikiem, koronką, mereżką i było to ładniutkie, przyjemne, białe... Podziwiała ją.

— Madame Lacrampe, pani pracuje jak wróżka! Wyhaftuje mi pani monogramy na chusteczkach?

Dla maleństwa już prawie wszystko było przygotowane, ułożone w górnej szufladzie komody. Jeszcze tylko pieluszek brakło. Ale te najlepiej było kupić gotowe, bo były miękkie i praktyczne do prania. Może w przyszłym miesiącu Mark lepiej zarobi. A jak nie to sama weźmie się do monogramów chusteczek, a potem do mereżki w obrusach, do haftowania poszewek — przesiedzi nad tym trochę wieczorami i kupi w końcu dwa tuziny pieluszek. Bo na pracę Marka nie bardzo można liczyć. Szczególnie teraz.

Opowiadał ostatnio ciągle o kinie. Nie chodziło o streszczenie każdego filmu, o nie. Kino to była już tylko Conchita. Wieczorem przed dziewiątą słyszała ją jak szła z Pilar ulicą, wystukując drobne kroki cienkimi obcasikami. Zatrzymywały się przed bramą i nawoływały Marka: uuuuu... uuuuu... Bo, że było po drodze, więc zabierały go z sobą. Zrywał się od stołu i zbiegał na dół. Oddalali się szybko, ale długo słyszała, a może umyślnie nasłuchiwała, ich śmiechów, które się oddalały wraz z nimi w mroczną ulicę.

Kładła się wtedy spać, czytała, usiłowała czytać. Bo myślami była w kinie, wypełniała podrażnioną, niespokojną imaginacją kabinę, widziała Marka, Conchitę, która podobno za wszelką cenę upierała się, by manipulować aparatem, Conchitę, której, jak opowiadał, drabinka na pończosze pojechała od góry do dołu, bo się zaczepiła o gwóźdź w taburecie. Conchitę, która wybierała płyty do megafonu, a lubiła najbardziej Louis Mariano, Conchitę, która była sama i prosiła, by Mark jej pomógł zamieść

salę. Conchitę, roześmianą, wesołą w powrotnej drodze, która musiała wracać z Markiem bo przecież mama mu ją powierzyła by odganiał od niej pod kinem natrętnych cwaniaków. Conchitę którą co wieczór przed północą słyszała znowu pod bramą, przy której jeszcze gwarzyli i śmieli się, zanim wreszcie nie rzuciła na odchodnym: *adieu!*

— Do jutra — odpowiadał wesoło Mark.

Wtedy zamykała książkę i udawała, że śpi. Mój Boże, czyż to możliwe, by było tak smutno? — myślała, wtułając twarz w poduszkę.

Aż wreszcie, któregoś dnia nie mogła wytrzymać, wybuchła. Wybuchła głupio, prawie wulgarnie, uniósłszy się na wpół na tapczanie i zdawała sobie sprawę, że w tym momencie wygląda jędzowato.

Patrzyła jadownicę na Marka, przechylając swą śmieszoną głowę pełną szmacianych papilotów, którymi potrząsała za każdym słowem.

Mark nagle zaskoczony, położył z roztargnieniem na stół skarpetkę, którą ściągał z nogi i umilkł.

Jak to się zaczęło?... Chyba tak jak zwykle. Mark opowiadał o kinie. Ale tym razem był zdenerwowany i podniecony i mówił z pasją nie do niej, ale tak jak by jeszcze ciągle do Conchity.

— Wiedziałem, że coś ukrywa. Była niespokojna, jak by coś miała na sumieniu. Jeszcze wczoraj to zauważyłem. A dziś nawet w kabinie się nie pokazała — ciągnął, paląc niecierpliwie papierosa.

— Na chwilę wymknąłem się z kabiny i zaglądam na balkon, cicho otwierając drzwi. Conchita z jakimś młodym typem siedzi w ostatnim rzędzie foteli pod ścianą i je cukierki! Poczekaj, myślę sobie, rozmówimy się po kinie! — zdusił gwałtownie w popielniczce niedopałek.

— Seans się skończył, a Conchity nigdzie nie ma. Pytam o nią Pilar. Mówi mi: czy ja wiem, zdaje mi się, że już poszła, podobno dzisiaj dancing „Pod Szarotką”. Co? — krzyknąłem. Pilar się złękła. „Ja jej przecież mówiłam... — usiłowała się tłumaczyć.

Pogoniłem „Pod Szarotkę”. Od razu zobaczyłem, nie musiałem nawet szukać. Conchita tańczyła z owym typem jakieś ohydne cza-cza-cza i zaśmiewała się głośno, odgarniając z czoła rozrzucone włosy.

Czekam. Muzyka ustała, oni idą do stolika, a ja za nimi. Nie zdążyła nawet usiąść, bo uchwyciłem ją za ramię i mówię:

— Teraz wracaj ze mną. I to zaraz!

Spuściła oczy. Typ zaczerwienił się jak kogut.

— Co ty od niej chcesz? — pyta mnie zaczepliwie.

— Odwalaj szczeniaku! — mówię mu. Wiedziałem, że stchórzy, ale dla fasonu odburknął:

— Jutro ci przeliczę zęby! — I zaraz się zabrał, główniarz.

Wziąłem Conchitę za rękę. Zrugalem ją po drodze co się dało. Prosiła mnie na wszystko bym tylko mamie nic nie mówił. Byłem zły jak pies. Ale mówię: czemu nie powiedziałaś że chcesz potańczyć? Poszedłbym przecież z tobą...

— Dość! — krzyknęła wtedy. — Teraz już dość!!! — Stłumiła nieco głos bo bała się że Tomasz się obudzi.

Mark zdezorientowany zdziwiony uniósł głowę. Nie pamięta już co mu mówiła a raczej co w tym półszepcie syczała przez zęby z zapartym, nierównym oddechem.

Mark milczał, po chwili zastanowił się i rzekł:

— Cóż ty sobie zaraz wyobrażasz? Przecież bym ci nic nigdy nie opowiadał, gdybym miał jakieś złe intencje. Zwierzam ci się po przyjacielsku otwarcie...

— Nie chcę — przerwała gwałtownie — nie chcę twoich zwierzeń, ani przyjaźni, nie chcę nic wiedzieć o kinie i o twojej Conchicie, daj mi spokój, zamilknij, zabraj się — mówiła bezładnie.

Opadła na poduszkę, zakrywając rękoma twarz.

— *Garce!* — zaklął Mark.

Na tym się skończyło.

Mark wracał odtąd z kina milczący, ponury, kładł się bez słowa spać. Nie słyszała teraz nawet nawoływań pod bramą, ani ich śmiechów, ani wesołego *adieu* na roz-

stanie. Któregoś wieczora przed północą wstała i w koszuli podeszła do okna, uchylając wąską szparą okiennicę. Ulica była pusta, zachlapana i tylko daleko na zakręcie słabym światłem mżyła spoza deszczu jedyna latarnia. Zimno było przy oknie, a bosc nogi drętwiały od chłodu podłogi. Wstyd jej było czaić się za tą okiennicą. Drżała. Gdzieś dopiero o północy usłyszała kroki. Szli cicho, prawie bezgłośnie mokrym trotuarem, zwalniając coraz bardziej krok. Byli przykryci po głowę jasno-żółtą peleryną Conchity. Mark zapomniał w domu płaszcza. Pilar nie była z nimi, widocznie wróciła dużo wcześniej. Zatrzymali się pod bramą i z góry widziała nad ich głowami tylko płachtę nieprzemakalnej peleryny. Spływał po niej drobny, szmerzysty deszcz. Wreszcie Conchita odchyliła połę i pierwsza się spod niej wymknęła. Mark zarzucił jej pelerynę na ramiona. Milcząc uczyniła na pożegnanie wdzięczny gest ręką. Mark podszedł wolno do bramy. A Conchita oddalała się ciemnym trotuarem i w tym beznadziejnym deszczu jesiennej nocy jej peleryna zdawała się jasną, słoneczną plamą. Wreszcie znikła za zakrętem ulicy. I wtedy dopiero Mark otworzył drzwi do sieni schodów.



— Czy nie myślałeś nigdy o Paryżu? — spytała Tomasz.

Powiedziała to jakby od niechcienia, podając mu rano kawę. Tomasz chwilę się zastanawiał jak ma to pytanie rozumieć.

— O Paryżu? — powtórzył z wahaniem — tak, nie raz myślę. Chciałbym go zobaczyć — dodał melancholijnie.

— Paryż jest bardzo atrakcyjnym miastem — rzekła zdawkowo. Pociąga cię? — spytała, podsuwając mu cukier.

— Myślisz, że mógłbym tam pojechać? — podchwycił żywo.

Ona też odpowiedziała pytaniem:

— A chciałbyś?

— Myślałem już nieraz nad tą możliwością, ale doszedłem do wniosku, że to nieralne.

— Z punktu widzenia praktycznego, to projekt nie do pomyslenia — stwierdziła smutno.

— Żebym miał chociaż tylko na kolej! Czy nie sądzisz, mógłbym dojechać za pomocą „auto-stopów” — zapytał z ożywieniem — może miałbym szczęście?

— Na tak długi dystans trudno tylko na to liczyć — zauważyła.

A jednak bym spróbował. Kto wie, może mi się uda — w głosie jego było tyle ufności, że mimo woli przytaknęła:

— Kto wie. — Ale po chwili zmysł praktyczny wzięł górę, więc dodała z rozważą:

— Dojechać, to może i ci się uda. Ale co dalej? Jakże można myśleć o Paryżu nie mając grosza w kieszeni?

Tomasz nie odpowiadając na tę uwagę, snuł wątek swych rozważań:

— Zapisałbym się na Sorbonę jako wolny słuchacz. Będę miał dostęp do biblioteki, mógłbym się uczyć, studiować język. Kto wie, może natrafię na Polaków, którzy mi znajdą jakieś zajęcie. Zarobię. Byle bym mógł tylko opłacić kantinę studencką i métro. Dam sobie radę.

— A pókój?

— Są może domy akademickie. Rozejrzę się.

— Pomówię z Madame de Vallon. Ona ma przecież i w Paryżu dom.

— Doskonała myśl — przytaknął Tomasz — Chciałbym bardzo zobaczyć Paryż. Ale sam. Nie lubię „zwiedzać” i to w grupie, z przewodnikiem. Co mnie to obchodzi, że pod tym murem zsiusiał się jakiś król, a koło tej fontanny przechodziła taka czy inna kurtyzana, a w tym narożnym domu żył i zmarł poeta... Nie znoszę zwiedzania. Wolę się szwendać, wolę się sam domyślać, iść gdzie mi się chce, przystanąć tam, gdzie mam ochotę. Wolę sam odkrywać Paryż — mówił z nagłym ożywieniem.

Widocznie dawno już o tym myślał, dawno tego chciał. A przecież nigdy o tym nie napomknął. Toteż teraz

inicjatywę jej dosłownie porwał w ręce i cieszył się nią jak nieoczekiwanym podarunkiem. Od tak dawna wychuchiwał w swych myślach ten projekt, a ona tego nie wyczuwała. Dopiero teraz przyszło jej to na myśl, ale dlaczego teraz? Nie zastanawiał się nad tym. Zbyt go to cieszyło.

Ulżyło jej, że Tomasz tak chętnie rzucił się na ten projekt. Ale bała się. Jakże on sobie poradzi? Nie przewiduje nawet trudności, a przecież praktycznie tak nieraz trudno jest zrealizować to, co się uplanowało. Wysłać go do Paryża bez pieniędzy, bez żadnych znajomości, stosunków nie mając nawet żadnego adresu, który by mu mogła polecić, nikogo, gdzie by się mógł zaczepić. To przecież tak, jakby rzuciła psiaka na głębię, mówiąc mu z brzegu: no, a teraz pływaj, radź sobie z wodą.

Tomasz, jakby się wczytywał w jej obawy, orzekł śmiało:

— A czyż sobie nie daję sam rady w Polsce? Czternaście lat miałem zaledwie, gdy znalazłem się w Warszawie. Dawno już jestem na własnych nogach — dodał przekonywująco.

— To prawda — odparła.

I naraz popatrzyła na niego uważnie, długo, nie ukradkiem jak to zwykle robiła, by się nie spostrzegł, że mu się tak przypatruje. Kiedy tak stał z rękoma w kieszeni, z głową nieco pochyloną, szeroko ramionami oparty o framugę drzwi, uświadomiła sobie nagle jak bardzo był podobny do swego ojca. Miała w tej chwili ochotę powiedzieć coś, co by brzmiało tkliwie, serdecznie. Ale tylko rzuciła:

— Chcesz papierosa?

Chwilę tak palili nic nie mówiąc. Każde sobie coś myślało i patrzyli czasem na siebie poprzez siwo wijący się w powietrzu dym.

W kilka dni potem Tomasz odjechał. Przygotowała mu walizkę. Starannie ułożyła w niej bardzo skromną garderobę, wsunęła między sweter a kurtkę kawałek mydła, puszkę „Nescao” i dwie tabliczki czekolady — tyle tylko.

Przez parę dni pomagała Madame Duval skończyć dwa swetry, z którymi się spieszyło. To co zarobiła mogło wystarczyć Tomaszowi by coś w drodze przekazać i może na métro w pierwszym dniu. A potem, co potem?... — myślała stroskana.

— Mark powiedział mu na pożegnanie:

— No, baw się tam dobrze i nie trać czasu. W Paryżu ładne dziewczynki, tylko uważaj, bo szelmy umieją naciągać.

Sylwia zarzuciła mu wdzięcznie swe chude rączki na szyję i coś mu długo szeptała, łasiła się. Ivette rzuciła tylko krótko:

— Kup mi „hula-hoop” w Paryżu.

Wyrzała za nim przez okno. Nawet je umyślnie głośno otworzyła, by się zatrzymał. Przystanął i uśmiechnął się. Wyglądało, jak by chciał powiedzieć: trzymaj się. A może to ona za nim rzuciła.

No i pojechał.

Teraz, gdy go nie było, należało zreorganizować życie. Co tu dużo mówić, nie dawała sobie rady ani z budżetem, ani z codziennymi zajęciami. Jeszcze na ten jeden wysiłek musiała się koniecznie zdobyć: ułożyć wszystko możliwie najrozsądniej i prędko.

W miasteczku był klasztor. Niewiele w nim żyło sióstr, może osiem, dziesięć. Zajmowały się domem dla starców i przedszkolem. Wieczorem zdecydowała się do nich pójść. Powiedziano jej, że przełożona jest w kaplicy na różańcowym nabożeństwie, ale zaraz przyjdzie. Siedziała w małej poczekalni. Na ścianie wisiał ciemny krucyfiks. Po środku stał okrągły stół okryty pracowitą, sztywną serwetą i parę krzeseł. Nudziło się czekać — było cicho, mroczno. Jak dobrze, spokojnie musi być w tej kaplicy, gdzie można szeptać długi różaniec.

Po chwili weszła przełożona. Była uśmiechnięta, miła, jeszcze bardzo młoda. Nie trzeba jej było wiele tłumaczyć. Rozumiała, zanim się jej cokolwiek powiedziało, nie stawiała pytań, nie robiła wywiadu. Obiecała, że przyj-

mie obie dziewczynki na cały dzień, zapewni im obiad, kolację, pranie, przypilnuje odrabiania lekcji po powrocie ze szkoły. Wymieniła śmiesznie niską cenę, która mogła ująć raczej za jałmużnę niż zapłatę. Serdecznie, ciepło przytrzymała na pożegnanie jej rękę.

Z ulgą wracała do domu. Tak więc przynajmniej o małe będzie teraz spokojna. Zjedzą, po szkole się nimi zaopiekują, dopilnują by się umyły. Siostra napomknęła nawet, że da im fartuszki.

Z Markiem dało się też urządzić. Mógł jadać w południe u swoich klientów, którzy ujmowali mu za to nieznaczną sumę z opłaty. Zawsze to taniej wypadło niż w restauracji, a klienci jego jedli suto i dobrze popijali winem. Nie miała więc teraz kłopotu z kucharzeniem i medytowaniem nad cenami wiktuałów. W południe odgrzewała sobie kawę z mlekiem i jadła byle co. Czy była głodna?... Nie wiedziała. Może czasem tak, choć nie miała na nic ochoty. Ale odczuwała nieustannie niemiłą słabość niedosytu.

Wreszcie nie zdawała już sobie sprawy co i dlaczego jej dolega. Była u kresu sił. Aż któregoś dnia chciała zapalić piecyk, bo chłodno było w domu. Wyszła z szufelką na galerię, by nabrać węgla z paki. Gdy się pochyliła, pociemniało jej nagle w oczach. Podeszła instynktownie do poręczy, zachwiała się i oparłszy się o balustradę galerii, zwisała rękoma w dół, opuściwszy bezwładnie głowę.

Właśnie Marylou biegła po schodach, trzymając w ramionach prześliczne, blado-żółte chryzantemy. Przystanąła, krzyknęła i wystraszona zaczęła biec od drzwi do drzwi: „Madame Borne! Madame Duval!... ja się boję! Prędko, prędko... Co jej się stało!” — wołała, gubiąc pod drzwiami chryzantemy.

Wybiegły, zaruszało się na galerii. Wniosły ją do pokoju, ułożyły ostrożnie na niskim tapczanie, rozmawiały między sobą szybko przyciszonym głosem, gestykulowały, któraś z nich ręką chlapała wodę na jej twarz. Marylou płakała, ocierając łzy rękami jak dziecko.

— Psuje sobie krew, martwi się... w oczach teraz mierzniła — desperowała Madame Borne, pochylona nad tapczanem. Naraz wyprostowała się i krzyknęła do Marylou:

— Zamiast tu nosem siąkać, skocz do sklepiku i telefonuj po doktora!

Marylou posłusznie pomknęła na dół. Po drodze zatrzymywała się i opowiadała, że Madame Lacrampe leży jak nieżywa i taka blaada... Wreszcie przypomniała sobie o telefonie.

— Prędko, prędko, proszę się spieszyć. Madame Lacrampe już rodzi i to o dwa miesiące za wcześnie. Co to będzie... — rozszlochała się w słuchawkę.

Nie, nie rodziła i więcej niż dwa miesiące jeszcze na to było czasu. Ale źle było. Lekarz orzekł, że położenie płodu jest bardzo niefortunne, a przy tym cały szereg wywołanych tym komplikacji czyniło jej stan bardzo poważnym. Trzeba leżeć, nie ruszać się, nie podnosić, należy zachować idealny spokój. Będzie jej robił codziennie zastrzyki. Musi wzmocnić siły.

Marylou podsłuchiwała pod drzwiami.

— Jest bardzo źle, chyba nie wytrzyma do końca. Może mieć w każdej chwili krwotok i już po niej — rozpowiadała wszystkim w sklepiku, trwożnie załamując ręce. Doprawdy szczerze jej było żal Madame Lacrampe. Mówiła już o niej w czasie przeszłym: „dobra dla mnie była... brak jej nam będzie...”. Jakby już to owo „coś”, które w ogólnym podnieceniu i niepokoju na galerii sobie wyobrażała, już się stało i teraz tylko pozostało wspominać.

Przed wieczorem sąsiadki przyłapały na galerii Marka i bez ogródek powiedziały mu o stanie Madame Lacrampe. Marylou dorzuciła zuchwale:

— Trzeba skończyć z tym kinem! Lepiej by pan wieczorem czuwał przy żonie!

A może powiedziała to bez żadnej intencji, ot tak tylko przez głupie gadulstwo.

Dla niej zaczęły się teraz długie dni rozleżane, ociężałe bólem, niespokojne. Dni, których już nawet daty nie szukała. Ogarnął ją senny bezwład. Z Markiem mówiła

mało, raczej niechętnie. Zresztą i on był raczej małowówny, osowiały, zamysłony. Na ogół to i owo w domu zrobił, ale raczej z roztargnieniem, niedbale, jakby na odczepnego. Przed odejściem do kina siadał przy stole i czytał tygodniki, które znajdował na etażerce w pokoju dzieci. Były w nich okropne, ilustrowane, fantastyczne awantury, które rozgrywały się w międzyplanetarnych przestworzach. By zrozumieć ich akcję należało w rysunkach przebiegać od głowy do głowy, nad którymi znajdowały się niewyraźnie drukowane dialogi.

Czytając, nasłuchiwał. Przed dziewiątą podrywał się od stołu i pytał:

— Trzeba ci czego?

Czasem nie odpowiadała. Stawiał na stoliku nocnym szklankę wody, aspirynę, byle zrobić jakiś gest. Wychodził, zamykając drzwi na klucz, by nie musiała mu o północy otwierać.

W ciągu dnia zajmowały się nią pocziwie i troskliwie sąsiadki z galerii. Poruszały się koło niej, rozmawiały, robiły na drutach, rozsiadając się dokoła na krzesłach. Leżała czasem jak w półśnie, przymykając przed światłem dziennym powieki. Nieraz ledwo sobie uświadamiała, że Marylou nucąc zamiata pokój, że Madame Borne namawia ją do wypicia gorącego mleka, że nawet Madame Campette znalazła czas, by coś tam w kuchni zmywać. Były nawet jakby nawzajem zazdrosne o swoje usługi:

— Trzeba wyprać prześcieradła — mówiła któraś.

— Zostaw, ja to zrobię.

— Po co, pożyczę moje, są uprasowane — decydowała Madame Duval.

Nieraz usiłowała się podnieść, ale wtedy zawsze czyjś dobry głos perswadował: nie, nie wolno się ruszać, doktor mówił...

Więc znów się układała, wtulając się policzkiem w poduszkę. Woląla jednak nieraz, by nikogo przy niej nie było. Miała ochotę zamknąć oczy i spać. Ale ta troskliwość szczerą i pocziwą sprawiała, że ciągle się tu krzątano, poruszano. I to ją fizycznie męczyło.

Wieczorem przychodziły dziewczynki. Sylwia zatrzymywała się koło niej, siadała ostrożnie i cicho na brzegu tapczanu, przytulała do niej swą chłodną, czasem wilgotną od deszczu twarz. W milczeniu przygarniała ją ku sobie. A Ivette przechodziła obok niechętna i jakby obrażona, a na rzucone pytania wzruszała niecierpliwie ramionami. Widok matki pobladłej, cichej, przy tym skąpym świetle lampki nocnej, był dla niej czymś obcym, monotonnym, nie do zniesienia. Więc kładła się czym prędzej spać z myślą, by jutro znaleźć się znowu w szkole. Odchodziła rano bez pożegnania, burkliwa i nadasana, nawołując Sylwię, która zatrzymywała się koło tapczanu.

Modliła się. Wstyd by się jej było do tego przyznać. Modliła się teraz co dzień gorąco, szczerze, z niepokoju i desperacji, ze strachu, który ją ogarniał, z rozpaczyny nad swym niedołęstwem i z niepewności przed jutrem. Brała w ręce mszałik Sylwii z dziecinnie, naiwnie a wdzięcznie przedstawionymi scenami z Ewangelii i powtarzała szeptem króciutkie modlitwy, które już знаła niemal na pamięć. Potem chowała mszałik pod róg poduszki, podkładała ręce pod głowę i wtedy ogarniał ją spokój i milczenie.

Jedno ją tylko teraz napastowało nieustannie — myśl o śmierci. I to nie w tym sensie, że należy się do niej przygotować, pogodzić z tą możliwością, ale po prostu starała się sobie fizycznie, dokładnie wyobrazić decydujący moment, ową sekundę, ów kres cieniutki jak pajęcza nitka, w którym się wszystko kończy i zaczyna, zapada i unosi, gaśnie i zapala się... A może to jest definitywny kres, noc, milczenie, nicłość — jak mówił Tomasz. Koniec i pustka?...

Była to istna obsesja. Ta myśl wklejała się jej pod powieki, przylegała do twarzy, okrywała czoło. Ta myśl szamotała się koło niej nieustannie i natarczywie, trzepotała niespokojnie szarymi skrzydłami jak nocna ćma, gęściła się ciemnością nocy, raziła oczy jasnym, bolącym światłem dnia. Czasem się usuwała, by zaraz potem powrócić natrętnie a przekornie i rozsiadała się tuż obok, jak Madame Duval ze swą robotą na drutach.

Nikommu zresztą o tym nie mówiła. Była na pozór spokojna, zrównoważona, jednakowa. I kiedy rano wsparta na łokciu splatała jasne, cieniutkie warkoczyki Sylwii, mówiła do niej pocieszająco:

— Już niedługo, jeszcze tylko kilka dni.

Ale w tym właśnie ostatnim tygodniu w domu były same emocje i oczywiście wszystko, jak wzburzona fala, obijało się tuż przy niej o tapczan. Zaczęło się od tragedii z Kali. Czmychnęła któregoś popołudnia przez bramę, przebiegała ulicę, nadjechał czerwony, ogromny autokar i przejechał przednim kołem przez jej czarny, lśniący grzbiet. Leżała na środku jezdni i nawet nikt by nie poznał, że to kot. Wyglądała jak skrwawiona, brudna szmata.

Madame Duval miała od razu sparaliżowane emocje nogi, więc się tylko przewiesiła przez okno i wołała do wszystkich:

— Kali, widzicie, to Kali, była przed chwilą jeszcze, a już jej nie ma.

Mark zeszedł na dół i zebrał rozplaskanego kota na szufelkę od węgla. Zakopał go w ogrodzie Madame de Vallon, która chętnie na to przyzwoliła, mówiąc z udanym wzruszeniem: „biedne stworzenie”. Gdy Mark przyklepał ziemię łopatą, by nie było po tym znaku, nie powstrzymała się i rzekła do syna:

— O jednego kota mniej w domu.

Madame Duval tego dnia nie robiła już na drutach; serce jej się ścisnęło jak pięść.

Po wzruszeniach z Kali rozpoczęła się historia z trybunałem. Zjawili się nagle w domu jakiś podstarzały pan ze skórzaną teczką i jego młody, rozciekawiony wszystkim sekretarz. Orzekli, że są z kontroli ekonomicznej i mają dokonać ekspertyzy wszystkich mieszkań tego domu. Madame Duval wiedziała doskonale o co chodzi, to ona ich sprowadziła. Czyż nie obiecywała, że tak zrobi? Ów kontroler rozsiadał się więc w każdym mieszkaniu na dobrą godzinę. Liczył okna, wymierzał podłogę, oglądał ściany, wchodził w każde drzwi, a sekretarz wszystko

starannie notował obgryzając paznokcie, gdy czekał na dalsze szczegóły.

— A czyje te rondle, a kto zawiesił lustro, a do kogo należy ta miednica? Bo wszystko musiało być w swojej rubryce. To stanowiło własność gospodyni, a to lokatorów. Na tych szczegółach miała się oprzeć skomplikowana, zawiła kalkulacja czynszu, według jakichś tam artykułów, dekretów i paragrafów urzędowej wiedzy.

Jakoż wszyscy lokatorzy otrzymali wkrótce powiadomienie, że płacili zbyt wygórowany czynsz, że obniżka jego wyniesie tyle i tyle, a gospodyni musi wszystkim zwrócić wstecz to, co przepłacili.

Teraz więc wszystkie zasiadały u niej i przeliczały: „ja tu mieszkam tyle a tyle lat to dostanę, oho nie uwierzycie, sto dwadzieścia pięć tysięcy! A to okazał!

— Żeby nie ja — mówiła Madame Duval triumfująco.

— A pani, Madame Lacrampe, ile się wam należy?

— Dajcie spokój, nic nie chcę, to przecież nieuczciwie tak tę Madame de Vallon osaczać.

— A niech się zrukuje. Grosza jej nie daruję! — zaperzała się Madame Duval. — Zdewociała wiedźma!

— Ależ z czego ona to wypłaci?

— Oh, Madame Lacrampe, widać, że pani doprawdy chora. — I wyliczyły same, że Madame de Vallon winna jej przeszło sto trzydzieści tysięcy. Pomyśleć! Fortuna. Czyż to nie wiedzą jak bieduje, a teraz i syn przybył i w Paryżu i na studiach. A jak maleństwo się urodzi, co, może to się nie przyda? Przecież nawet wózka nie mogła kupić!

— Nic nie chcę — powtarzała znużona.

W dwa dni potem okazało się, że wszystko bierze w łeb. Madame de Vallon zmobilizowała swych krewnych w Paryżu i zaatakowała biuro kontroli.

— Wyobrażacie sobie — wypowiada proces administracji, trębunał gotów wszystko zawiesić.

— Mówiłam, że ta sknera coś przespryci — orzekała ponuro Madame Duval.

Tymczasem gospodyni, oczekując niespokojnie na datę procesu, wysilała się na coraz to nowe szykany wobec swych licznych lokatorów. Chciała tym okazać, że nic na razie jej autorytetu w domu nie naruszyło. Pojawiała się więc nieustannie na galerii z wymówkami. A to za dużo w domu prania, wody się nadmiernie zużywa, a to nie wolno gazet w klozecie używać, ktoś podobno zadrapał na dole ścianę, a czyj to rower pod schodami, a dlaczego do późna światło się pali i wychodzić z domu wieczorem nie wolno, bo o dziesiątej zamknie drzwi wejściowe, a kto kaszle na schodach, a czemu dzieci się śmieją, a czyj to kot się szwenda? A syn wszystko powtarzał i rozglądał się blade po galerii.

Przybiegano z tym wszystkim do niej.

— I cóż pani na to? Słyszała pani?

Wszystko to było jeszcze niczym wobec sensacji; która wstrząsnęła nie tylko domem, ale całą dzielnicą.

Któregoś rana na dole usłyszano okropne okrzyki. Otworzyły się drzwi. Najpierw wypadł przez nie kudłaty szczeniak, a potem rozbiegły się po ulicy rozwrzeszczane dzieci, dopinając po drodze oblatujące ubranie. Wreszcie z histerycznym piskiem uciekła na schody Madame Campette. Z wszystkich okien domów zwiesiły się głowy. Wtedy ukazał się w drzwiach jej mąż blady i długi, rozejrzał się wokoło, pogroził pięścią w stronę okien i zatrzasnął drzwi. Rozległ się hałas rąbanych z pasją mebli, jeśli je tak można było nazwać, i rozbijanych naczyń.

Madame Campette na galerii waliła kolejno we wszystkie drzwi:

— Dajcie mi wejść, toż on siekierę ma w ręku! — ale wszyscy się pozamykali pospiesznie i udawali, że ich nie ma.

Zwlekła się więc z tapczana i otworzyła. Nie mogła słuchać tego przeraźliwego głosu. Madame Campette wtargnęła do kuchni i odepchnąwszy ją niemal szorstko, rzuciła się bezwładnie na krzesło. Po chwili zerwała się i podbiegając co chwilę do okna, wołała bezsensownie:

— On już taki, Boże mój, nie ma rady!... podli ludzie! Zamykajcie się teraz na klucz! — Wybuchła nagłym, niewstrzymanym szlochem.

Najpierw milczała. Wreszcie podeszła wolno, ujęła ją za ramię i ślaniając się sama, przywlokła ją na tapczan.

— Co się stało? — spytała łagodnie.

Madame Campette zwróciła ku niej obmokłą, zaczerwienioną twarz, spojrzała z wyrzutem i rzekła z goryczą:

— Pani pali... pani wie co to znaczy być bez papierosa. A on dziś rano nie miał i wczoraj też. Charlotte stuknęła do drzwi, była dwa razy. Pani chyba spała?

— Tak, nie słyszałam.

— A on jak wariat ganiał po pokoju... — ciągnęła urywanym głosem. — Szukałam niedopałków... nie było. Chwytał szczeniaka za kark i chciał nim cisnąć. Złapałam go za rękę, a on wtedy na mnie, na dzieci, za siekiere...

Chwilę nasłuchiwała. Na dole ucichło.

— On by nic nie zrobił, on już taki — broniła go po swojemu. Papierosa tylko chciał zapalić... a pani spała... i co teraz będzie!.. Zniosła się na dobre długim, głębokim płaczem i opadłszy na tapczan tłumiła łkanie w kretonową poduszkę.

Podeszła do okna właśnie w chwili, gdy nadjechało pogotowie. Wyszło z niego trzech ogromnych, silnych ludzi. Stanęli przed drzwiami. Otworzył. Popatrzył na nich, popatrzył na okna, zbliżył się do auta, wsiadł, a za nim trzech silnych, ogromnych ludzi. Zatrzasnęli drzwiczki i pogotowie odjechało do Laumezanu. Tam był bowiem dom wariatów.

W oknach kiwały do siebie nawzajem głowy, gestykułowano, potem zeszli wszyscy na ulicę, przed dom. Każdy patrzył na otwarte drzwi, mówiono półgłosem. Tylko kundel z radosnym skowytom pętał się wszystkim pod nogami.

Wtedy zeszła Madame Campette. Nie pochylona jak zazwyczaj, ale prosta, wyzywająca, z dziwnym uśmiechem na wargach. Minęła wszystkich, przystanąła w drzwiach,

chwile się zawahała. Przywołała w końcu psa, a potem rzucił hardo w stronę ulicy:

— Widowisko się skończyło, możecie się teraz rozjechać. I zamknęła drzwi na klucz. Nawet nie szukała dzieci. Może uprzytomniła to sobie dopiero, gdy się zamknęła. W każdym razie za nic nie chciała już wyjść na ulicę.

Dobrych kilka dni minęło, a jeszcze wszyscy z emocją komentowali zajście. Dziećmi zajęła się opieka społeczna. Nakarmiono je, odziano, a potem poddano badaniom lekarskim. Charlotte znalazła się w szpitalu, bo podobno z płucami jej było kiepsko, dwóch braci odesłano do zakładu dla niedorozwiniętych, a trojgiem najmłodszych zajęły się dobrotliwie siostry klasztorne.

— Sześcioro dzieci mniej w domu — powiedziała zapewne z ulgą do syna Madame de Vallon.

Kiedy wreszcie Madame Campette pokazała się na galerii, nikt jakoś do niej nie śmiał zagadać, a i ona też się z tym nie spieszyła. Czasem przechodząc rzucała zgryźliwie:

— No co, nagapiliście się już na mnie? Wicie już jak wygląda żona wariata?!

I odchodziła, pozostawiając za sobą umilkłą galerię. Zaglądała teraz do niej często, ale raczej wieczorem, gdy już nikogo nie było. I wtedy bez płaczu i bez łez, smutno i spokojnie zwierzała jej koszmar swojej zmarnowanej przy boku tego człowieka młodości.

A ona słuchała. Czasem znużona zapadała w senność, ale otwierała oczy. Przypominali jej się wtedy ludzie w pasiakach na placu w Eisenach. Widziała ich jak jeden włókł drugiego, ostatnim wysiłkiem ciągnąc obolałe członki, by zrobić jeszcze tych kilka kroków naprzód...

— Wszystko teraz będzie dobrze. Zobaczysz pani. Los się zawziął, sprzeciwił, ale trzeba się z nim brać za bary! Jeszcze tyle lat przed panią, tyle może radości...

— Doprawdy? — pytała zdziwiona.

Ochodziła mówiąc:

— Niechże pani dobrze prześpi tę noc!

Ale o tym już mowy nie było. Bo termin zbliżał się, termin, któremu się nie można było wymknąć, ani przed nim ukryć. Nieubłagana data, na którą się od dawna czeka, a która przecież zaskakuje, jakby się tego nie wiedziało.

Ból zawsze chwyta nocą, bo wtedy może się rozpanoszyć. Potrzeba mu ciszy dookoła. Wtedy może się zakraść, uchwycić kleszczami, wypuścić i znów przychwycić. Może bezkarnie skurczyć, przygiąć, stłumić jęk i odprężyć momentem krótkiej, błogiej ulgi. Tam za ścianami wszyscy śpią i trzeba się z tym bólem rozprawiać samej, cicho i bezgłośnie bo to przecież noc.

Mark wstał pospiesznie, ubrał się. Bezradnie usiadł obok. Chciałby coś powiedzieć, ale tylko powtarzał:

— Źle ci, źle ci teraz?

Minuty wloką się powoli. Godziny są nieskończonym ciągiem tych długich minut. Jak tu dobrnąć do rana przez te powolne, rozespiane cyfry. Dopiero druga... trzecia... Ileż jeszcze brakuje do świtu? Bo o piątej rano jest dopiero pierwszy pociąg, którym można dojechać do położniczego szpitala w pobliskim mieście. Oczywiście można też zatelefonować do garażu i pojechać zaraz autem. Ale ileż szofer zażąda za nocną taryfę? Czy starczy?

Trzeba czekać, trzeba koniecznie doczekać do rana.

Mark, daj mi papierosa! — Ręka jej drży, gdy zapala. Po chwili papieros wypada jej z ręki na ziemię.

Wreszcie w okiennicach szarzeje wąską szczeliną świt.

Trzeba się powoli zebrać. Mój Boże, jak trudno się ruszyć. Zimno. Dreszczem przechodzi wciąż po plecach i wargi drżą, jakby wciąż mówiła. Włożyła z trudem płaszcz, który się nie dopinał. Mark okrył jej swym szalikiem szyję. Powoli podeszła do drzwi pokoju, w którym spały dziewczynki. Sylwia była zakatarzona i oddychała nierówno przez w półotwarte usta o spieczonych wargach. Ivette odwróciła się na wznak i otworzyła oczy.

— Dokąd idziesz? — spytała na w pół sennie.

— Do szpitala. Może przed ranem urodzi się wasz braciszek. Jeszcze noc, śpij.

Ivette, mamrocząc coś niewyraźnie nasunęła koc na głowę.

Jakże ciężko było zejść po schodach, krok za krokiem, stopień za stopniem, opierając się bezwładnie o Marka. Szarzejącą ulicą schodzili wolno w dół w stronę dworca. Była mgła, a raczej chyba chmury, które jak wata osiadły w dolinie. Nie było widać ani gór, ani nieba, zdawało się, że jest tylko ten skrawek chodnika i kilka domów, w białej, miękkiej nicości chmur.

Na peronie majaczyły niewyraźnie sylwetki robotników z przewieszonymi przez ramię torbami. Nastawiali kołnierze swych sztywnych bluz i paląc milcząco fajki, wyglądali pociągu. Wreszcie pojawił się z mgły, jak kubiczne widmo.

Mark wciągnął ją do przedziału, jak niezgrabnie opakowany tłumok z etykietą *fragile*. Zwaliła się na niewygodną ławkę. Turkot pociągu tłumił skomlenie, którego już nie mogła powstrzymać i czasem ze zgrzytliwego łoskotu wyrывało się ostrzejszym jękiem. Mark rozglądał się trwożnie po pustym przedziale. Czasem przytrzymał ją za rękę, potem wstawał, wyglądał niespokojnie oknem, znów siadał.

Jeden z robotników zaglądnął przez drzwi, zatrzymał się, zagadał.

— Prędko już stacja? — spytał Mark, byle coś powiedzieć.

— Zaraz, zaraz — odrzekł uspakajająco. Ale czegoście do ostatniego momentu zwlekali? — dodał z wyrzutem.

Na przystanku dopomógł ją znieść ze stopni wagonu. U wyjścia zawołał za nimi na odchodnym:

— Bierz bracie taksówkę i spiesz się. Z tym nie żarty.

Do szpitala położniczego było niedaleko. Mogła się jeszcze zawlec. U wejścia usiadła na stopniach kamiennego ganku, jakby tu jeszcze przez chwilę dało się opóźnić decydujący moment. Ale w drzwiach pojawiła się już

biało zakonna siostra i schyliwszy się nad nią, ujęła ją łagodnie za ramiona.



Był silny, rozkrzyczany i zdrowy. Kiedy płakał, zaciskał piąstki i czerwieniał kogucio, otwierając ogromną jamę ust. Ivette była trochę zaskoczona, bo nie miał zębów, ale orzekła, że to nic nie szkodzi. Cieszyła się nim. Sylwia brała ostrożnie w rękę malusieńkie paluszki i przyglądała im się długo, uważnie, jakby uwierzyć nie mogła, że są „prawdziwe”, że się poruszają, zaciskają i mają nawet różowe okrągłutkie paznokcie.

Patrick spał w łóżeczku, które mu Mark polakierował na niebiesko i z daleka główka jego wyglądała spod kretonowej kołderki, jak owłosiona, jasna piąstka. Mark szalał z radości. Gdy wracał w południe z pracy, zaraz jednym skokiem biegł do łóżeczka, by się przekonać, że mały tam ciągle jest, że mu się nic nie stało, że śpi. Udawał, że trzeba go lepiej przykryć, przestawić od światła, obrócić na bok. No i oczywiście po chwili mówił niewinnie:

— Zbudził się... nie chce już spać.

Wtedy go brał niezgrabnie w ramiona, ostrożnie przyciskając do siebie i niósł na galerię, niby to, by mały miał świeże powietrze. Ale chodziło mu tylko o to, by go komuś pokazać. Bo oczywiście zaraz któraś z sąsiadek nadszalała i zaczynały się zachwyty:

— A jaki mądry... a jak się ciekawie rozgląda... a jak już główkę unosi.

Mark łykał z zadowoleniem te rozczulające uwagi, pokazywał wszystkim swego syna z bliska i rozповідаł o nim fenomenalne historie, niczym Madame Duval o swym mopsie. Tak więc co dzień w południe na galerii wiedziano ile Patrick wypił gramów mleczka, że już mu się pępuszek wygoił, że w kąpieli wcale nie krzyczy i że miał stolec żółciutki, nie za rzadki, nie za gęsty i to regularnie dwa razy dziennie.

— Doprawdy? Tęgi urwis z niego będzie — schlebiały sąsiadki.

— Teraz już je łyżeczką kleik. Dajemy mu „Blédine” — oznajmiał z triumfem Mark.

Nie można się go było z galerii dowołać. Nie dawał też sobie odebrać syna, miał go ciągle przy sobie, „rozma-
wiał” z nim i twierdził nawet, że Patrick go już doskonale poznaje.

Mark był teraz znowu rozgadany, ożywiony, wesół. Wieczorami nieustannie coś majstrował, zbił dziewczynkom nową etażerkę, w kuchni sfabrykował ścienną szafkę, naprawił radio Tomasza, odnowił nocny stolik. Robił to wszystko zawzięcie i starannie, paląc swą długą fajkę i nawołując ją co chwila, by przyszła „zobaczyć”. Wieczorami zostawał więc w domu, nie chodził już do kina. Oznajmiał to od razu po jej powrocie ze szpitala. Puścił kino kantem i tyle.

Wstawiała teraz wcześniej rano. Uwijała się znów żywo po domu, niezmęczenie, energicznie. Było słonecznie, w południe nawet bardzo ciepło i mały spał godzinami na galerii, gdy nie było na niej dzieci i kotów. Było jej dobrze i często sobie nuciała. Okna stały teraz prawie do wieczora otwarte, drzwi na galerię też. Wiosna zaczynała się trochę przedwcześnie, i na dole w ogrodzie Madame de Vallon czerwieniły się na brązowych gałęziach kwiaty japońskiej jabłoni. Spod ziemi wykopał się już stary żółw i leniwie ciągnął swą owalną skorupę koloru brudnego kamienia, którą nieruchomił przy konarze brzoskwiniowego drzewa. W górach, wysoko, wylizywały się spod śniegu coraz większe łaty buro-zielonkawych połonin. Lekki i ciepły powiew załatywał ukosem i wydymał białe zawieszony na sznurze pieluszki.

Tomasz dawał o sobie znać rzadko, ale mniej więcej regularnie. Z jego krótkich, treściwych listów dowiadywała się że jest zadowolony, studiuje, że Paryż go nie zawiodł. Wspominał zdawkowo, że wieczorem pracuje jako pomywacz w restauracji. Domyslała się, że jest mu materialnie bardzo ciężko. Inni studenci mieli zaczepienie o dom, o

przyjaciół, on żadnego. Musiał być często bez grosza. Nie mówił o tym, nie skarżył się, ale wyczuwała to łatwo. Raz do koperty wsunęła mu z listem pięćset franków. „Może w niedzielę będziesz mógł pójść sobie do teatru” — pisała zażenowana, że tylko tyle może zrobić. Okazało się, że pieniądze przyszły w samą porę. „Odebrałem od razu z pralni moje koszule” — napisał.

Mimo to trwał tam, upierał się, zawzięcie trzymał się Paryża. Była tym stroskana. Nie chciała, by głodował, by się włóczył bez grosza. A przecież inaczej go sobie nie wyobrażała. O pracy poza domem nie mogła teraz myśleć. Dziewczynki wróciły już z klasztoru do domu, bo nie chciała dłużej nadużywać dobroci uczynnych sióstr. Patrick wymagał jej nieustannej obecności. Mowy nie było, by się angażowała znów jako dochodząca służąca. A przecież Tomaszowi musiała za wszelką cenę pomóc. I to teraz, zanim zaciągnie długi wśród Polaków, albo co gorzej, Francuzów i których potem nie będzie można spłacić. A przecież trudno by mu to było nawet wyrzucać. Czyż nie należało mu się stokroć więcej?

Wreszcie zupełnie przypadkowo nasunęła się jej pomyslna okazja. Sylwia wracała czasem ze szkoły ze swoją koleżanką, małą Bernadette. Bawiły się trochę na galerii, a potem przy stole w pokoju Tomasza odrabiały razem lekcje. Oczywiście trwało to długo, bo ustawicznie prychały śmiechem, wygłupiały się, toteż problem „ile zarobił węglarz za 27 worków po 920 franków” był zbyt dla nich skomplikowany, by znaleźć wreszcie rozwiązanie.

Ciemno już było na dworze, więc po Bernadette przyjechał w końcu ojciec, by ją zabrać do domu. Trochę niby się na nią gniewał, ale w rezultacie był rad, że jego jedynaczka ma tak miłą i oddaną koleżankę jak Sylwia. Zwlekał z odejściem więc poprosiła go by usiadł. Był to już nieco starszy pan, wyłysiały, bez zarostu, starannie wypomadowany i ubrany z pedanteryjną elegancją. Mówił wolno i z galanterią właściwą Francuzom przemyczał w rozmowę uprzejmości i komplementy. Równocześnie z kupiecką spostrzegawczością wodził z udanym roztargnieniem

po pokoju. W pewnym momencie wzrok jego zatrzymał się na dużym glinianym dzbanku, z którego wychylały się dekoracyjne gałęzie japońskiej jabłoni z ogrodu Madame de Vallon.

Dzbanek był prosty w formach, czarny, a na nim wzorzysto, kolorowo barwił się ornament inspirowany ludowym folklorem. Monsieur Prate nie znał się na stylu ani na dekoracji, a jeszcze mniej na glinianych wyrobach. Niemniej ten dzbanek przykuł dosłownie przez chwilę jego uwagę.

— Kto go malował? — spytał, przepraszając za niedyskrecję.

— To ja, czasem mnie korci by się wziąć za pędzelki — odrzekła z uśmiechem.

Monsieur Prate wyraził swój zachwyt dla dzbanka, dla dekoracji, dla niej, a potem się zamyślił.

— Możemy zrobić interes — orzekł po chwili i poruszył ramieniem. To był taki jego tick, gdy był czymś zaaferowany. Wyjaśnił bowiem, że zajmuje się sprzedażą statuetek. Przed każdym sezonem przygotowuje cały ich zapas, który potem, za pośrednictwem sklepów z dewocjonaliami, sprzedaje pielgrzymom w Lourdes.

— To doskonała klientela — oświadczył — szczególnie pielgrzymi z zagranicy. Nie znają cen, a rzucają się na wszystko, bo każdy chce z sobą zabrać coś jako pamiątkę z Lourdes. Toteż skupują co się da i robi się na tym wcale dobry interes.

Nie potrzebował jej tłumaczyć na czym polegał ten handel w Lourdes. Często tam była, bo to pobliska miejscowość. Zdażyła poznać atmosferę, jaka dokoła tej świętej grotty panowała. Zerowano tu bezwstydnie, bez skrupułów na naiwności schorowanych, pobożnych pielgrzymów. Ci tłumami, wielką rozśpiewaną falą procesji, spieszyli ulicami w dół, ku grocie. W małych, niezliczonych sklepikach ze świętościami czyhali na ich powrót *marchands de temple*, przeliczając z góry swe zawrotne zyski. Sprzedawano tam pielgrzymom cukierki, fabrykowane „pod gwarancją” z wodą grotty, popielniczki z kal-

komaniami św. Bernadette, blaszane, płaskie medaliki, puderniczki z widokiem groty, bańki aluminiowe na wodę z Lourdes i wreszcie okropne, szkaradne i tandentne figury Matki Boskiej z gipsu, nad której głową złościł się napis.

Pielgrzymi skupowali wszystko, byle by było tanie i jaskrawe i z napisem „Lourdes”. Kupcy po skończonym sezonie odpoczywali na Balearach czy Côte d’Azur, snując projekty wybudowania nowego hotelu, nowej willi, nowej restauracji. A po powrocie fabrykowali na gwałt przed sezonem seryjne statuetki z gipsu.

Tym się właśnie zajmował Monsieur Prate. Już nazajutrz przyniósł w tekturowym pudełku swoją figurę i ustawił ją ostrożnie tuż koło dzbanka z gałęzmi jabłoni. Oddalił się o krok i rzekł, poruszając lewym ramieniem:

— Proszę tylko spojrzeć!

Nie było doprawdy na co. Miało się ochotę raczej przymknąć oczy. Było to jedno z tych obliczy Matki Boskiej w obramowaniu niebieskiego welonu, oblicze zaróżowione jak twarz prowokacyjnie uszmlinkowanej prostytutki, oblicze bez wyrazu, a może właśnie pełne wymowy — tego co można zrobić w bezkarnej, świadomej profanacji, gdy chodzi tylko o zysk.

— No cóż — pytał Monsieur Prate, zacierając obie ręce — widziała już pani taki model?

Okazało się, że posiadał on „coś”, czego brakło innym, konkurencyjnym modelom. Matka Boska poruszała oczyma. Niewiarygodne! Ale Monsieur Prate natychmiast to zademonstrował. Postawił statuetkę na podłodze, uniosła wzrok ku górze. Uniósł ją wysoko w rękę, opuszczała posłusznie wzrok na dół. Stawiał ją teraz to na prawej, to na lewej krawędzi stołu, a źrenice jej się przesuwwały ukosem, lekko zezując. Jednym słowem wodziła oczami prosząco i natarczywie za stojącym przed witryną pielgrzymem. Jakże więc można by takiego modelu nie kupić.

— To kwestia właściwego reliefu płaskorzeźby — mówił Monsieur Prate. Albo coś jak ten jego tick z lewym ramieniem, pomyślała.

— Zapłaciłem za ten patent dosyć drogo, ale nie żałuję, wcale nie żałuję. Braknie mi tylko dekoratorki. Mam wprowadzić dwie w samym Lourdes, ale nie mogę nadążyć z robotą.

Stanęło więc na tym, że Monsieur Prate będzie jej dostarczał do domu owe statuetki. Sto, dwieście... trzysta... ile zechce. Płacić będzie od sztuki Tu uśmiechnął się i orzekł, że nie wygląda wcale na matkę takich już dużych dziewczynek. Dałby jej najwyżej dwadzieścia pięć... no, powiedzmy dwadzieścia osiem lat, nie więcej.

Pożegnał ją gładkim uśmiechem i poruszając ramieniem wyszedł na galerię. Ma pewnie w nim reumatyzm — zauważyła w myśli.

Na schodach obdarzył Madame Borne uważnym, wolnym *bonjour*.

— Kto to? — spytała, zanim się znalazł w sieni.

— Fabrykant — odparła.

— Od razu widać, że porządny gość — skonstatowała. — A co on robi?

— Fortunę!

Na drugi dzień przygotowała sobie w alkwie Tomasa swoje „atelier”. Mark zbił z gładkich desek szeroki blat, który umocowali na małym stoliku. Kupiła olejne farby, pędzelki, terpentynę. Mogła się już zabrać do tej „dekoracyjnej” pracy.

Ale trudno było ją pogodzić z domowymi zajęciami. Bo dzień miała zaharowany a Patrick wymagał coraz więcej pracy. Umiał już kapryścić i orientował się doskonale, że jest ośrodkiem zainteresowania w domu. Mark go rozpuszczał niemożliwie, dziewczynki też się ciągle koło niego kręciły, więc chciał, by nieustannie nim się zajmowano i domagał się tego energicznym, miaukliwym krzykiem.

Wstawiała więc teraz bardzo wcześnie, gdy tylko robiło się jasno i zasiadała w swym atelier do roboty. Sto par oczu, sto warg, sto welonów, sto napisów: „Ave Maria” złożonymi literami nad głową. A potem, wstyd się przyznać, brała róż do twarzy firmy „Coty” i watką oży-

wiała nim policzki stu statuetek. Wtedy były skończone, gotowe do sprzedaży. Ustawiała je na szerokim blacie, rzędem po dziesięć, a kiedy tu miejsca nie starczało, umieszcziała je na komodzie, ba nawet na łóżku, na którym rozłożyła długi karton.

Zapach terpentyny, a szczególnie białej farby o przykrej woni kauczuku, oszałamiał ją i już po godzinie miała migrenę. „Głowę mam jak karuzela” — myślała, zapożyczając z obrazowego słownika Madame Duval. Wychodziła chwilami na galerię. Z dołu widać było czupryniaste, różowe drzewa brzoskwiń, w których szamotały się radośnie ptaki. Z trawy sztywno wysuwały się żółte żonkile i przesłiczne w swych różnych odmianach tulipany. Szkoda, że Madame de Vallon zapuściła ogród. Wszystko tu kwitło, barwiło się byle jak, bezładnie. A może tak było lepiej.

Mopsowaty syn Madame Duval wyszedł z ubikacji, przytrzymując rozluźnioną gumkę pyjamy w paski. Ledwo otworzył drzwi, trzy koty jeden za drugim czmychnęły na galerię, węsząc kolki balustrady.

— Diana, Minou... — wołała za nimi z pokoju Madame Duval. Wróciła do alkowy. Trzeba się spieszyć, Monsieur Prate przyjdzie w południe zapakować w kartony skończoną serię.

Kiedy wchodziła do alkowy, ze stołu, z komody, z łóżka wodziły za nią setki oczu intrygująco, natrętnie. Czasem miała ochotę podwracać statuetki jedna za drugą. To spojrzenie zdawało jej się szyderstwem, kpina z jej losu, z jej „artystycznych uzdolnień”.

Monsieur Prate zajeżdżał pod dom szaro-gołębią „Marly”. Mówił, że to teraz bardzo modny kolor. Kupił ją w „Salon de l'Auto” 1958, gdy był w Paryżu. Pomagała mu znosić ze schodów pudełka, które układał starannie na komfortowych siedzeniach luksusowego auta. Potem zasiadał na chwilę w atelier. Mówił o wiośnie, o ślicznym słońcu, o tym, że czuje się jak poeta.

— Nie uwierzy pani jak jestem wrażliwy na naturę!

Proponował, że jeśli ma ochotę się trochę przejechać, to chętnie służy swym autem. Z uśmiechem mu dzięko-

wała. Zapytywała o zdrowie żony. Ta była już od kilku miesięcy w sanatorium, gdzie ją leczono na płuca. Monsieur Prate orzekał, że dobrze z nią i mówił, że wobec rocznicy stulecia w Lourdes interesy jego zapowiadają się doskonale.

— Zbynam mój model po sklepach jak bułeczki — mówił z zadowoleniem. — Co za śliczna pogoda... a więc nie ma pani żadnych sprawunków do załatwienia? No to innym razem. Auto ma pani do dyspozycji. *Au plaisir de vous revoir!*

Na galerii Madame Borne czyściła pantofle.

— *Bonjour Monsieur. Ça va?* — pytała zdawkowo. Po chwili była już w kuchni, mówiąc:

— Przyniósł mi wczoraj bieliznę do prania. Będę miała dobrego klienta — rozglądnęła się po galerii, czy Marylou nie ma w pobliżu.



Tomasz pisał, że prawdopodobnie przed Wielkanocą przyjedzie na kilka dni. Chce najbardziej zobaczyć Patrick'a. List choć krótki i zwięzły ogarnął ją radością. Doprawdy szczerze pragnęła zobaczyć Tomasza. W tym samym tygodniu jeszcze zabrała się rażno do wiosennych porządków. Wyprała wszystkie koce, zawiesiła czyste firanki, podłogi pachniały świeżo pastą, wymyte szyby były przezroczyste jak powietrze, a w pokoju Tomasza na komodzie w płaskim naczyniu złociły się kaczeńce.

Kupiła też sobie kolorowy, wzorzysty perkalik i uszyła spódniczkę suto marszczoną w talii, która za każdym ruchem barwnie rozkładała się szerokimi fałdami. Zrobiła sobie na drutach ładną, ażurową bluzeczkę bez rękawów. Poczowała się znowu młodo i lekko. Mark stwierdzał z zadowoleniem, że przypomina mu teraz okres, gdy przychodziła do niego, kiedy był drwalem w lasach.

— Pamiętasz te ogromne liście paproci?

Patrick pił już z łyżeczki sok pomarańczowy i jadł banany.

Mark chciał mu koniecznie dać „tylko spróbować” lizaka. Nie pozwoliła. Ale zdaje się, że mimo to dał mu go cichaczem possać, bo wieczorem znalazła ów cukierek mokro przylepiony w fałdzie kołderki.

W niedzielę palmową Mark po południu otulił małego włóczkowym płaszczkiem, nasunął mu kapturek na głowę i z popielatym wózkiem wyszedł poważnie i ostrożnie na ulicę. Ten ostatni był wprawdzie pożyczony, stary, ale to głupstwo, skoro w tym wózku leżał różowy, pucółowaty syn, a tak ślicznego bachora ludzie jeszcze nie widzieli. Ivette i Sylwia chciały na zmianę popychać wózek, a Mark się z nimi wyklócał i nie dawał. Szedł rozświetloną ulicą, przystawał witając znajomych z dzielnicy, a z gestów sądząc opowiadał im zapewne, że Patrick będzie miał już lada moment pierwszy ząbek. Kiwano z podziwem nad wózkiem, a Mark dumny zdejmował małemu włóczkowy płaszczek, bo ktoś powiedział, że mu chyba za gorąco.

Skorzystała z chwili spokoju. Odsunęła w alkowie na bok nowe kartony, które jej wieczorem przywiózł Monsieur Prate, otworzyła szufladę i z małych tubek wycisnęła na paletę różne kolory farb. W koszyczku obok miała jaja. W ciągu tygodnia, posługując się nimi do kuchni, wydmuchiwała je starannie przez małe dziurki, które zrobiła ostrożnie końcem grubej igły do włóczki i były to już tylko puste i nienaruszone skorupki. Zaczęła je malować. Wzory przychodziły jej same do głowy, nie namyślała się nawet, tak jej to szło łatwo i przyjemnie. Po paru godzinach koszyczek był wypełniony kolorowo bajecznie wesołymi pisankami. Z uciechą patrzyła na misterne, delikatne wzory. Udały się.

Teraz była doprawdy wiosna, zbliżała się Wielkanoc. Czekwała niecierpliwie na Tomasza. Zapewne jeszcze przed przyjazdem napisze.

List przyszedł dopiero w Wielką Sobotę rano. Właśnie już miała tylko upiec wielkanocną babkę. Przemyślała tu bowiem, w życie rodzinne, swoje polskie tradycje, do których dawniej w kraju nie przywiązywała może takiej

wagi. Musiała więc co roku upiec polską babkę, taką prawdziwą, pulchną i żółtą z mnóstwem jaj i z rodzinami. Dzieci zawsze się nią cieszyły, a Mark też bardzo ją lubił, szczególnie gdy była polana słodkim lukrem.

Ubijała właśnie żywo żółtka, gdy listonosz wręczył jej przez otwarte drzwi list.

Był inny niż zazwyczaj, poznała to od razu otwierając kopertę. Był długi i jakby staranniej pisany. Tomasz miał niedbałe pismo uczniaka, który sobie nie chce zadawać trudu i pisze byle jak, niewyraźnie, nie przestrzegając nawet linii. Tym razem było inaczej.

Usiadła w jego alkowie na łóżku, przymknąwszy przedtem okno.

„Przykro mi, ale doprawdy nie będę mógł przyjechać na Wielkanoc. Żal mi tu zostawić Lydię samą. To moja koleżanka z Sorbony. Myślisz pewnie, że to jedna z tych, które mają niedbałe, proste włosy à la Juliette Greco i obcisłe *blue-jeans*. Nie, Lydia jest zupełnie zwyczajna. Nie poznałem jej w piwnicy na St. Germain-des-Près, ale całkiem po prostu w stołówce uniwersyteckiej. Cóż ci o niej powiem? Jej matka była Włoszką, a ojciec Amerykaninem. Miał swego czasu dom eksportowy w Nowej Kaledonii. Ale już dawno się rozwiedli. Matka wyszła za jakiegoś aktora, ojciec, gdzieś podobno w Ameryce robi fortunę. Więc Lydia nie ma rodziców. Jest sama w Paryżu i studiuje, tak jak ja. Jeśli nam się uda zebrać kiedy trochę forsy, pojedziemy może na tę jej wyspę. Lydia ma za nią nostalgię. A ja chciałbym też zobaczyć.

„Pomyśl sobie, już w samym słowie — wyspa, jest jakaś pociągająca magia. Wyspa, to garbaty grzbiet, który się kiedyś kapryśnie wynurzył z wody i samotnie wygrzewa się na słońcu, oderwany od reszty lądów, samotny i spokojny, otoczony zewsząd tylko falą, bezmiarem wód, nieba i prymitywnej ciszy. Tak sobie czasem myślę i dlatego mnie tam ciągnie. A to przecież tylko jeszcze jedna głupia złuda.

„Na wyspie są pewnie strategiczne bazy, a ryby w zatoce, kto wie, może radioaktywne. Na wyspie są ludzie, ich sprawy, giełdy, interesy, są domy eksportowe i business-

mani w typie ojca Lydii chociażby. Jest tam zapewne jakiś reżym, ci, którzy go podtrzymują, i inni, którzy go pragną obalić. Może na tej wyspie odnajdą któregoś dnia złoża uranium i wtedy...

„A wiesz, mimo wszystko lubię z Lydią ciągle mówić o naszej podróży. Tylko kiedy na nią zarobimy? Na razie trzeba się uczyć. Egzamin na karku. Ale to nic, damy sobie razem ze wszystkim radę.

„Przyslij mi zdjęcie Patricka. Jego przecież wcale nie znam. Uściskaj wszystkich. Nie miej do mnie żalu, że nie przyjadę. Tomasz”.

Nie, skądże, nie ma wcale żalu. Tylko tak czegoś smutno. Pochyla się nad łóżeczkiem i budzi nie wiadomo dlaczego Patricka.

— Chodź, może już godzina kleiku — mówi mu łagodnie.

Ale Patrick chce dalej spać. Nie potrzebuje w tej chwili matki. Więc stanęła przy otwartym oknie i składając wolno list patrzyła zamyślona na szare balustrady galerii.

— Tomasz i Lydia! — Cóż u licha, mówi sama do siebie? A przecież te dwa imiona powiedziała przed chwilą na głos. Chciała usłyszeć jak brzmią, jak się z sobą kojarzą. Lydia i Tomasz.

Będzie im chyba dobrze razem. Nawet, gdyby im się nigdy nie udało pojechać na tę wyspę?

Wolno wróciła do kuchni. Ale już jej się nie chciało ubijać jaj. Usiadła na stołku i czekała. Może przybiegnie Sylwia czy Ivette, a może choćby Mark.

Ale właśnie nikogo w tej chwili nie było.

Dziewczynki znajdowały się na placu merostwa, przed wystawą cukierni. Udało im się wyprosić od niej sto franków i miały teraz ochotę kupić sobie okrągłutkie, małe kurczątka z żółtej waty. Ale te zdaje się nie były na sprzedaż. Dekorowano nimi co roku wielkanocną wystawę, na której umiejętnie, prawie z artyzmem rozmieszczano wspinałe torty. Ivette niecierpliwiła się i popychała Sylwię w stronę sklepowych drzwi.

— Wejdz, nie bądź głupia! Powiedz, że chcemy kupić tylko dwa kurczątki!

Była gotowa swój szaleńczy wydatek posunąć nawet do stu franków. Ale Sylwia lękliwa i niezdecydowana ociągała się. Więc się pokłóciły.

— Fajtlapa z ciebie!

— Wejdz sama kiedyś taka mądra!

I rozbiegły się. Teraz każda wracała inną drogą do domu, rozmyślając dlaczego nawet mając pieniądze w kieszeni, nie zawsze można kupić to, co się chce.

A Mark po drodze spotkał Ivette i spytał:

— Co? Masz sto franków? Pożycz mi na papierosy! Zabrakło mi drobnych.

Ale Ivette nie dała się oszukać.

— Powiedz lepiej, żeś się już „wyszeptał” z pieniądze.

— Daj, nie sprzeczasz się, zwrócę ci w domu.

— A ile mi oddasz?

— Lichwiarka z ciebie! Nie potrzebuję twoich stu franków. Obejdę się.

— Masz!

— Nie chcę!

— No to ci sama kupię. Co chcesz? „Gauloises”?

Mark udobruchany zatrzymał się. Po chwili wszedł do tytoniowego sklepu, kupił paczkę papierosów i miętowy lizak dla Patricka.

— A dla nas to nic? — powiedziała z wyrzutem Ivette.

Ale właśnie nadbiegła Sylwia i sprawa została z miejsca rozstrzygnięta.

— Nie wolno dawać Patrickowi cukierków. Mama nie pozwala. W dodatku z miętą! Udławi się.

Mark oddał go dziewczynkom. Więc zaczęły się sprzeczać na ulicy, która pierwsza zacznie lizać. Bo jakże inaczej podzielić sprawiedliwie płaski, owalny cukierek na patyku?

Mark w międzyczasie kogoś spotkał i zagadał się. A ona tak bardzo w tej chwili chciała, by się wreszcie

ktos z nich zjawił. Niechby przyszedli wszyscy na raz, niechby narobili w kuchni rozgardiaszu, hałasowali, przekrzykiwali jeden drugiego, mówili wszyscy na raz. Niechby nawet zbudzili Patricka. Ten by też zaczął krzyczeć, domagać się jej obecności, zabiegów.

A tu nic. Cicho. Nawet na galerii nikogo w tej chwili nie było. Wyciągnęła znów z kieszeni fartucha list Tomaszka. Ale szelest rozkładanego papieru jakimś niepokojącym szmerem wkładał się do wnętrza i zdawało się, że to nie papier, ale serce tak bezrozumnie szeleści, szeleści...

Naraz przez wpółotwarte drzwi doleciało bicie rozhuśtanego na wieży kościelnej dzwonu. Metaliczne, kilkutonowe dźwięki ulatywały miarowo i opadały jeden za drugim radośnie dygocząc. Rozwibrowało się od nich powietrze tuż ponad galerią, nad dachami, przed drzwiami. Aż dźwięk ten, wypełniwszy do syta całą dolinę, milknął gdzieś dopiero u podnóża grani.

Rezurekcja! W kraju też chyba w tej chwili biją dzwony. I w kraju, w tym wiosennym okresie, są puszyste mięciutki bazy, które tak przyjemnie przytulić do policzka — „kotki”.

A gdy w dniu Wielkanocy nakrywa się stół, brzeg białego obrusu obszywa się długimi splotami zielonego widłaku. Przynajmniej tak było u babki w Wilnie, do której często zjeżdżano się na Wielkanoc. I co jeszcze było?... Aha, mazurki. Ileż to przepisów babka na nie znała! Ten „królewski” był, mimo swej pretensjonalnej nazwy, najpospolitszy. Jadło się go trochę pierwszego dnia, ot tak przez łakomstwo, ale potem już nikt się nim nie zajmował. Bo gdy się tylko spróbowało innych!...

Ten „migdałowy” był najlepszy i rozpywał się po prostu w ustach. A „czekoladowy”, „przekładany”, „turecki” a ten „piaskowy”? Czyż nie był doskonały? Babka chyba podstępnie tak go nazywała, by zniechęcić do niego dzieci i zachować go raczej dla gości. Nie, po cóż ją posądzać o taką perfidię. Była taka poczciwa.

Czegóż to nie robiła, by niczego nie brakło na stole, który przez trzy dni (bo Wielkanoc trwała trzy dni w

Wilnie) stał po środku ogromnej jadalni, ustawicznie przygotowany do posiłku.

Mięso, pieczywo, flaszki doskonałych win, a wśród likierów owa bezkonkurencyjna litewska „żubrówka” w pękatej butli. No i oczywiście chrzan na małych półmiskach, od którego wierciło niemożliwie w nosie, a po który mimo to wciąż się uparcie sięgało.

I było tu jak u Rzepichy. Przez trzy dni jadło się, częstowało, nieustannie ktoś po coś sięgał, czymś się delektował, podsuwano sobie na wzajem półmiski, a przecież zdawało się, że nic z tego stołu nie ubywało. Może dlatego, że to było „święcone”. Bo w pierwszy dzień Wielkanocy przyszedł rano wikary w białej komży i potrząsając nad stołem kropidłem wszystko pobłogosławił. I wtedy babka pokroiła drobno obrane ze skorupki jajko i z namaszczeniem się nim dzielono. Ciekawe czy ta tradycja w kraju przetrwała?

A Post? Jakże babka ich wygłodzała przez ten cały Wielki Tydzień! Tego nie wolno, tamtego nie wolno... post, moje dzieci, Wielki Post. Na obiad co dnia kartofle „w mundurkach” i wędzony pikling. A w Wielki Piątek trzeba było z nią odwiedzać groby. Kto nie był w Wilnie pojęcia nie ma ile w tym mieście kościołów. A to można sobie było właśnie uświadomić w ów Piątek. Babka tego dnia bowiem odwiedzała wszystkie.

— Chodźcie dzieci, zaczniemy od Bernardynów.

Bo to było najbliżej. Mieszkała tuż koło mostu nad Wilejka i uważała, że pierwszeństwo w tych wizytach należy się parafii.

Było to pasjonujące. Wchodziło się do kościoła prosto z rozświetlonej, jasnej ulicy. I naraz ciemno, czarno, chłodnawo. Oczywiście szukało się od razu grobu.

Sztuczna grotka, drzewka, kamienie, zapach kadzidła, a może olejków, którymi myje się, balsamuje zmarłych. Ogromny krzyż na podłużnej, fioletowym jedwabiem pokrytej, skrzyni. A na krzyżu okrutnie rozpięte ciało o członkach przeбитych czarnymi gwoździami.

Babka schylała się milcząco, całując obie ręce i stopy. Gdy dotykało się ich ustami, czuło się na wargach zimno i gorzki smak farby. Robiło to dziwne wrażenie.

Babka mówiła półszepem:

— Idziemy dalej, chodźcie.

Hanka pamięta, że największą dla niej atrakcją była warta przy grobie. Trzymali ją żołnierze i skauci. Straż ta była ustawiona symetrycznie po obu stronach grobu, twarzą do siebie. Tu żołnierz, tam żołnierz, tu skaut, tam skaut. Stali nieruchomo, milcząco, jakby tu skamienieli dwa tysiące lat temu.

Hanka zatrzymywała się przed nimi tak, by musieli ją dostrzec i patrzyła — to na skauta, to na żołnierza, na tego z prawej strony, na tego z lewej. Mrugnie czy nie mrugnie?... Poruszy się czy nie?... A może wreszcie któryś przełknie ślinę, ugnie w kolanie nogę, a może uda jej się czymś rozśmieszyć skauta? Co by to było, gdyby nagle parsknął śmiechem? Ale ani drgnął.

I Hanka odchodziła pełna podziwu dla straży, której niczym nie da się rozbawić.

Babka nagliła. Po drodze wciąż liczyła:

— Ileż to już grobów zwiedziłyśmy? Dwanaście?

Irena, która nie lubiła tego łażenia po kościołach, próbowała zawsze kręcić:

— Piętnaście babciu, piętnaście.

Ale babka, dzięki Bogu, nie miała jeszcze sklerozy, pamięć jej dopisywała znakomicie, groby liczyła skrupulatnie i wiadomo było, że ta pobożna wędrowniczka skończy się dopiero o zmroku.

Wieczorem na kolację będzie wędzony pikling i babka powie, rozdzielając dymiące kartofle:

— Gdzie jak gdzie, ale u Misjonarzy grób był najładniejszy. I przypominała sobie zaraz wszystkie inne: ten u św. Anny i ten u św. Piotra i u Bernardynów...

— A w katedrze, tak jak w zeszłym roku. Mogliby coś zmienić.

— Grób to jest grób — konstatowała filozoficznie Irena, którą Wielki Post pozbawiał humoru. Ale babka upierała się.

— Jak to, nie zauważyłaś? Nawet bukszpany były zeschnięte.

— W Palestynie w ogóle bukszpanów nie było.

— A co?

— Kaktusy.

Babka irytowała się impertynenckim tonem Ireny.

— A tu, żebyś wiedziała, Wilno! Nie Jerozolima. Zresztą kaktusy są brzydkie.

Biedna babka. Jeszcze na długo przed wojną sparaliżowało ją i trzeba się nią było zajmować jak małym dzieckiem. Zabrano więc ją do Lwowa. Ale tu nie mogła przywyknąć. Choć przecież chorej, które spędza nieruchomości dzień za dniem w łóżku, powinno być wszystko jedno gdzie jest. Byle by to było u swoich. Ale babka uparcie, jak dziecko, wciąż powtarzała: a w Wilnie to, a w Wilnie tamto. Gdy wybuchła wojna, unosiła często głowę znad poduszki, prosząc: — uciekajmy do Wilna.

W czasie bombardowań znoszono ją nieustannie do piwnicy, windowano na górę do mieszkania i znowu w pośpiechu transportowano do schronu. A że starano się zawsze jak najbardziej uchronić ją od huku eksplozji, wsuwano jej nosze w najgłębszą część ciemnej piwnicy, tuż pod niskim, bardzo grubym sklepieniem. I ta właśnie część schronu zawaliła się zupełnie w gruzy. Matka Hanki odeszła tylko na chwilę po wodę, by dać babce walerianę. I wtedy właśnie oberwała się z hukiem ogromna połać sklepienia.

Gdy w długi czas potem wydostano spod gruzów jej zmaltretowane zwłoki, pochowano ją na Łyczakowskim cmentarzu. A mówiła przecież zawsze: „pamiętajcie, chcę mieć mój grób na Rossie, w Wilnie”.

Ale dlaczego Hance dziś się to wszystko przypomniało? Aha, prawda, dzwoniło na rezurekcję, przyszły jej na myśl bazie, widłak, mazurki...

Aż tu nagle Sylwia nadbiegła z galerii i otwierając na oścież kuchenne drzwi, zawołała:

— No co, zrobiłaś tę lukrowaną babę?

— Ah, prawda — zerwała się ze stolka.

— Obiecałaś, że ją upieczesz, no i co? — pytała z odcieniem lekkiego wyrzutu.

— Muszę utrzeć żółtka. A gdzie Ivette?

Usiadła i przytrzymując na kolanach dużą glinianą miskę, zaczęła w niej ucierać żółtą masę, która z minuty na minutę stawała się coraz jaśniejsza, coraz gęstsza, apetyczniejsza. Kolistym ruchem drewnianej łyżki zgarniała ją z brzegów i tarła dalej energicznie, zawzięcie, aż jej gorąco było w dłonie.

Nadbiegła Ivette. I teraz na przemian z Sylwią usiłowaty od czasu do czasu wetknąć palec do miski, jedna drugiej wyrzucając:

— Myślisz, że to ładnie tak lizać?

— Łakomczuch!

— Nie wstyd ci?

Aż wreszcie musiała się od nich odpędzać. Zresztą do żółtek trzeba było teraz wsypać mąkę i od tej chwili miska już ich nie kusiła. Ale gdy miała wlać do ciasta rum, zauważyła, że i Mark już był w kuchni. Na niego też musiała krzyknąć:

— Zostaw flaszkę, słyszysz?

— Szkoda tyle rumu do babki — usiłowal perswadować. Ale oddał butelkę, pociągnawszy z niej zaledwie „jeden łyk”.

— Słyszałaś dzwon? Że też Patrick nawet się nie zbudził. Mark już był przy małym.

— Wiedziałem, że otworzy oczy! — wołał z triumfem. Twierdził, że syn „instynktownie” wyczuwał jego obecność. Nie zbudził go rezurekcyjny dzwon, a teraz od razu ocknął się ze snu. Widzicie!

— I Mark już wynosił go na galerię, mówiąc:

— Zanim ci mama zmieni pieluszki, pokażę ci żółtwa. Widzisz, tam w dole, w ogrodzie Madame de Vallon.

Głuptasie, gdzie ty patrzysz? Spójrz tam, w trawie, tuż koło ścieżki.

Patrick coś mamrotał.

— A co, od razu rozpoznał żółwia! — wołał Mark w stronę kuchni.

Usiadł na skrzyni i ujmując w swą szeroką dłoń dwie małe piątki mówił:

— Gdy będziesz duży, zawiozę cię do Paryża i pokażę Zoo. Żyrafy, słonie, hipopotamy...

— Gdy Patrick będzie duży — podchwyciła — obejdzie się w Paryżu bez ciebie.

— A, nie! — zaoponował żywo. I zwracając się bezpośrednio do syna, usiłował go przekonać: — A któż ci da forszę mały łajdaku! Papa. No widzisz, nie dasz sobie beze mnie rady.

Sylwia słysząc, że mowa o Paryżu, spytała:

— A Tomasz? Chyba przyjedzie wieczornym pociągiem. Pójdziemy na dworzec, prawda?

Nie odwracając się od kuchennego stołu, odrzekła krótko:

— Nie.

— Jak to? Nie będziemy go czekać na peronie? Chcę zobaczyć jak wysiądzie z pociągu.

— Tomasz zostaje w Paryżu. Nie przyjedzie.

— A co nie mówiłam — wtrąciła Ivette — byłam pewna, że go nie będzie.

Sylwia desperacko rozłożyła dłonie.

— Był tu, pojechał i już go nie ma.

— Szkoda.

— Chyba już nie wróci.

Zdawało się, że mówią o umarłym. Nie odzywała się. Może Mark dostrzegł lekki ruch jej ramion, jakby się usiłowała powstrzymać od szlochu. Może chciał, by wreszcie uniosła znad stołu głowę, odwróciła się do nich, zajęła się małym, bo powiedział ze swym bez troskim humorem, który tak łatwo rozpraszał zawsze wszelki domowy tragizm:

— Bah, czyż nie lepiej, że się chłopak trochę rozrusza w Paryżu? Młody jeszcze. Cóż ma tu robić na tej galerii?

Tu pospiesznie wepchnął jej w ramiona niespokojnie rozwierzganego Patrick'a.

— Zsiusiał się! A to drań! Mam zupełnie zmoczony rękaw. — Ale zdejmując szybko kurtkę był dumny, że jego syna stać na takie nieoczekiwane dowcipy.



Wiosna nie tylko przynosiła z sobą zieleni, słońce i ciepło. Z wiosną nieodmiennie każdego roku, przychodziły Markowi do głowy nowe, zawrotne projekty. Zresztą, cóż w tym dziwnego. Każdy niemal człowiek w tym okresie odczuwa w sobie jakby nadmiar życiowych sił. Konstatuje napływ świeżej, zdawałoby się niewyczerpanej, energii i budzi się w nim nagła zuchwałość do wszelkich poczynań.

Nie jest wcale banałem powiedzenie, że wiosna ożywia ciepłą nadzieją czegoś lepszego, jakiejś zmiany, która o czymś zadecyduje, coś zmieni. I mimo woli myśli się, że zacznie się seria jakichś pomyślniejszych, lżejszych dni. Może los złagodzony słońcem wykaże lepszy humor wobec człowieka?

Mark pełen dobrej woli, pomysłów i zapału pogwizdywał sobie, zbiegając po schodach z przewieszoną przez ramię koszulą. Miał obecnie pracę bardzo ciężką. Zatrudniono go przy zrównywaniu terenu dokoła nowozbudowanej willi. Nie byłoby to trudne, gdyby nie fakt, że przed założeniem fundamentów tego domu, trzeba było wyrównać pochyłości terenu. Zwieziono więc tu ciężarówkami kilka ton gruzu, a te wcisnął w ziemię i ubił ogromny, sprowadzony w tym celu buldozer.

Teraz, gdy willa była już zamieszкана, właściciel jej skonstatował że pusty, twardo dokoła domu ubity teren, nadawał willi smutny charakter. A chciał ją właśnie na-

zwać „Clos fleuri”. Zdecydował się więc zasiać trawnik, zasadzić dekoracyjne drzewa, chciał mieć pod oknami orgię kolorowych kwiatów.

Ale jakże tu planować ogród na tym kamienistym terenie? Zawezwał więc Marka. Wiedział że będzie go to kosztowało dużo mniej, niż gdyby powierzył robotę zawodowemu ogrodnikowi. Zresztą, któż by chciał się podjąć takiej syzyfowej pracy. Mark zgodził się.

I teraz, przez cały dzień, na przemian to motyką, to rękami wrywał z ziemi kamienie i zwoził je taczką na wielki stos poza ogrodzeniem. Czasem przystawał, wyprostowywał obolałe plecy i otarłszy brudnymi rękami pot z twarzy, skręcał papierosa. Czasem popijał wino rozcieńczone wodą i znów chwytał łopatę zapalczywy, niestrudzony, nerwowy, jak zwykle przy każdej robocie. Nawet gdyby chciał, nie umiał zwolnić rytmu pracy. Bez przerwy zmuszał swe mięśnie do maksymalnego wysiłku i pośpiechu. Widocznie był to nawyk z Niemiec, kiedy za plecami miało się majstra z chronometrem i jego nieustanne nawoływanie: *schnell schnell!*

Gdy wieczorem po zachodzie słońca, Mark wracał do domu był dosłownie u kresu sił. Już nie pogwizdywał, nie dowcipkował, tylko siadał ciężko na skrzyni przy drzwiach, zrzucał z nóg buty oblepione ziemią i zmiętą koszulą ocierał lepką od potu szyję.

— Monsieur Lacrampe, wygląda pan jak upiór! — zauważała Madame Borne, przechodząc galerią z nocnikiem. I nie krępując się, jakby to była zwykła waza czy kubeł, siadała obok Marka na pace, stawiając u swych nóg nocnik.

— Mój też tak harował. I co z tego? — mówiła z napływem nagłej chandry. — Ostrzegałam go: „Paul, uważaj, wymiguj się od roboty jak możesz!”. Czegóż się spieszył wdrapywać się na ten słup? Nie mógł to kto inny?

Wstała, wzięła swój biały fajansowy nocnik i melancholijnie, na odchodnym, dodała:

— *Ce brave Paul!* Gdyby wiedział jak teraz muszę przy tym praniu całymi dniami harować...

— *Ce brave Paul!* — przedrzeźniała po jej odejściu Madame Duval. — Kiedy żył, był tylko nedorajdą, fajtlapą, głupkiem. Po cóż teraz te komedie? — tu ściszyła głos. — Ten kolejarz z kasy dworcowej chce się z nią żenić. Podobno wcale dobrze sytuowany gość. Inteligent. Mówię pani, tylko kurwy mają szczęście! A ja... — ciągnęła z goryczą.

— Eh, skądże! — usiłował łagodzić Mark. — Zresztą Madame Borne, to przecież wcale porządna kobieta.

— Cooo?! — wykrzyknęła, łapiąc się rękami za piersi.

Mark zwinął koszulę, wziął buty i umknął do kuchni.

— Ah, te babsztyle na galerii!

A właśnie spieszyło mu się, by oznajmić w domu nieoczekiwaną nowinę. Nie, nie będzie się już przy tym gruzie trudził. Jeszcze kilka dni i rzuci tę pracę.

— Mój Boże! — wyrwało się jej mimo woli.

— Czemu się zaraz niepokoisz. Jeśli mówię, że puszcze kantem ten ogród, to znaczy, że mam przed sobą wspaniałą perspektywę. — Aha. Wiosna, słońce, projekty... życie będzie bajką.

Uczyniła widocznie ręką jakiś niecierpliwy gest, albo może w oczach jej Mark dostrzegł odcień strapienia, bo nagle się zdenerwował.

— A więc chcesz, bym jak ten *bagnard* dzień w dzień wyrwał z ziemi kamienie? Mam się może do reszty zharować i wyciągnąć kopyta! Bo tak ci się podoba. Bo Madame Lacrampe czeka na sobotnią wypłatę.

— Mark!

Ale kiedy unosił się, sam nie słyszał co mówił. Gotów jej był wyrzucać Bóg wie co. Przynosiło mu to ulgę. Toteż dodał jeszcze złośliwie:

— A potem, jak Madame Borne, będziesz mówiła na galerii: *ce pauvre Marc, oh, ce brave Marc!*... przedrzeźniała cieniutkim głosikiem. — I poślubisz z kolei „inteligenta”.

— Daj spokój. Kolacja już gotowa. Chodź!

Z doświadczenia wiedziała, że zmęczenie, zdenerwo-

wanie, złość, mijają Markowi przy dobrym posiłku podłanym szklanką wina.

Istotnie, już przy świeżutkiej, zielonej sałacie, starannie zaprawionej oliwą, zaczął zupełnie innym, spokojnym tonem:

— Bo właśnie spotkałem *monsieur Pelletier*. Wiesz, ten co to był chory na płuca. Przypominasz go sobie?

Jakże by nie. *Ancien combattant* — ten, który to wszystkim ustawicznie przypominał: *le jour où nous avons débarqué en Normandie...* Bo tego dnia, on, *monsieur Pelletier*, niechże o tym nikt nie zapomina, zdecydował wraz z innymi o losie Francji. I gdyby nie ów dzień, a raczej nie on, cóż by się z tym nieszczęsnym krajem stało? A potem, *monsieur Pelletier*, „*ancien combattant*”, wypłuł z krwią prawie połowę płuc i cztery lata w sanatorium przeleżał.

Ktoś raz mu brutalnie przerwał, mówiąc:

— Nie wygłupiaj się pan! Siostra pana opowiadała, że wrócił pan z bronchitem z wyścigów motocyklowych w Pau. *Et voilà*.

I wtedy to *Mr. Pelletier* pożółkł z oburzenia wyskandował wolno i głośno, aż wszyscy w *bistrot* mimo woli z zadowieniem zwrócili ku niemu głowy:

— Gdzie się nie ruszyć, wszędzie swołocz!

— Ten chuderlak ma zdaje się dziś ochotę oberwać — powiedział ktoś od strony baru.

Monsieur Pelletier opuścił kawiarnię trzasnąwszy drzwiami z takim impetem, że aż szyby w oknach zabrzęczały. I na skutek takich to starć kształtowały się jego poglądy polityczne. Sprowadzało się to w praktyce do przekonania, że hołota to robotnicy, a robotnicy to komuniści i że należy unikać wszelkiej z nimi styczności.

To on właśnie zatrzymał Marka? Cóż mu przyszło nagle do głowy!

— Mówi, że mnie potrzebuje — wyjaśniał Mark. — To bardzo uprzejmy typ.

— Raczej spryciarz — zauważyła.

— Może tak, ale uczciwy.

Sceptycznie pokiwała głową.

— Zebyś słyszała, jak się gładko wyraża. I taki grzeczny. Podał mi pierwszy rękę i powiedział: a właśnie pana szukałem.

Oho, nie dobrze. Marka wszyscy nazywali po imieniu. Jeśli ktoś się do niego nagle zwracał, mówiąc „pan”, należało raczej nieufnie nadstawić uszu.

— Tak, właśnie powiedział mi: *monsieur*.

Cel więc był osiągnięty. Ujął tym sobie Marka.

— No i cóż dalej? — pytała, usiłując zachować spokój.

Okazało się, że Mr. Pelletier miał pewien projekt. Doskonały projekt.

— On ma rodzinę i zdaje się czworo dzieci — ciągnął Mark. — Wszystkie w pensjonatach, studiują, a najstarszy chłopak jest nawet w seminarium duchownym. Bardzo inteligentne dzieci. Jak ojciec.

— No i co? — nagliła niecierpliwie.

— *Monsieur Pelletier* jako *ancien combattant*...

— Wiem, wiem, wylądował w Normandii, bił się, dostał bronchitu, gruźlicy i teraz ma rentę. I to wcale pokaźną.

— Właśnie, że nie — zaprzeczył Mark. — Uskarżał mi się, że rząd wcale nie kwapi się z wynagrodzeniem zasług takich ludzi jak on. Z tej renty podobno ledwo może wyżyć.

— Bujda.

— On przecież wie co mówi!

— Tacy jak on ustawicznie się skarżą. Niby to niezdolny do pracy, schorowany, a cichaczem doskonale sobie zarabia. I bądź pewny, że mu to wcale zdrowia nie rujnuje.

Ale jakże obalić w Marku ten bałwochwalczy respekt, jaki budził w nim *monsieur Pelletier* w filcowym kapeluszu.

— Mnie tam wszystko jedno — orzekł, wzruszając niezdecydowanie ramionami. — Zresztą nie o to chodzi. Mr. Pelletier kupił właśnie ciężarowe auto.

— Z tej mizernej renty?

— Czy ja wiem? Kupił auto i już. Zarejestrował je podobno na nazwisko swego szwagra. No i będzie tym autem transportować meble przy przeprowadzkach.

— Kto? On?

— Nie, ja. Bo właśnie potrzeba mu kogoś, kto...

Jakże to było jasne. *Monsieur Pelletier* miał pieniądze, czas i spryt do interesów. Brakowało mu tylko robotnika, który by na niego harował. Bo on sam nie mógł pracować — odebrano by mu rentę. Gdzież znaleźć naiwniaka, który dałby się w ten interes wciągnąć? Mark. Czemuż by nie? Zręczny, żywy, niestrudzony, w pracy podobno — zdaniem wielu — wystarczał za dwóch. „*Bonjour monsieur*, właśnie pana szukałem”... A mówiąc to, w duchu zapewne sobie myślał: będę na niego uważał, żeby mnie nie oszukiwał. Z tymi „komunistami” to nigdy nie można być pewnym.

— Cóż ci on za to będzie płacił?

— Czy ja wiem. Chyba według taryfy.

— Powiedział ci to?

— Nie, ale tak sędzę. Zresztą wiem, że mnie nie wykiwa. Uczciwy gość. Wystarczy tylko słuchać jak się płynnie i zwięźle wyraża.

— Aha.

— Tylko jednym szczegółem mnie zaskoczył. Ale to nie ważne. Zaznaczył, że nie może mnie zgłosić do Ubezpieczalni Społecznej. To mu nie na rękę. Bo nie może występować jako legalny pracodawca.

— Mark, czyż nie zdajesz sobie sprawy, że to najważniejsze? Jak możesz się na to zgodzić?!

— Co tam, nie trap się! Zapewnił mnie, że nic na tym nie stracę, bo obiecał, że zarobię dużo więcej niż przy tym taskaniu kamieni.

Mark wypił kawę, a zresztą nie miał już ochoty do dalszej dyskusji. Poszedł do kuchni, długo mył się rozchlapując po całej podłodze wodę, wytarł się, włożył spodnie pyjamy i runął z ulgą na tapczan, zapalając papierosa. Po chwili już spał. Od strony tapczana doleciał lekki śwąd. To wypuszczony z ręki niedopałek tlił się podstępnie w fałdach koca, wypaliwszy już okrągłą dziurę.

I tak Mark został niezgłoszonym szoferem, niezapisanego pracodawcy. Trasę do przejechania miał nieraz daleką, ale podobało mu się to. Lubił siedzieć przy kierownicy „swojej 203” i walić drogą na zbity łeb, przeganiając wszystkie inne auta. Szaleńczo upijała go szybkość.

Nieraz musiał zawozić do odległych ferm w górach jakieś maszyny czy meble i wtedy to, w powrotnej drodze, odczuwał niesamowitą rozkosz, jaką mu dawały kręte, czasem bardzo pochyłe zjazdy. Gdyby go w tych momentach zobaczył *monsieur Pelletier* włosy z przerażenia uniosłyby mu na głowie jego nienaganny kapelusz. Ale na szczęście „pracodawca” siedział spokojnie w domu i był przekonany, że jego „203-Peugot” jest w zupełnie pewnych rękach.

Już w pierwszym tygodniu przyznał sam przed sobą, że z Marka jest raczej zadowolony. *Monsieur Pelletier* miał okazję przyjrzeć mu się w czasie jednej z przeprowadzek wśród pobliskich willi. Nie dlatego żeby w niej uczestniczył, lub jawnie jej się przyglądał. O nie, *monsieur Pelletier* schował się za szerokie platany alei i z daleka śledził „akcję”. Zauważył, że Mark wraz z młodym pracownikiem dobrze sobie dawał radę ze znoszeniem ogromnego biurka i szaf, załadowywał je na auto zręcznie i prędko, i nawet na chwilę nie zatrzymał się dla zapalenia papierosa. Może tylko przy odjeździe zbyt brutalnie skrzył autem w aleję. *Monsieur Pelletier* chciał mu w związku z tym zwrócić uwagę, ale nie mógł się przyznać, że go podglądał. A przecież robotnika trzeba mieć nieustannie na oku. Ale tak, by ten się nie spostrzegł!

Z końcem tygodnia okazało się, że pracodawca nie może Markowi zapłacić za jego robocze dni. Spytał, czy mógłby z tym czekać do końca miesiąca. Zresztą dla uproszczenia rachunków wołałby mu płacić nie co soboty, ale raz na miesiąc. Więc Mark czekał. *Monsieur Pelletier* tak mu to przecież wszystko „inteligentnie wyjaśnił”...

I wciąż nie wiadomo było według jakiej taryfy ma mu zamiar płacić. A tu od kilku dni Mark zaczynał wieczorem skarżyć się na jakieś nieokreślone bóle w okolicach

żołądka. I nawet, co mu się nigdy nie zdarzało, długo palcami naciskał obolałe miejsce i widocznie go to zaniepokoiło, bo spytał:

— Jak myślisz, dlaczego mam tu jakby zgrubiały wałek pod skórą. Czuję pod palcami, że jest twardy. Czyżby to mięśnie?

— Przepuklina — orzekła bez wahania.

— Aaa...

Ale już sam fakt, że dolegliwość tę na pierwszy rzut oka rozpoznała i nazwała ją — uspokoił go. Spytał tylko jeszcze przez ciekawość:

— A od czego mi się to zrobiło?

— Od noszenia ciężarów.

I na tym poprzestał. Bo nigdy się nad sobą nie rozczulał, nigdy się nie leczył. Uważał, że każdy ból, tak jak każde zło, przychodzi sam i sam mija. Trzeba tylko mieć cierpliwość, by przeczekać i jak najmniej o tym mówić. Toteż nie zajmował się swą przepukliną, Bagatela.

I tylko czasem gdy pracując unosił z ziemi jakąś ciężką masywną komodę, głośnym „eeh... hooop!” zachęcając swego pomocnika, naraz miał ochotę opuścić mebel na ziemię i złapać się za brzuch. Ale gdy się już z kolegą uniosło w górę ciężar, to trzeba go utrzymać w ramionach *coûte que coûte!*

Przeprowadzka po przewodźce, transport po transportie i to niemal w obrębie departamentu, bo Mr. Pelletier dobrze od razu swój interes zorganizował i dostawał ciągle zlecenia.

Któregoś dnia to się urwało? Mniejsza z tym. Stało się to może w środę, albo w piątek... Był to jeden z tych ślicznych majowych dni. Pachniało dokoła zielenią, pachniało chyba niebem i słońcem i zdawało się, że nawet pszczoły, ulatując z żółtych mleczków, unosiły z sobą swoisty, miodny zapach.

Wyszła na galerię i beczynn timer oparła się o balustradę. Spokojnie wygrzewały się w słońcu potężne grzbiety gór. Skaliste szczyty tu i tam wystające pionowo, miały dziś błękitnawy, pastelowy odcień.

Jaskrawy, leciutki motyl osiadł na poręczy, chwilę dygotał cieniutkimi płatkami skrzydeł, uniósł się w powietrze i kolorową plamą przylgnął do framugi drzwi. Ogromne oczy Patricka zamarły z podziwu. Namyslił się i wyciągnąwszy rączkę, usiłował z odległości uchwycić kolorowe чудо. Ale motyl niefrasobliwie uniósł skrzydła, chwilę się w powietrzu zawahał i kolistym zlotem zanurzył się w zieleń kwitnących biało jaśminów.

— A co, nie udało ci się go chwycić? — spytała żartobliwie.

Ale Patrick już zapomniał. Tyle miał tu zajęć. Poraczkował. Opalone, bose nóżki podwijają się zrećnie, niebieski tyłeczek rytmicznie podskakuje do góry, a dłonie szybko uderzają o deski galerii: plask... plask... I już jest koło miotły. A zza niej leniwie, sennie unosi głowę szary kot. Wróg czy przyjaciel?...

Ostrożnie rączka zanurza się w miękką sierść, paluszki w niej przebierają, zrazu wolno, nieufnie, potem coraz śmielej, aż naraz szybko, targnąwszy za skudłacony grzbiet, rączka przezornie się cofa. „Pasza” nawet się nie ruszył. A więc przyjaciel.

Patrick chyli ku niemu głowę i przygląda się uważnie długim, sztywnym wąsikom rozróżnionego kota.

W tym to momencie przynieśli Marka. Nie zauważyła nawet kto. Jacyś ludzie. Niezdecydowanie zatrzymali się z nim na galerii. Mark uniósł z trudem głowę i powiedział:

— Niosą mnie, bo nie mogę iść.

Jakby mu tego było wstyd. I bezradnym gestem wskazał nogę. Ale ona od razu ją zauważyła. Ta długa, obandażowana biała noga wydała jej się ogromna. Uchyliła się w milczeniu od drzwi; wnieśli go do pokoju, układając na tapczanie. Jęknął.

Stali jeszcze chwilę przed nim. Było ich dwóch. Ten starszy trochę zasapał się. Wyjął z kieszeni dużą chustkę, odrzucił na tył głowy baskijski beret i ocierając z czoła pot i powiedział:

— Gorąco.

Drugi był jeszcze zupełnym młokosem o miłej twarzy, na której nawet i w tej chwili znać było nieustanną wesołość. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, wysunął z niej jeden i podał Markowi.

— Zapal bracie, od razu ci się lepiej zrobi.

Mark niechętnie uchylił głowę.

— Oho, nawet nie chce zapalić. Daj mu pani trochę wina.

A przez bandaże ogromnymi plamami przesiąkała świeża krew.

— Jeszcze mu ciągle noga farbuje — skonstatował ten starszy. — „Toubib” powiedział, że będzie z tym babszarynina co najmniej na miesiąc. Mogłoby być gorzej. Gdyby mu to ogromne lustro spadło kantem na głowę to kaput, już by było po nim, wieczne odpoczywanie — amen.

Uznawszy to za solidną pociechę, poklepał ją po ramieniu, kiwnął na towarzysza i wyszedł. Ten ostatni, odwróciwszy się od drzwi, doradził:

— Daj mu pani coś zjeść. Słabo mu.

Ale Mark nie chciał nawet pić. Nie chciał otworzyć oczu, ani mówić. I co tu teraz robić. Który to doktor opatrzył mu nogę? Czy go zawezwać? Dlaczegoż nie zatrzymała tych dwu mężczyzn, by się o wszystko dokładnie zapytać? Nawet im nie podziękowała, nie podała ręki. A Mr. Pelletier — czy wiedział już o wypadku?

— Mój Boże, Mark, Mark, boli cię?

Na galerii z hałasem upadła miotła. Spłoszony kot czmychnął, a Patrick przerażony zmykał przed próg. Na widok matki rozbeczał się. Chciał, by go wzięła na ręce.

Usiadła z nim razem na tapczanie, ostrożnie przykrywając kocem sztywno wyciągniętą nogę. Mark uniósł wolno powieki, spojrzął na nią uważnie, długo przyglądał się małemu i przechyliwszy głowę na poduszkę, zaczął mówić:

— A to heca z tym... lustrem. Zbiło się... na drobne kawałki. Pelletier... Pelle... wściekły.

Wyglądało jakby bredził.

— Śpij. — Wstała, zamknęła okiennice, by uchronić twarz Marka przed rażącym słońcem.



Monsieur Pelletier pojawił się nazajutrz rano. Był ogromnie zaniepokojony. Nie nogą Marka, ale „konsekwencjami tego nieoczekiwanego wypadku”, jak się wyraził.

Stała właśnie w drzwiach kuchni i nie uczyniła żadnego gestu, by wszedł. Kontynuowali więc rozmowę na galerii. O co właściwie mu chodzi? — myślała. Po raz pierwszy widziała go z bliska. Znała go z widzenia, mijając go na ulicy, ale dopiero teraz miała okazję przyjrzeć mu się dokładniej. Był blady i jego żywe, czarne oczy raziły w tej twarzy dziwnym kontrastem. Równie frapujące wrażenie robiła jego bardzo ciemna broda przystrzyżona w półokrągły *collier*, okalając owal jego twarzy niemiłym, szorstkim zarostem. Nad górną wargą rysowała się głęboka, choć krótka blizna. To zapewne *le jour où nous, les anciens combattants...* Ej, czyżby? Może jeszcze z czasów powszechnej szkoły w jakiejś łobuzerskiej bójce...

Monsieur Pelletier założył w tył ręce, denerwująco unosił się raz po raz na palcach, opadał na gumowe obcasy i w rytm tego kiwania się, mówił:

— Tak, to bardzo kłopotliwa dla mnie historia. Nie przewidziałem wypadku. Mąż pani zaakceptował warunki pracy... prawda? Wiedział, że nie mogę go zgłosić do Ubezpieczalni. Zgodził się na to. Mam na to świadków no i zresztą jego słowo — mówił coraz pewniejszym tonem.

Chwilę patrzyła mu prosto w oczy, usiłując zrozumieć do czego w swych wywodach zmierza. Naraz ołśniło ją! Przecież to było tak jasne: *Monsieur Pelletier* boi się, *monsieur Pelletier* truchleje na myśl, że teraz Mark go obwini. Zadenuncjuje go jako pracodawcę, który zaniedbał formalności i nie ubezpieczył swego robotnika. Nie tylko wykryto by jego transportowy interes, ale zapłaciłby też za Marka poważną karę. Może Mark poprzestanie tylko na pretensjach, by Mr. Pelletier pokrył całkowicie leczenie

jego nogi?... Tak czy inaczej sytuacja była skomplikowana. A jeśli, nie daj Boże, Mark jest w jakimś komunistycznym syndykacie? Koledzy gotowi go podjudzić i hajda na *monsieur Pelletier*! Czegóż innego mógł się spodziewać ze strony robotnika o sharatanej poważnie nodze?

To wszystko wyjaśnił jej wyraz jego nieufnych, niespokojnie rozbieganych oczu. Widać było, że czyhał na reakcję, jaką wywarły na niej jego poprzednie słowa. Ale nie wiele mógł na jej twarzy dostrzec, poza obojętną, prawie rozdartą uwagą, z jaką go słuchała.

Monsieur Pelletier zdecydował się wysunąć też i sprawę lustra.

— Klient mi dał znać, że tylko to lustro z epoki renesansu i jego ramy antykwariusz ocenił bardzo wysoko. Na szczęście są tylko trochę uszkodzone. Ale z samego lustra zostały tylko drobne kawałki. Co za strata! Ale jestem uczciwym człowiekiem i pokryję je całkowicie. Klient zostanie odszkodowany. To notariusz z Lourdes. Wyobraża sobie pani co za pech!

Teraz mu już zdecydowanie urwała:

— Nie interesuje mnie ani lustro, ani pański notariusz. Chcę tylko, by mi pan wreszcie wyjaśnił cel swojej wizyty.

Po raz pierwszy stracił pewność siebie i wodząc koscistą ręką po swym zaroście, chwilę namyślał się. Ale *Mr. Pelletier* nie należał do ludzi, których się łatwo zbija z tropu. Toteż odrzekł uprzejmie:

Przyszedłem się dowiedzieć o zdrowie pani męża.

Równie uprzejmym tonem odrzekła:

— Lekarz mówi, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Noga jest wprawdzie głęboko zraniona w kilku miejscach, ale wygoi się.

— A, ulżyło mi — odparł, uśmiechając się po raz pierwszy. Ten uśmiech był grymasem dwu rozchylnych warg, które ukazywały żółtkłe, szeroko rozstawione zęby. Chciał coś jeszcze dodać, ale ona pochyliła się w stronę *Patricka* i unosząc go na ręce, zajęła się sznurowadłem jego białego butka.

— Ta pani syn? — spytał z udanym rozczuleniem.
— Tak.
— Podobny do ojca.
— Owszem.
— Będzie z niego silny mężczyzna.
— Tak, jak ojciec.
— O co to, to prawda. Podziwiałem go, jak zręcznie unosił meble.

Po chwili dodał niepoprawnie:

— Zrozumieć nie mogę dlaczego upuścił to lustro!
— O wypadek nie trudno w pracy.
— Tak. Tylko to doprawdy niemiła sytuacja dla mnie.

— Mark panu nie sprawi kłopotu. *Au revoir monsieur Pelletier.*

Chwilę stał niezdecydowany przed drzwiami, wreszcie zrozumiał, że nie pozostało mu nic innego jak pójść. Doznał jednak uczucia ulgi.



Mark dziwnie wolno przychodził do zdrowia. Rany goiły się źle i ropiały. Lekarz orzekł, że Mark jest bardzo anemiczny i to już zapewne od dłuższego czasu. Przepuklina była niepokojąco nabrzmiała i na przyszłość nie było mowy o zbyt męczącym wysiłku.

I tak przyszło Markowi leżeć, pielęgnować się, poddawać się cierpliwie opatrunkowi i codziennym zastrzykom. Jednym słowem przyszło mu się pogodzić z faktem, że jest chory. Przy tym sypiał źle, miał ciągle ochotę przekładać nogę z miejsca na miejsce, zawadzała mu, drażniła, niecierpliwił go koc, niecierpliwiły go poduszki. Nie nawykł do leżenia i ta bierna całym dniami pozycja była dla niego istną torturą.

W dodatku nie pracował i wiedział, że w domu brakuje pieniędzy. Ustawiczny problem braku pieniędzy. Jakże to stawało się nużące! Szczególnie gdy tak leżał beczynnym z założonymi pod głowę rękami i patrzył na przezro-

czysty woal firanek, przed jasno rozświetlonymi oknami.

Któregoś dnia, dla urozmaicenia, przeniosła go na galerię, ułożyła na leżaku, pomagając mu wyciągnąć wygodnie obolałą nogę na poduszce. Byłby się tu czuł dobrze: mógł patrzeć na Patricka, który przy balustradzie bawił się hałaśliwie blaszaną puszką, mógł spoglądać na góry, czy choćby obserwować szarą jaszczurkę, zwinnie wspinającą się po gzymsie, ale już słyszał za leżakiem współczujące białania Madame Borne:

— Zupełnie jak mój Paul... on też był ostatnio taki słaby. I miał bóle w żołądku. Kto wie, może to była właśnie przepuklina?...

Albo Marylou. Ta, oparłszy się też przed nim o poręcz galerii, dręczyła go nieustannie tymi samymi pytaniami:

— A duże to lustro było? A jak upadło? Krzyczał pan? A krew? — musiała być chyba ogromna kałuża krwi na ziemi?

Obawiał się, że lada chwila zaproponuje mu, by odbandażował nogę i pokazał szwy, które mu lekarz założył, ale na szczęście zrezygnowała z tego.

— O nie, wolę nie widzieć, chyba bym zasłabła — mówiła, zasłaniając sobie dziecinnie oczy.

Ale gdy zza drzwi wytaczała się Madame Duval, oganiając się od kotów, które poprzez jej nogi czmychały na galerię, wtedy lepiej już było pod jakimkolwiek pretekstem wrócić do pokoju. Tylko, że wówczas pocziwa kobiecina, zziajana, spocona upierała się, że mu pomoże się podnieść, że go weźmie pod ramię, że może się o nią śmiało oprzeć...

I w rezultacie ona musiała podtrzymywać i ją i Marka, w końcu przepychając Madame Duval przez drzwi o mało sama nie straciła równowagi; ta „pomoc” komplikowała niesamowicie doprowadzenie Marka do tapczanu. W pokoju znowu Mark nudził się i czekał, aż Sylwia wróci ze szkoły i zagra z nim w „halnę” albo w „damy”. Co prawda okropnie go ogrywała. Nie mógł nigdy zrozumieć na czym polegały jej sprytnie przemyślane posunięcia. On

sam manewrował pionkami bez namysłu, na chybił trafił, a potem dziwił się, że Sylwia mu je zabiera, że zastawia mu pułapki i że jakiego by nie zrobił ruchu to zawsze tylko przegrywa.

Z Ivette w ogóle nie kończył partii, bo od początku szachrowała. Ale za to skręcała mu umiejętnie papierosy i doszła w tym do takiej wprawy, że teraz już zupełnie na nią się zdawał. To ona też zbierała dla niego na ulicy *mégots* — zresztą bardzo dyskretnie, tak że nikt tego nie widział. Z tych niedopałków przygotowywała mu skrzętnie tytoń. Nie, brakło mu palenia.

Ale zbliżał się już koniec roku szkolnego i dziewczynki miały odjechać na kolonię. Zdecydowała się nawet zabrać je trochę wcześniej ze szkoły. Musiała koniecznie znaleźć jakąś pracę. Była to już konieczność.

Sylwia była zawsze pierwszą w klasie, więc tych parę tygodni opuszczonych przed końcem roku nie było wielką stratą dla jej „studiów”. Ivette — wiadomo już było z góry, że zostanie w tej samej klasie na drugi rok. Więc też nie było kłopotu z jej zwolnieniem.

Ten odjazd na kolonie, do którego już przecież nawykła, był jednak za każdym razem dużą dla niej emocją. A jak im tam będzie? A czy nic im się nie stanie? A co im dadzą do jedzenia? — myślała ustawicznie, przygotowując starannie, ze spisem w rękę, ich duże walizki.

Ivette orzekała z góry, że z kolonii ucieknie. Przy pożegnaniu zachowywała się wprost teatralnie, załamując ręce i rzucając się wszystkim dramatycznie na szyję. Wreszcie splakana, opuchnięta, czerwona, brała swoją walizkę i spoglądając na matkę z wyrzutem, mówiła obrażona:

— Chodź Sylwia!

Ta ostatnia, bladziutka i milcząca, zwlekała w alkowie w której cichutko obcałowywała po kolei swe fantastyczne lalki. A tu jeszcze i Patrick powiększył „tragizm” sytuacji. Bo właśnie drzazga zadrasnęła mu rączkę, gdy podpełzał pod próg, a że nie umiał tego nikomu wytłumaczyć, więc zaniósł się okropnym, niepowstrzymanym płaczem.

Ivette poczytała to za rozpacz z powodu ich rozłąki, postawiła walizkę, chwyciła w ramiona Patricka i orzekła, że bez niego nie odjedzie. Ten, przerażony jej hałaśliwym wybuchem, darł się coraz bardziej. Za chwilę świadkiem tej sceny gotowa być cała galeria.

Tak się też stało. Wszystkie sąsiadki już się zbiegły.

Madame Duval twierdziła, że nigdy by swego syna na kolonię nie wysłała. Za nic w świecie! Któż go tam upilnuje, by się nie utopił, nie wyleciał przez okno, nie pił zimnej wody kiedy jest zgrzany i nie skręcił nogi. Strach pomyśleć, co się na takiej kolonii może zdarzyć!

Marylou natomiast była za kolonią. I to właśnie dla Ivette. Niech ją tam nauczą respektu i dyscypliny i ładu. Może jej tam wreszcie trochę przytrą nosa — nie będzie taka arogancka!

— Czego becysz głupia, dobrze ci tak, dość już tu mamie nadokuczałaś. Ulży jej bez ciebie.

„Pedagogia” Marylou do reszty rozdrażniała Ivette.

— Ucieknę, ucieknę — powtarzała szlochając.

— A co, widzicie? Szkoda do niej nawet mówić. — I Marylou desperacko gestykulowała rękami, co znowu doprowadzało Ivette do szału.

— Chodź, chodź — mówiła do Sylwii, zrewoltowana do ostateczności.

Aż tu madame Borne wtrąciła swoje:

— I Sylwia też?... To chucherko? Jakżeż ona tam sobie da radę? Zmarnuje się, biedulka, do reszty!

Był najwyższy czas, by opuścić galerię i pod pretekstem że już tylko dziesięć minut do odjazdu pociągu, zabrać małe z galerii. Idąc schodami słyszała jeszcze jak Madame Duval mówiła swym niskim, z lekka ochrypłym głosem:

— Za karę kładą je spać bez kolacji. Jak można się tak nad dziećmi znęcać?! Kolonie...

Na szczęście dziewczynki, zajęte każdą swoją walizką i szlochaniem, nie słyszały już Madame Duval, która z emocji i wzruszenia musiała się ochłodzić, wachlując twarz jakimś ilustrowanym tygodnikiem.

Dziewczynki odjechały.

W domu został tylko Patrick, ale nim Mark mógł się od biedy zająć. Zresztą można było liczyć i na sąsiadki. Gadatliwe, zabawne, czasem męczące, w razie najmniejszego kłopotu były jednak gotowe do każdej usługi, pocziwie, wyrozumiałe, dobre. Nie mogła sobie bez nich wyobrazić galerii. Byłoby może na niej spokojnie, czysto, ale jakże by się nagle wydała przerażająco pusta i nie-ludzka.

Po powrocie z dworca zastała w domu list z Paryża. Od Tomasza. Jak to pocziwie, że właśnie dziś ten list przyszedł, w chwili, gdy wciąż jeszcze miała przed oczyma dwie jasne główki, wychylone z okna wagonu. Ivette długo, długo machała ręką, ale Sylwia, zanim jeszcze pociąg skręcił, schowała się. Pewnie dopiero teraz rozpląkała się na dobre. I to chyba na myśl, że się „zmarnuje biedulka do reszty”, a matka mimo to każe jechać.

Mark śmiał się i trochę nawet pokpiwał, że ją tak co roku odjazd wytrącał z równowagi. Ale tym razem jego też to zasmuciło, bo był w domu, nudził się i naraz bez dziewczynek zrobiło mu się koło tapczana pusto i głupio.

Tomasz pisał o swych egzaminach. Wszystko poszło gładko. Profesor to *chic type* i nawet wydał bardzo pochlebną opinię o postępach Tomasza. I tyle. Wszystko, co miał do powiedzenia. O Lydii nawet nie wspomniał. Może właśnie stała tuż przy nim i mówiła: no co? Skończyłaś? Śpiesz się, czekam na ciebie.

Naraz zrobiło jej się przykro na myśl, że zupełnie nieświadomie skierowała swoje wyrzuty w stronę Lydii. Czyż Tomasz kiedykolwiek pisał inaczej, więcej? Dla-czegóż by nie pomyśleć, że to właśnie ona mu przypominała od razu po egzaminie: napisz dzisiaj do matki, uciesz się.

Mark wołał z pokoju:

— Masz list z Paryża?

— Tak, Tomasz pisze.

— I cóż?

— Pyta jak z twoją nogą... pozdrawia cię.

Dlaczego nie wspomniał nic o Marku? Nawet nie na-

pomknął o dziewczynkach, nie spytał o Patricka... „Serdecznie was ściskam” — i tyle.

Może dla Tomasza korespondencja była tak skąpym, ograniczonym i niewygodnym sposobem porozumiewania się, że w ogóle pisanie listów uważał za bezcelowy trud. Tak przynajmniej to sobie tłumaczyła. Miała chyba rację. A jeśli nawet nie, to ten sposób wyjaśniania wystarczał jej i pocieszał. Jaki by list Tomasza nie był, napępiał radością resztę długiego dnia.

Toteż i teraz od razu poczuła się różnie. Już nawet i odjazd dziewczynek usiłowała sobie odtworzyć raczej z humorystycznej strony. Tłumaczyła sobie przekonywująco, że Ivette i Sylwia w tej chwili wyglądały zapewne ciekawie przez okna pociągu i wiatr zdążył już zapewne osuszyć im policzki z łez.

Przygotowała Markowi kawę z mlekiem, umyła ręce i odwijając jego nogę z bandaży, zajęła się codziennym opatrunkiem. Spostrzegła koło flaszki z eterem scyzoryk, brudną zakrwawioną chustkę i jakąś podejrzaną tubkę maści. Z wyrzutem spojrzała na Marka. Ale ten potulnie przytrzymał rękami nogę, lekko uniesioną w górę.

Wiedziała dobrze, że przewinął bandaże i spał je nieporadnie agrafką tuż na samym kolanie. Bo korzystał z każdej chwili jej nieobecności, by po swojemu pielęgnować tę nieszczęsną nogę. Oglądał zasklepiające się rany, a jeśli jakiś strup czy naskórek nie podobał mu się, zaczynał manipulować ogromnym scyzorykiem. Po tej operacji pokrywał nogę pomadą, a nawet cichaczem smarował sobie nią przepuklinę, bo jak twierdził: „rozgrzewa i robi dobrze”. Była to, jak z napisu wynikało, maść zalecana na bronchit.

Ale Mark wierzył w swoją własną chirurgię, w swój sposób leczenia się i trudno było temu zapobiec. Musiała go nastraszyć jak dziecko:

— Gdy dostaniesz gangreny obetną ci nogę i do końca życia będziesz niedołągą.

To chyba poskutkowało. Mimo to przezornie schowała scyzoryk i skonfiskowała maść kamforową, od której Markowi robiło się tak „ciepło i dobrze”.

— Jutro zaczynam pracę w hotelu — oznajmiła, bandażując zręcznie nogę.

— W którym?

— W „Mon Repos”. Zgodziłam się tylko do czwartej popołudniu. Muszę mieć czas na zajęcie się małym.

— Nie kłopotz się, zaopiekuję się nim — zapewnił gorliwie.

— Wiem. Ale przecież nie możesz ani prac dla niego, ani go wykąpać. O jedno cię tylko proszę: uważaj na niego, pilnuj, tak boję się, by mu się coś nie stało.

— Oho, oka z niego nie spuszczę!

Pogładziła go wolno po wychudłym, zmizerowanym policzku.

Wstawała teraz bardzo wcześnie. W hotelu musiała być już o siódmej rano, a przedtem tyle było jeszcze w domu do zrobienia. Ale wszystko staje się prędko przyzwyczajeniem. Po kilku dniach nie musiała już nastawiać hałaśliwego budzika, który podrywał z łóżek sąsiadów. Teraz budziła się sama jeszcze przed piątą. Wstawała i otwierała w kuchni okiennice.

Nieraz długo zatrzymywała się przy oszklonych drzwiach.

Niebo było seledynowe jak morze. Wlokły się po nim wszędzie długie, zaróżowione pasma obłoków. Wysoko, ponad granatowymi graniami, wśród których jeszcze sennym cieniem ocierał się mrok, wolno zarumieniał się cały nieboskłon. Przez szyby padał ciepły odblask i ściany kuchni stawały się niemal pomarańczowe. Naraz zza sinawych szczytów ukazywał się rażący, ognisty blask. Z początku tylko jako wąska linijka znacząca kontury szczytów. Aż płosząc wszystkie inne barwy nieba, panoszył się za nim jasnym, przejrzystym światłem.

Na słońce długo trzeba czekać zanim się wydostanie zza wysokich gór. Zapowiedzią jego w dolinie jest ten wolny, pastelowy świt, niewiarygodna paleta wszechfantastycznego Artysty.

Gdy wychodziła do pracy słońce zaczęło już deski galerii, pod którą, w zieleni, rozweselone ciepłem ptaki rozpoczynały gwarliwie swe ranne zabiegi.

Mark jeszcze spał. Patrick zaczynał gaworzyć, rozważał, wsuwał z powrotem kciuk do buzi i znów zapadał w rozcmokaną drzemkę.

Schodziła ulicą w dół, mijała willową dzielnicę i szła przez park. Poprzez gałęzie ogromnych świerków sączyły się jasne smugi, jak ukośne, szerokie wachlarze światła. Na trawnikach szklila się jeszcze zimna wilgoć. W pustej alei słychać było tylko ćwierkot i deszczowy szmer rozpryskującej się na stawie fontanny. Było tu jeszcze cicho i spokojnie, jak w dużym lesie.

Tuż u wyjścia z parku, na lewo, znajdował się hotel „Mon Repos”. Zielone okiennice były jeszcze zamknięte i o tej godzinie jedyną oznaką istniejącego tu życia były chyba tylko bańki na mleko, ustawione rzędem drucianej siatki. Do kuchni szło się w dół po schodkach od tyłu budynku, znajdowała się bowiem w hotelowych suterenach. Od rana do wieczora paliło się w niej światło. Żarówki elektryczne były gdzieś wysoko pod sufitem, zapstrzone i poźółkłe i słabo oświetlały wnętrze. Kuchnia na pierwszy rzut oka wydawała się ponura, brudna, nie miła. Trzeba było się do niej przyzwyczaić. Lepiej więc było od razu przyjaźnie zaznajomić się z jej zakamarkami, oswoić się z kredensem, ze zlewem, z płytą kuchenną, nawyknąć do niezliczonych półek i z miejsca zawrzeć z tą kuchnią przymierze. Tyle godzin, dni przyjdzie tu spędzić — niechże więc od razu będzie przynajmniej swojska.

Wchodziło się do niej zostawiając za sobą jasność i słońce. Za plecami, już na tych schodkach, urywał się dzień i zaczynały się godziny, które nie były ani rankiem ani południem czy wieczorem. Były światłem elektrycznej żarówki „Philips'a”.

Ale było to uczucie, którego doznawała tylko przez krótką chwilę, przed wejściem. Bo gdy już była w kuchni od razu weselała. Wystarczyło tylko popatrzeć na Sabinę.

Była to dziewczyna z baskijskiej fermy, zdrowa, silna i młoda. Miała okrągłą twarz, malutkie oczy i, zawiązując dokoła obszernej talii biały fartuszek, co rano wołała zabawnie na przywitanie:

— Aaa! Przyszedł wreszcie! — jakby obawiała się, że ona się spóźni, albo w ogóle zapomni zjawić się do pracy. I od razu robiło się raźniej.

Sabina mieszkała w hotelu i sypiała w schowku, który był czymś w rodzaju spiżarni. Zawalony był po sufit puszkami konserw, kartonami, paczkami kawy, mydła, makaronu i wysokimi stosami drzewa na podpałkę. Jakim sposobem udało tu się sprytnie wcisnąć żelazne łóżko Sabiny? Było wąskie, o podłużnym, płaskim jak naleśnik materacu, okryte starannie ze wszystkich stron naciągniętym kocym. Na ścianie, z wieszadeł zaczepionych tu i ówdzie na gwoździu obsuwały się bezradnie sukienki. Przez cały dzień przewieszano je z miejsca na miejsce lub po prostu rzucono na łóżko, gdy zawadzały komuś kto szukał w pośpiechu cukru czy margaryny.

Sabina co wieczór znów je starannie wygładzała, otrzepywała z kurzu i wkładała na wieszadła. Pod łóżkiem ustawiała w równy rząd porozrzucone pantofle, zdejmowała z koca niepotrzebne papiery, sznurki, puste pudełka i siadała na łóżku medytując co by teraz zjeść. Bo Sabina miała nieposkromiony, zdrowy apetyt. Może dlatego, że mieszkała w spiżarni? Wystarczyło jej tylko spojrzeć na zawieszoną szynkę czy na czerwoną głowę holenderskiego sera i natychmiast odczuwała niepokojący głód. Przynosiła sobie z kuchni nóż, ogromną pajdę chleba i zaczynała się wieczorna potajemna uczta.

No, i Sabina roztyła się w okropny sposób. Wszyscy jej tym dokuczali, żartowali, ale nie przejmowała się. Trzeba przyznać, że w jej wieku ta obfitość kształtów była raczej apetyczna i kusząca. Tego zdania był męski personel hotelu. Przy każdej okazji podśmiewali się z niej i podszczypywali, a Sabina czerwieniała po same skronie, powtarzając ze zmieszaniami:

— *Salop! Dieu, quel salop!*

Bo była rozbijającą naiwna i świeża. Szkoda było wprost, że oddano ją na służbę właśnie do hotelu. Dla Sabiny praca ta była jednak czymś nowym, atrakcyjnym, a zresztą dało jej to okazję do wyrwania się z fermy; czuła się tu dobrze, choć harowała od rana do wieczora.

Gdy zjawiała się rano w kuchni, Sabina nie posiadała się z radości. Pozwalało jej to stwierdzić, że zaczynał się dzień. Wprawdzie stary, tykający przeraźliwie budzik wskazywał godzinę, ale miernikiem czasu dla Sabiny były raczej fakty i czynności: siódma — przychodzi Jeannette i Marcelle, w pół do ósmej — mleczarz przynosi bańki, ósma — auto piekarza. A potem do dziewiątej czas niemożliwie przyspieszał tempo: dzwonią pod 15-tym — śniadanie! dzwonią z 24-go — śniadanie! dzwonią ze wszystkich pokoi, prawie jednocześnie — prędko, prędko śniadanie!

I Sabina goniła z tacami z piętra na piętro, z pokoju do pokoju.

— *Bonjour*, czy dobrze państwo spali?

— ...czy dobrze pan spał?

Bo nauczono ją, że gości hotelowych pokojówka powinna sobie zjednywać troskliwymi pytaniami. Ale Sabina nie była sprytna jak miasteczkowe *femmes de chambre*, które już zdążyły się w tym zawodzie przeskolić. Sabina była przede wszystkim spontaniczna i wesoła. Bawiła ją niezmiernie bezsenność wypoczywających letników, ich rozleniwione śniadania w łóżku, zadziwiały ją ich migreny, wstręt do kożuszków, niestrawność po zjedzeniu świeżego chleba i nerwowość po wypiciu kawy.

Toteż jeśli jakiś starszawy pan orzekał zgryźliwie:

— Oka tej nocy nie zmrzyłem. Miałem pchłę w łóżku! — Sabina wybuchała głośnym śmiechem, powtarzając z ubawieniem:

— A to heca, a to dopiero heca!

Gdyby nie to, że była w tych momentach doprawdy ujmująco młoda, nie jeden gość wyrzuciłby ją może za drzwi, myśląc, że sobie z niego kpi. Sabina istotnie kpiła, ale otwarcie, szczerze, prosto w oczy. A jej ogromne, jędrne

piersi trzęsły się rytmem nieopanowanego śmiechu. Była rozbrajająca.

Około dziewiątej rano schodziła do kuchni *la patronne* — szal Sabina już nie opowiadała co w którym pokoju zasłyszała lub widziała. Była całkowicie zajęta robotą, uważnie opróżniając ze śniadaniowych resztek srebrne tace. Cóż, kiedy za chwilę miała już znowu powód do radości:

— Ooo! Zaczepiła pani szlafrokiem o gwóźdź!... ha... ha... ha... Dziura! I to na samym tyłku!

Ha... ha... ha...

Mademoiselle Flore pretensjonalnym tonem, który pozbawiał ją naturalności, nawoływała zmieszana:

— *Sabine*, proszę mi odczepić szlafrok, nie mogę sobie poradzić!

Ale Sabina zatoczyła się ze śmiechu na stołek i nie mogła się ruszyć z miejsca:

Marcelle chichotała przy zlewie, udając, że w nim coś zmywa. Bo Marcelle nie znosiła *Mlle Flore*, lubiła ją cichaczem ośmieszać, krytykować i za jej plecami opowiadała o niej niestworzone historie. A przecież zaledwie *Mlle Flore* zjawiała się rano w kuchni, Marcelle zaraz ścięrała stół i nadbiegała z kawą.

— Czy przecedzić kożuszki? A czy nie za słodka? Przygrzałam dla pani sucharki.

Bo Marcelle miała już za sobą osiem lat zawodu i była w nim wytresowana. Umiała też niespostrzeżenie i zręcznie wymigiwać się od roboty. Wiedziała jak się umizgnąć do *Georges'a*, by zniósł na dół dywan, pod jakim pretekstem wsunąć *Sabinie* do rąk trzepaczkę, a sama ulatniała się mówiąc:

— Tymczasem pościelę łóżka w pokojach.

Ale szło to jej bardzo powoli. W międzyczasie czytała listy rozrzucone na stole, oglądała ze znawstwem garderobę, w umywalni obwąchiwała flakoniki perfum i wypróbowywała na swych wargach kolor różu hotelowej lokatorki. Po czym przewieszała się przez framugę okna i czekała na *Sabinę*.

— Przewróć materace na łóżkach — mówiła, gdy ta wracała z dywanem. Sabinie zdawało się, że w tym nieznanym dla niej dotychczas zawodzie, Marcelle jest od niej o dobrych parę szczebli wyżej. Nie brała jej więc wcale za złe tych zleceń i komenderowania. Przeciwnie, napępniało to ją respektem dla miejskiej koleżanki. Harowała za nią. Ale przynajmniej nie była już popychadłem na fermie!

Załużąc Sabiny, próbowała interweniować:

— Jak ci nie wstyd Marcelle. Dlaczego ją wykorzystujesz?

— Oh, nie bój się. Dziewka zdrowa jak źrebie. A ja to co?

Wystarczyło tylko na Marcelle spojrzeć. Była wychudła, mizerna, miała ziemistą cerę i ustawicznie podkrążone zmęczeniem oczy. A że używała bardzo jaskrawego różu i czerniła sobie rzęsy, uwydatniało to jeszcze bardziej błądź jej zapadłych policzków. Podejrzewała nawet, że Marcelle była nie w porządku z płucami. Gdy czasem zakaszłała, kurczyła nagle ramiona, jakby uchylała się przed jakąś niewidzialną igłą, która gwałtownie wbijała się jej w plecy.

Tak, Marcelle po hotelowych, uciążliwych sezonach była zużyta, zmęczona, wyciśnięta z sił jak cytryna. Ten, kto nigdy tu nie pracował, nie ma pojęcia co za końską wytrzymałość trzeba mieć w tym wyczerpującym zawodzie.

I ona to już odczuwała. Bolały ją nogi od ciągłego dreptania po małej, ciasnej kuchni. Paliły ją stopy, jakby podłoga była rozpalona niczym płyta. Po powrocie do domu z błogością zanurzała nogi w miednicy zimnej, orzeźwiającej wody.

Była tu pomocnicą kucharza. Tak od razu zdecydowała Mille Flore, bo do tego zajęcia angażowano chętniej kobietę zamężną niż młode dziewczęta, które nie znały się na gotowaniu, ale za to prezentowały się dobrze przy obsłudze w restauracyjnej sali, lub jako zwinne, uśmiechnięte pokojówki.

Kucharzem był stary biedaczysko, któremu już dawno sześćdziesiątka minęła. Wlókł niezdamie i wolno nogi

zesztywniałe w kolanach od reumatyzmu i bez oparcia o dwie laski w ogóle nie mógł się ruszyć. Pierwszego dnia nie mogła sobie wyobrazić jak ten schorowany, gderliwy starowina zabierze się do kucharzenia. Miało się ochotę ułożyć go na wpół leżąc w trzcinowym fotelu na kółkach, otulić nogi kratkowanym pledem i wywieźć do ogrodu, pod cień akacji, by się tam spokojnie przespał.

Swego czasu był to pierwszorzędny kucharz. Pracował od lat w eleganckim hotelu zwanym pretensjonalnie „Les Ambassadeurs”. Klientelę jego stanowili okoliczni snobi i bogaci zagraniczni kuracjusze. Monsieur François był asem w przyrządzaniu niezliczonych zakąsek, asem w przyprawianiu sosów i w umiejętnym doborze win. Nadawał poszczególnym daniom fantastyczne, niezasłyszane dotąd nigdzie nazwy. Było to dla niego rodzajem literackiej twórczości i trzeba przyznać, że wyobraźni mu nie brakło. Gdy na deser robił zwykłe pieczone jabłka, zapowiadał w jadłospisie: „Folies de la Marquise”. No i oczywiście nikogo nie dziwiła frywolna cena deseru.

To był tylko jeden z licznych sekretów kucharza wielkiej klasy, które sprawiły, że Mr. François stał się szybko lokalną sławą. Do tej popularności przyczyniły się także w dużej mierze jego nocne libacje. Kawalerski stan pozwalał mu na beztroską egzystencję, którą spędzał, wprawdzie nieco melancholijnie, na nocnych popijawach w gronie najczęściej bardzo przypadkowych przyjaciół.

Alkohol, reumatyzm, starość... I oto Mr. François znalazł się w podrzędnym, od niedawna istniejącym, hoteliku już nie jako „as”, ale po prostu jako nieszczęsny, rozgoryczony starowina, który nie ma się gdzie podziać.

Mlle Prat pracowała swego czasu jako pokojówka w hotelu „Les Ambassadeurs”. Była oszczędna, posiadała żyłkę do interesów i życiowy spryt. I teraz miała swój mały, ale własny i wcale nieźle prosperujący hotelik „Mon Repos”. Mlle Flore wiedziała dobrze co robi, gdy po usilnych naleganiach ściągnęła do siebie Mr. François. Czy to przez dawną dla niej sympatię, czy też ze względu

na to, że grosza sobie na starość nie zaoszczędził — zgodził się. I teraz Mille Prat mówiła swym klientom:

— *Mon chef-cuisinier, vous savez, celui d'hôtel „Les Ambassadeurs”...*

Goście wyobrażali sobie atletycznego kucharza w białej czapie na głowie, który, zaaferowany przy syczących oliwą patelniach, energicznie nawołuje:

— Łyżka... sól... prędko! Podajcie mi półmisek!

Mr. François gdzieś około dziesiątej wchodził wolno do kuchni. Stuk... stuk... po kamiennej posadzce obie drewniane laski. Mr. François przystawał koło płyty, wyciągał z kieszeni nieobrubioną chustkę i długo, starannie wycierał nos.

— Dajcie mi stołek.

Obsuwał się nań ciężko, a obie laski padały z hałasem na kamienną posadzkę. Sabina zbierała je i stawiała pod płytą obok haczyków. W milczeniu wyciągał z kieszeni gazetę i pogrążał się w lekturę. Mille Prat kołowała ze swym notesikiem w rękę, monologowała, wreszcie zdobywała się na odwagę i pytała:

— Szef... co dziś damy na obiad?

Mr. François unosił znad gazety roztargnione oczy, chwilę przypatrywał się jej ze zdziwieniem, po czym krótko decydował:

— Befszytk.

Mille Prat czekała niezdecydowanie, unosząc w górę ołówkę.

— Befszytk, to znaczy co? Czyż nie mógł temu nadać jakiejś nazwy? Coś na przykład w rodzaju: „bifteck à la Barcelonne”...

Mr. François powtarzał zniecierpliwiony:

— Befszytk. Tak jak zwykle, *dans la tranche* — to ostatnie było tylko zleceniem dla rzeźnika.

Mr. François dzieciłniał, Mr. François niedołęźniał, brakło mu fantazji, brakło mu już nawet i sił. Mille Flore stwierdzała to co rano z niepokojem. Na szczęście miała w kuchni Jeanette!

Jeanette to była ona.

Gdy się tu zgłosiła do pracy Mlle Flore spytała ją od razu jak się nazywa. Zrozumiała, że nie będzie tu „Madame Lacrampe”, nie może tu być „Hanka”, więc zdecydowała się na pożyczanie sobie jakiegoś innego imienia którym by tu na nią mogli wołać. Bez namysłu odparła:

— Jeanette!

Mogłaby równie dobrze powiedzieć Céline czy Simone. Czyż to nie wszystko jedno? Ubawiło ją to nawet. I nie raziło jej wcale, że wszyscy tu do niej mówili „ty”. Przeciwnie. Ułatwiała to jej koleżeństwo z Sabiną, z Marcelle, z André-fajtłapą i z aroganckim, pewnym siebie i bardzo przystojnym Georges'em, który był *valet de chambre*.

Bo w czasie sezonu, który trwał zaledwie trzy miesiące, był czas zżyć się, polubić, zaprzyjaźnić. Obcowało się tu przecież z sobą dzień w dzień przy tej samej pracy, w tej samej ponurej kuchni pozbawionej dnia, w której zapominało się nawet, że są wakacje i lato. Ten fakt uprzytomniała tylko obecność hotelowych gości, którym podawała się śniadanie do łóżka, czyściło obuwie, po których zamiatano pokoje, zmywano zachlapaną łazienkę, dla których prało się niezliczoną ilość prześcieradeł i myto stopy tłustych talerzy.

Widywało się ich przelotnie gdy wracali z tenisu, szli na pływalnię, opalali się w ogrodzie na leżakach, a wieczorem grali na oświetlonym tarasie w bridge'a lub szli do salonu na telewizję.

Sabinę ogromnie bawiło przypatrywanie się hotelowym gościom. Podziwiała ich. Nieraz niedyskretnie zatrzymywała się z tacą przy stolikach i zamiast zbierać talerze słuchała ich rozmów. I nawet nie spostrzegała, że z współotwartych drzwi kuchni Mlle Flore desperacko, nagląco kiwała na nią palcem.

Marcelle nie lubiła klientów i szacowała ich według napiwku. Znosiła ich obecność jako zło konieczne, które musiała scierpieć, by móc w sezonie podciągnąć rodzinny budżet. Traktowała ich w duchu jako nieużyteczne pasożyty, z zawiścią patrzyła na ich elegancję i drażnił ją widok

długiego rzędu lśniących aut przed hotelem. Gdy wносиła po schodach ciężkie walizki nowoprzybyłych gości, nie omieszkała zaraz potem w kuchni powiedzieć:

— Wakacji im się zachciało! A my tu dla nich harujemy, harujemy i tyle.

— Za darmo tu pracujesz? — pytał Georges.

— Dobrześ powiedział. Prawie za darmo. A Mille Flore robi naszymi rękami fortunę!

— Ona też latami harowała — zauważyła.

— Miała przynajmniej dobre napiwki. „Les Ambassadeurs” to nie „Mon Repos”. Tu każdy gość w momencie odjazdu medytuje tylko nad tym, jak się wymknąć nie zostawiwszy napiwku. Ha, już ja ich znam!

— O, ty umiesz zręcznie każdego w drzwiach przyłapać — dokuczał Georges.

Obruszała się.

Marcelle i Georges „chodzili” razem, Sabina zapytywała naiwnie:

— Jak myślisz? Pewnie się z końcem sezonu ożenią?

Chciała jej powiedzieć, że na pewno nie. Będą się trzy miesiące całować w ciemnej alei przy hotelu, będą może... Ale po cóż to wszystko mówić Sabinie. Ona też by chciała z kimś „chodzić”. Tylko że nie ma kiedy. Mille Flore daje jedno niedzielne popołudnie raz na miesiąc. Ma wtedy tylko tyle czasu, by przeprać swe fartuszki i pójść na popołudniowy seans do kina. O siódmej musi już być w hotelu i to pun-ktu-al-nie, jak jej za każdym razem przypominała „patronne”.

Ale może to i lepiej, że Sabina nie miała czasu na jakiegoś Georges’a czy André. Nie jeden miał chętkę. Nawet i klienci ją czasem zaczepiali na schodach.

— Przynies mi wieczorem czarną kawę i rum. Do mego pokoju.

Ale Mille Flore interweniowała z miejsca:

— Który to? Ten spod „piątego”? Marcelle, zanieś mu o 9-ej kawę.

Bo Mlle Flore sama przez tyle lat była przecież *femme de chambre*. Znała wszystkie niedole, korzyści, trudy i pokusy tego zawodu. Postanowiła nad Sabina czuwać.

A ta kładła się co wieczór spać, zjadając chleb z szynką i słodkie, soczyste brzoskwinie. Czasem przez uchylone okno dolatywał ją chichot Marcelle, która się żegnała z Georges'em. Sabina, kłęcząc na łóżku w swej białej, flanelowej koszuli z długimi rękawami, zaczynała właśnie mówić pacierz: „i daj mi... i spraw...” plątało jej się w roztrągniętej głowie. Aż nagle dostrzegała na półce równo ułożone tabliczki czekolady!



Do domu wracała coraz później i później. Miała pracować do czwartej popołudniu, a potem okazało się, że do szóstej, do ósmej... Aż do dnia kiedy Mr. François zachorował na anginę musiała całkowicie zająć się kuchnią i odtąd w ogóle nie było już mowy o godzinach. Ciągnęło się do późnego wieczora.

Bo kiedy było już po kolacji i brzęk zbieranych przez Sabinę sztućców dawał znać, że goście się rozeszli, zjawiała się przed hotelem jakaś elegancka limuzyna i Mlle Flore wpadała zaafierowana do kuchni, wołając:

— Siedem kolacji *à la carte!*

Znaczyło to, że jacyś przejezdni wycieczkowicze zatrzymali się tu na posiłek. Że rozsiądą się w restauracyjnej sali i popijając *apéritif* będą się długo namyślać, co by tu zjeść. Trzeba było znowu zaczynać od początku. Wyciągnąć z szafy umytą już patelnię, podsycać ogień pod płytą, szukać w lodówce mięsa i przyrządzać na prędce zakąski.

Gościom nie śpieszyło się. Jedli wolno, a ich śmiechy i ożywiona rozmowa wskazywały, że przedłużą sobie ten wieczór czarną kawą, likierem i amerykańskimi papierosami. Marcelle spoglądała ponuro na salę, wreszcie podchodziła nadąsana do stolików. Przesadny pośpiech w

zbieraniu naczyń dawał do zrozumienia, że już późno. Ale któż w tym rozbawionym towarzystwie zauważał Marcelle! Komuż by z nich do głowy przyszło, że Marcelle ma już na dziś dość roboty i że w dodatku w alei od trzech kwadransów czeka na nią zniecierpliwiony Georges.

A ona w kuchni myślała nieustannie o Patricku. Dawniej przychodziła na czas. Zdążyła jeszcze co wieczór poprać mokre pieluchy i majteczki, które Mark, przebierając małego, wciskał do kosza; mogła pozmywać zaschnięte talerze, miała czas wykąpać Patricka, wziąć go na ręce, pośmiać się.

Teraz, gdy wracała do domu chłopak już spał. Mark najczęściej też. Opatrunki robiła mu rano przed odejściem. Na szczęście noga goiła się. Mark wyraźnie powracał do sił i z dnia na dzień odnajdywał swoją beztroskę.

— Wylizalem się. Jeszcze tydzień, a gotów jestem tańczyć sza-sza-sza na galerii. Zaproszę Marylou.

Madame Duval obrazi się — podchwytywała żartobliwie.

Do końca wakacji było już tylko parę tygodni i te było chyba najtrudniej przetrzymać. Dni dłużyły się w kuchni niemożliwie i zdawało się, że temu sezonowi końca nie będzie. Przyjdzie tu już chyba ciągle tkwić przy tej rozpalonej płycie, przy ohydnie parującym zlewie, wśród tych obierzyn, ścierek i nieustannych nawoływań: trzy kotlety... dwa rosoly... pięć sałat...

Najbardziej nużyło ją wieczorne zmywanie naczyń. Wprawdzie miała do pomocy Elizabeth. Ale ta niewiele się przydawała. Była to matka Mlle Flore. Drobniutka, niepozorna, wcale sympatyczna staruszczenka. Była gadatliwa, ale zawsze mówiła niemal szeptem i trzeba było ustawicznie wysilać słuch, gdy chciało się ją zrozumieć. Poruszała jej się przy tym sztuczna szczeka. Gdy ją to drażniło, wyjmowała ją z ust i nie krępując się nikim wkładała do pierwszej lepszej szklanki z wodą.

Raz, umyślnie czy niechcący, Georges wylał wodę do kubła i sztuczna szczeka pływała w tłustej wodzie, szczerząc się diabolicznym, oderwanym od ust uśmiechem.

Nikt nie chciał jej wylowić, a Sabina, nie posiadając się z uciechy, śmiała się tak, że aż jej łzy z oczu ściekały.

Georges wyjął szczękę widelcem i podał ją poważnie Elizabeth, która mu pośpiesznie dziękowała, sepleniąc że z zębami miała tylko zawsze kłopot. Póki były prawdziwe bolały i trzeba było je wyrwać. A teraz gdy ma sztuczne, to tylko zawadzają i gubią się.

— Gdyby nie Georges, poszłyby dziś z pomyjami dla świń.

Sabina ze śmiechu zataczała się po kuchni.

Ale we wszystkim co mówiła Elizabeth była filozoficzna, głęboka powaga.

Wieczorem siadała na stolku, brała ścierkę i wycierała sztućce. Starannie, nóż po nożu, widelec za widelcem. Oglądała uważnie, czy aby już na pewno suche, wreszcie decydowała się jeden po drugim układać w szerokiej szufladzie z przegródkami. Przy tym co chwila opuszczała ścierkę na kolana i przypominała sobie o czym to właśnie z kolei chciała opowiadać. Co wieczora bowiem, niezmiennie w tym samym porządku, wspominała szczegóły z czasów, gdy Mille Flore miała dwa... pięć... sześć lat. W tej rozseplenionej gadaninie przewijało się długie dzieciństwo Mille Flore, jedynej, nieślubnej córki Elizabeth. Było to irytujące, zabawne i zarazem wzruszające.

Trudno było sobie naraz wyobrazić tę starszawą, zdziwaczałą już trochę pannę, z piłką w ogrodzie, czy z kółkiem w alejach parku, z zadraśniętym kolaniem czy niebieską wstążką we włosach.

Sabina parskała śmiechem, wołając:

— Oj, rety, *Mademoiselle Flore* nosiła białe skarpetki? Elizabeth, daj spokój, brzuch mnie już boli od śmiechu.

Ale były też i smutne fragmenty. Choćby z tą szkarlatyną. „Gorączka... doktor... a moja mała... dwie noce bredziła. Zabrali ją do szpitala...”. Tu Elizabeth spłakiwała się na dobre i z roztargnieniem ścierką wycierała oczy.

— Ta, co płaczesz! Nie umarła chyba w tym szpitalu? — pocieszała ją rezolutnie Sabina.

— A nie, pewnie, że nie... Bóg mnie od tego nieszczęścia uchronił. — I Elizabeth z wdzięcznością unosiła ku sufitowi zażawione oczy.

Marcelle wzruszała ramionami.

Elizabeth, zmęczona tymi wrażeniami, milkła i coraz wolniej, coraz nieuważniej wycierała łyżeczki, które ona, w miarę mycia, kładła jeszcze ciepłe od wody na jej kolanach, przykrytych grubą, złożoną we czworo ścierką. Znad zlewu unosiła się duszna para, zlepiając włosy i ciepłem męczyła powieki. Nieznośny do wytrzymania zapach rosółu i innych kolacyjnych resztek drażnił nozdrza. Gorąca woda zaczerwieniała po łokcie ręce. Nie można było wprost oddychać w męczącym upale tej małej kuchni.

— Do licha, otwórzcie na oścież drzwi!

Ale nie wolno było. Elizabeth panicznie bała się „przeciągu”.

— Uff... co za piekło!

Nagły brzęk usuwających się na ziemię łyżeczek dawał znać, że Elizabeth, znużona gorącem, usnęła. Sabina wyjmowała z jej rąk ścierkę i zbierała rozrzucone sztucce. Co wieczora przed wyjściem trzeba było nią potrząsać, budzić, ubierać, ją w sweter i mówić jak do dziecka:

— Otwórz oczy, wstawaj, daj rękę!

A że mieszkała w pobliżu, więc Elizabeth uczepiona ciężko jej ramienia, szła z nią wolno aleją, postępując i przystając, na wpół rozbudzona, na wpół przytomna. Przechodząc przez park siadała na pierwszej ławce by trochę odpocząć, czasem się nawet jeszcze krótko zdrzemnęła i trzeba było znów ją pociągać za łokieć i obiecywać: już niedaleko... już tylko parę kroków.

A jej tak się przecież spieszyło do domu. Dlaczego w ogóle Elizabeth upierała się, by pracować. Czyż nie mogła spokojnie siedzieć u siebie i czekać aż Marcelle czy André przyniosą jej z hotelu posiłek na cały dzień?

Ale niestrudzonej Elizabeth nikt w życiu nie nauczył odpoczywać. Całe życie spędziła na służbie, a nawet gdy już Mlle Prat była pokojówką i dobrze zarabiała, Elizabeth pracowała wraz z nią w tymże samym hotelu.

A teraz, kiedy dzięki tym uciulanym wspólnie grozom córka stała się właścicielką „Mon Repos”, Elizabeth kontynuowała tutaj swą służbę i inaczej nie wyobrażała sobie swej egzystencji. A może chciała przez to uczestniczyć niejako w sukcesie Mlle Flore? Bo widząc jak córka komenderuje teraz w kuchni, jak przyjmuje w hall’u dystyngowanych gości, jak wsiada do swego auta, by jechać po sprawunki, Elizabeth ujmowała ją za łokieć, mówiąc cicho:

— Widzisz?

I znów łzawiły jej się oczy. A w tym jednym słowie było wszystko: jej duma, jej triumf, jej rewanż wobec losu i może także... ów respekt starej pomywaczki wobec *patronne*. Elizabeth nie śmiała nawet do córki zagadać. A ta nie miała po prostu na to czasu. W hotelu był ustawiczny ruch i Mlle Prat miała na wszystko oko. A Elizabeth była zawsze gdzieś zaszyta w kącie kuchni, niepozorna, mała i tak łatwo było jej w ogóle nie zauważyć.



Minęły trzy miesiące. Ufff... czyż to możliwe, że już się ta sezonowa udręka skończyła? Że jutro będzie można się wyspać do ósmej rano?

Trudno było sobie wyobrazić, że będzie teraz mogła cały dzień krzątać się u siebie w domu, że zajmie się Patrickiem i pogada wreszcie z Markiem. No i były pieniądze. Można było pospłacać długi w sklepikach, zrobić dobry obiad. Przed powrotem dziewczynkę kupi im obuwie, fartuszki, a Markowi sprawi wreszcie nowe spodnie. A jutro pójdzie chyba do fryzjera i wracając kupi ogromny bukiet dalii, by je umieścić w jadalni na stole.

Nie, nie, tylko bez „szaleństw”! Mark przecież bez pracy. Kto wie co teraz będzie robić i kto go zatrudni.

Dziewczynki napisały właśnie ostatni list z kolonii, niecierpliwiąc się do powrotu. Myśl, że za dwa dni tu będą, była dla niej ogromną ulgą. Wprawdzie była pe-

wna, że im tam dobrze. Sylwii przybyło na wadze, a Ivette pisywała, że się wciąż kąpią, że były na wycieczce i w jakimś cyrku, no i że zdążyła zasuszyć mnóstwo polnych kwiatów.

Ale ostatnie jej listy były niepokojące. Przed wyjazdem Ivette zapowiedziała:

— Jeśli będzie mi źle, to dam ci o tym znać umówionymi znakami, bo z kolonii nie można pisać co się chce. Kontrolują.

To prawda. Ale to jest zupełnie zrozumiałe. Dzieci mają wybujałą wyobraźnię, wypisują różne brednie, a rodzice tylko się niepotrzebnie niepokoją. Ta kontrola była zupełnie uzasadniona. Ale nieufna, zrewoltowana Ivette uważała to za jeszcze jeden dowód perfidnego systemu dręczenia i pozbawiania swobody. Toteż w jej listach trzy krzyżyki miały znaczyć „okropny” ból zębów, wykrzykniki — szykany ze strony rówieśnic, a kółka — wszelkie „niezasłużone” kary.

Ostatnio w jej listach roilo się od kółek, które rysowała tuż pod podpisem z pasją naciskając czerwonym ołówkiem.

Mark mówił pocieszająco:

— W szkole przecież też wciąż obrywała. Nie było dnia bez kary.

Ale ona stęskniona za dziećmi, rozczulała się teraz nad Ivette. Słusznie, czy nie słusznie — nie chce, by ją tam wciąż karano. A może idzie bez kolacji spać?

Przyjechały, jak co roku, rozbawione, opalone, pełne werwy i życia. Oczywiście powitaniom z Patrickiem nie było końca, ale on przyjmował te owacje obojętnie i rozrzucał po podłodze kolorowe kubiki.

Brakło tylko listu od Tomasza. Dawno nie pisał. W trzy dni po powrocie małych zaczęła się szkoła i wszystko wróciło w domu do normalnego życia. Nie, galeria była zupełnie pusta i niesposób było się z tym pogodzić.

W czasie sezonu nie zdawała sobie z tego jakoś jeszcze sprawy. Ale teraz na galerii było jej dziwnie obco i nie-

swojo. Opierała się o balustradę i dziwiła się, że nic nie wisi na sznurach, siadała na progu i czekała, że wreszcie otworzą się któreś drzwi i ktoś zawoła z daleka: *alors, ça va?* A tu nic — cisza.

Z czasem tylko listonosz wchodził po schodach, albo ktoś, kto się informował czy jest tu mieszkanie do wynajęcia. O tak, i to nie jedno, prawie wszystkie są wolne. Miała nieraz ochotę dodać: to okropnie smutne!... Ale zainteresowany uważał to za niezwykłą szansę i wypytywał ją o adres Madame de Vallon w Paryżu i o datę jej powrotu.

— Podobno tu będzie za miesiąc! — mówiła tonem jakim zapowiada się kataklizm.

No, bo przyjdzie, wynajmie wolne mieszkania, może właśnie i temu panu, który w tej chwili tak skwapliwie zapisuje w notesiku adres. I pojawią się na galerii nowi, zupełnie obcy ludzie. Ale to już przecież nie będzie to samo, galeria nie będzie już tym, czym była. Teraz jest wolna, pusta, „do wynajęcia”, jak trzy próżne mieszkania, których drzwi są ciągle zamknięte.

Madame Borne wyszła za mąż za owego kolejarza. W międzyczasie zmarła jej matka i Madame Borne wyprowadziła się od razu w okolice dworca, gdzie mąż jej miał służbowe mieszkanie.

A Marylou... frrr... frrr bajecznie kolorowa papużka, fruująca po galerii?

Marylou z mężem przeniosła się do nowiutkiego bloku H.L.M. Ma tam podobno dwa śliczne pokoje i komfortową kuchnię. Przyszła tu właśnie dwa dni temu i jednym tchem wszystko opowiedziała. Pochwaliła się, że jest w trzecim miesiącu ciąży i że co dzień wymiotuje. Że ojciec kupił jej maszynę do prania firmy „Thompson” i że w kuchni ma nowiutkie meble „Fornica” — to prezent od babki. Że ma łazienkę i co dzień bierze ciepły tusz.

— Przyjdźcie do mnie, zobaczycie — mówiła zachęcająco, w obawie że ją posądzą o kłamstwo.

Mark się śmiał, bo skojarzył sobie to zaproszenie do łazienki. Ale Mark miał „zapaskudzoną wyobraźnię”.

jak mu to zaraz kokieteryjnie wyrzuciła Marylou. W końcu orzekła, że nie może teraz zrozumieć, jak mogła tyle czasu mieszkać w „tej okropnej, starej kamienicy”, na tej zaśmieconej galerii i to „z tymi sąsiadkami!”. Bo w bloku H.L.M. to sama śmietanka, mówię wam, śmietanka — urzędnicy, nauczyciele, kupcy... Jednym słowem bardzo przyzwoite środowisko.

— Nie tak jak tu! Czemuż się nie sprowadzicie do bloku? — spytała, połapawszy się, że jej porównania mogły ich urazić. Ale tylko Marka to zadrasnęło. Bo z lekka obruszony odparł:

— Taki robociarz jak ja woli się nie zanurzać w „śmietankę”.

— Ooo! — wykrzyknęła Marylou. Ale nie wiedziała co powiedzieć. Więc rozćwierkała się ploteczkami z nowozamieszkałego bloku, których już miała spory zapas, a potem przeskoczyła do nieodzownych pytań: „a jak noga?... A ile zapłacili w hotelu za sezon... Co słyhać na galerii?”

Wreszcie zobaczyła Ivette, więc ją zaczepiwszy spytała:

— Czegóż sterczysz taka nadąsana? W której jesteś klasie?... W tej samej? Dobrze ci tak!

Zerwała się z krzesła, mówiąc:

— Uciekam, czuję, że mi się znów zbiera na wymioty. Ogromnie była dumna z tej swojej ciąży.

Ivette powiedziała burkliwie:

— Gotowa się wyrzygać na środku kuchni.

Kazała iść Ivette do kąta.

— Niechże jej pani przeze mnie nie karze — prosiła Marylou na odchodnym.

I łaskawie, choć z góry, obrzuciła Ivette wybaczącym wzrokiem. Ivette strasznie zakorciło, by pokazać jej język. Ale stanie w kącie by się przedłużyło. I to przez tę Marylou.

Ze zniknięciem Madame Duval z galerii, było natomiast mniej wesoło. Po prostu któregoś dnia zajechał ambulans i zawiózł ją do szpitala. Podobno serce. To serce, które pozwalało sobie na takie niezrozumiałe wy-

bryki. Raz biło jak młotem, to znowu milkło, zamierało, to trzepotało niczym niespokojny ptak, albo alarmowało długim, bolesnym skurczem. To biedne serce, które doprawdy nie mogło wytrzymać najmniejszej emocji i któregoś dnia sprawiło, że znaleziono Madame Duval zwaloną na galerii, jak ciężką kłodę. Myśleli, że martwa. Ale zawezwany lekarz odtransportował ją natychmiast ambulansem do szpitala, gdzie już od paru tygodni była na ścisłej obserwacji.

Odwiedziła ją raz. Madame Duval była w doskonałym humorze i widać było, że się tu od razu zadomowiła. Teraz, gdy po tym pierwszym ataku był naprawdę powód do niepokoju, nie zdawała sobie zupełnie z tego sprawy i żartobliwie komentowała badania i egzaminy, którym ją tu dokładnie poddawano. Nawoływano na nią w sali od łóżka do łóżka, a ona z ożywieniem wszystkim odpowiadała wypełniając swym humorem tak tu mało urozmaicone godziny.

— I mam tu wszystko *gratis* — mówiła — żarcie, leczenie, obsługę, a w dodatku nie muszę pracować.

Syn jej był teraz w pensjonacie, też *gratis*. Codziennie ją odwiedzał i Madame Duval stwierdziła, że doskonale teraz wygląda. Jedno ją tylko trapiło — koty. Musiała je porozdawać. I „Paszę” i „Minou” i „Dianę”... co się z nimi stanie?

Opuściła szpital pod smutnym wrażeniem. Jak długo będzie się jeszcze trzymać serce Madame Duval?

Wróciła do domu. Nie było nawet komu powiedzieć na galerii: „wiecie, byłam w szpitalu. Lekarz mówi, że z jej sercem niedobrze”.

Na galerii był spokój. Ale czyż spokój jest normalnym objawem życia?



Któregoś dnia ktoś wszedł szybko po schodach, przystanął przy drzwiach i zapukał tak energicznie, że od razu poderwała się, by otworzyć. W drzwiach stał Tomasz.

Pojawił się nie poprzedzony żadną zapowiedzią. Nie wysłał ani telegramu, ani nawet listu. Przyjechał i już!

Krzyknęła. Z radości, ze zdziwienia, z niepokoju?... Tomasz uśmiechnął się, ujął ją w ramiona i uściskał.

— Dzień dobry. A gdzie Patrick? — spytał od razu.

— Śpi. Ale to nie szkodzi. Chodź!

Tomasz szybko skierował się do dzieciennego pokoju. Tu, cicho, na palcach podszedł do łóżeczka i oparłszy się o poręcz pochylił się nad małym. Przypatrywał mu się uważnie, milcząco, wyprostował się i lekko zdławionym głosem powiedział:

— Mocno śpi.

Bez szmeru wycofał się z pokoju. Usiadł na tapczanie i oparłszy o kolana ręce powiedział od razu, jakby nie chciał, by się choć przez chwilę łądziła co do jego przyjazdu:

— Wracam do kraju. Wpadłem tu tylko do was, by się pożegnać.

Nie mogła jakoś nic powiedzieć. Ale z wyrazu jej ogromnych, zadziwionych oczu zrozumiała, że tylko jedno miała na myśli:

— Dlaczego?

Więc odparł:

— Bo tak chyba najlepiej. Wrócę, skończę studia i zostanę w kraju. Gdzież mam być? — spytał. Jakkolwiek słowom swym nadawał ton przemyślany stanowczo powziętej już decyzji, uniósł w tym momencie na matkę nieporadny, pytający wzrok.

— No tak — odrzekła jakoś zupełnie bezbarwnie. Po chwili zapytała:

— Kiedy wracasz?

— Jutro. Mam już bilet — wyciągnął z kieszeni studencką legitymację, wyjął z niej starannie we czworo złożony papier i rozłożył go na kolanie.

O, taki zwykły, kolejowy bilet, mały kawałek wypełnionego w okienku dworcowej kasy druku. A oto wszystko się decyduje. Dalsza egzystencja Tomasza, jej własne dni,

od jutra już wchodzące w okres oczekiwania, że może kiedyś po latach znowu...

— A Lydia? — spytała bezwiednie. Może choć ta go zatrzyma.

Tomasz wolno zaprzeczył głową. Tak jakby chciał tylko powiedzieć: nie ma Lydii, nie mówmy już o niej.

Co się stało? Odjechała?... Znikła? Zagniewała się? Może wyszła za mąż? Umarła?...

Wiedziała, że się niczego nie dowie. Lydia zjawiała się zapewne w życiu Tomasza, jak kolejno pojawiały się wszystkie jego nadzieje, złudzenia, radości. I jak one znikła i zatrze się. A Tomasz pójdzie dalej sam, ciągle sam. Przed nim to wszystko co go jeszcze czeka, nieodgadnięte, trudne, skomplikowane. I trzeba się będzie przez to przeborykać. Kolejne pogonie, ucieczki i znów pogonie.

Tomasz wstał i chodząc wzdłuż pokoju mówił pewnym, spokojnym tonem, jakby raz jeszcze chciał się przekonać o słuszności swego rozumowania:

— Tak, wracam do kraju i myślę, że to najrozsądniejszy wybór. Przydam się tam. A zresztą nie o to chodzi. Nie jestem po prostu w stanie żyć poza krajem.

Zatrzymał się i patrząc na matkę swymi jasnoblękitnymi oczami, spytał:

— Rozumiesz to?

— Nie.

Jakże była szczerą. Wdzięczny był jej za to. I nagle zmienił zupełnie temat rozmowy:

— A cóż Mark? Lepiej już z jego nogą?

— Zupełnie się wygoiła. Zapewne już w tych dniach zacznie szukać pracy.

— A dziewczynki?

— Urosły. Zaraz przyjdą ze szkoły. Zobaczysz jak doskonale wyglądają.

Tomasz wyjął papierosy, podał matce i sam zapalił. Oparłszy się o framugę kuchennych drzwi przypatrywał się jej. Zaczęła mu beztładnie opowiadać o opustoszałej galerii, o ślubie Madame Borne, o Marylou, byle coś mówić.

— Zmizerniałas— przerwał jej nagle.

— Tak?

— I nawet bardzo schudłas.

— To pó tym sezonie.

Opuścił głowę. Naraz z dziecinnego pokoju odezwało się wpółsennie jeszcze gaworzenie Patricka. Tomasz paroma ogromnymi susami przyskoczył do drzwi i już był przy łóżecku. Odkryła lśniącą, niebieską kołderkę. Uniosły się w górę dwie opalone, ruchliwe nóżki. Ogromne niebieskie oczy niepewnie i podejrzliwie patrzyły na tę obcą, pochyloną nad nim twarz. Tomasz uczynił rękami ruch jakby chciał go wziąć w ramiona. Patrick spojrział niezdecydowanie na matkę. Wyjęła go z łóżecka.

Tomasz bez chwili wahania odebrał go jej z rąk, podszedł z nim do okna i długo mu się przyglądając, powiedział:

— Mój brat.

Po raz pierwszy nie ukrywał swego rozczulenia, po raz pierwszy i jedyny nie maskował swego wzruszenia. I tuląc go w ramionach, gładził ostrożnie dłonią po jasnych, skręconych włoskach.

— Malutki mój brat.

W tej chwili na schodach dały się słyszeć szybkie, nieregularne kroki. Ivette wyprzedzała się jak zwykle z Sylwią, bo każda chciała pierwsza wpaść na galerię. Szamotały się u wejściowych drzwi i wreszcie Ivette przepchała się przez nie pierwsza, odpychając teczką siostrę.

— Tomasz przyjechał! Chodźcie — nawoływała od kuchni.

— Tomasz?!

— A co nam przywiózł? — zapytywała od drzwi nieoprawna Ivette.

Gdy zobaczyła, że ten trzyma w rękach Patricka, nie bardzo jej się to podobało. Dlaczego wziął go? Byłaby może na głos zaprotestowała, gdyby nie to, że ona przewidując tę reakcję, od razu czymś zagadała. Sylwia rzuciła się Tomaszowi na szyję.

— Wiesz, przybyło mi trzy kilo na kolonii! — Był to sukces, o którym wszystkim ciągle mówiła. Dość już miała tych ciągłych uwag: Sylwia bladziutka, Sylwia chucherko...

— Oho, jaka duża teraz z ciebie dziewczynka! — zawołał rozbawiony Tomasz.

— A co! — wykrzyknęła z triumfem.

Mark też się wkrótce zjawił. Przywitali się koleżeńsko, przyjaźnie. Mark nawet szczerze się tym powrotem ucieszył.

— Więc wróciłeś? A to dobrze! — klepnął go zamasyście po plecach.

Ale Tomasz od razu pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Jestem tu tylko przejazdem. Wracam do kraju.

I znów przed nią te słowa spadły jak ciemna zasłona. Dlaczegoż o tym przypominał? Czyż nie mógł dać jej choćby do jutra złudzenia powrotu do domu?

— Cóż za pomysł! — protestował Mark — Żle ci tu? Po cóż masz wracać do kraju?

Ale Tomasz nie dawał mu objaśnień.

— *Oui, oui* dobrze mi. Ale wracam.

Ivette zawyrokowała:

— Szkoda, że nie Francuz. Byłby został.

— Cóż to ma do rzeczy? — próbował dyskutować Mark.

Ale Tomasz wciąż się tylko uśmiechał. Melancholijnie, pobłażliwie, ale i z pewną czułością, bo spoglądał nieustannie na Patricka. Zdawało się, że w myśli nawiązuje z nim ciche, nie dające się może w słowach wyrazić przymierze. W tej chwili zrozumiała, że po jego odjeździe, to będzie jedyna trwała i pewna nić. W swej dłoni trzymała mocno rączkę Patricka.

Jak szybko mija dzień, który właśnie chciałoby się przytrzymać i opóźnić. Jak mu spieszo, by stać się już tym minionym „wczoraj”, o którym się tylko wie, że było i niepowrotnie pozostanie w tyle.

Zapadł prędko wieczór i zjedli kolację. Miałyby jeszcze ochotę długo mówić z Tomaszem. Ale rozmowa jakoś nie kleiła się. Zagadywała go zdawkowo o Paryż, o jego

studia. Ale myślami była niespokojnie przy nagłej decyzji jego odjazdu. Tomasz chwilami nad czymś dumał, rozważał, zdawało się, że sobie coś w duchu ciągle perswaduje. I tak każdy wsłuchany w rój własnych myśli usiłował podtrzymywać raz po raz rwącą się rozmowę.

Aż Mark zaczął z ożywieniem opowiadać o swoim nowym projekcie. Przyszło mu to do głowy, właśnie dziś, w związku z anonsem, który mu jakiś kolega pokazał.

Tak, pojedzie do Algieru. Czemużby nie? Że też wcześniej mu ten pomysł nigdy do głowy nie przyszedł! Stracił tylko niepotrzebnie czas. Zaproponowano mu jednoroczny kontrakt. Cóż to znaczy jeden rok? Dwanaście głupich miesięcy. Przemina tak szybko, że nawet nie zdąży się obejrzeć. Po cóż ma się w tej Francji tak ciągle borykać, harować, żyć z marnej płacy, kłopotać się ciągłymi brakami. Jest na to przecież doskonała rada. I już zdecydował: jedzie do Algieru!

— Mark, zastanów się — wtrąciła.

Ale ten nie słuchał i monologował dalej. Tak się przy tym swoimi projektami upajał, że już tylko mówił i mówił, opowiadając sam sobie jak to wszystko się ułoży. Proponują mu nadzór nad dużą hodowlą owiec. Chodzi tylko o zwykłą kontrolę. Będzie musiał je co dzień rano i wieczorem przeliczyć. Czyż to w ogóle praca? Dadzą mu do dyspozycji auto i dwóch Arabów do pomocy. Utrzymanie, mieszkanie i sto tysięcy franków miesięcznie.

Tomasz zdawał się powątpiewać.

— Co, nie wierzysz? Mówię ci: sto tysięcy! Czytałem przecież warunki kontraktu. Mój kolega już dawno na anons napisał. Przesłali mu nawet formularze do wypełnienia. Ale on się nie zdecydował, więc dał mi papiery i powiedział: masz, jak chcesz jechać to jedź!

— A czemu sam nie chce?

— Czemu? Boi się. Mówi, że nie ma ochoty by go gdzieś cichaczem jakiś fellaga zakatrupił.

— A ty?

Mark roześmiał się.

— Ja? Czegóż mam się bać? Złego licha nie weźmie, nie ma obawy. Udało mi się na linii Maginota, udało mi się ujsć cało z Niemiec, dlaczego miałbym zostawić skórę w Algierze? Zresztą do niczego się tam przecież nie będę mieszał, polityką się nie zajmuje...

— A tych twoich dwóch Arabów. Myślisz, że możesz być ich z góry pewien?

— Czemu nie? Od razu się z nimi dogadam. Z pewnością dobre chłopy. Uścisknę im na powitanie grabę i powiem: pracujemy razem to sztama! No nie?

Czekała, by Tomasz wysunął jakiś nowy argument, ale widocznie zrezygnował. Więc Mark już teraz bez przeszkód bawił się swymi chimerami:

— Jak wrócę, to kupię sobie „4 CV”. Tak, przyrzekłem sobie „4 CV”. No i może wezmę sklep. Będę wreszcie kupcem. Handel mnie zawsze pociągał, ale jakoś do tego nie miałem jeszcze okazji. Najchętniej wziąłbym sklep spożywczy, to się najbardziej opłaca. A jak dobrze w tym zawodzie zarobię to kupię teren i zbuduję dom. Tak, sam sobie powolutku go postawię. Wiem jak się kopie pod fundamenty, widziałem jak się przyprawia cement, na elektryce się znam, malować ściany też umiem, a jeśli chodzi o instalację wody, to nie potrzebuję niczyjej rady.

Patrick zasnął. Tomasz patrzył jak matka delikatnie zapinała małemu guziki kolorowej pyjamy i uniosła go w ramionach do łóżeczka. Gdy wróciła do pokoju Mark po raz wtóry rozkładał na stole formularze, mówiąc zdecydowanie:

— Tak, jadę do Algieru. Sto tysięcy franków... czy ty sobie wyobrażasz? — spytał spoglądając tym razem na nią.

— A Patrick?

Mark nagle zawahał się. I wtem uświadomił sobie, że przed odjazdem przyjdzie mu wziąć na ręce syna i będzie musiał się z nim pożegnać, zostawić go tu i odjechać na długi rok, na dwanaście beznadziejnych miesięcy. A Patrick przez ten czas nauczy się chodzić, zacznie mówić, a gdy ojciec powróci, to go nawet nie pozna. A jeśli w ogóle nie powróci?

— Daj spokój Mark, nie warto nawet o tym Algierze mówić — orzekł Tomasz. — Chodźmy spać!

W milczeniu pościeliła synowi w alkwie łóżko.



Ivette była zachwycona na myśl, że nie pójdą do szkoły. Sylwia zresztą także. Ten odjazd Tomasza był dla nich nieoczekiwaną szansą.

Mark powiedział, że znajomy szofer, który ciężarówką jedzie do Toulouse, chętnie Tomasza zabierze z sobą. To mu pozwoli odjechać po obiedzie i uniknie czekania między jednym pociągami a drugim. Tomasz orzekł, że chętnie z tej okazji skorzysta.

Przez cały ranek był na galerii z Patrickiem i słyszała jak mówił po polsku:

— No co, boisz się baka? Cóż to za chłopak z siebie?

A Patrick zapamiętałe tłumaczył się, pokazując nieufnie paluszkami w stronę ospałej jesiennym słońcem muchy. Sylwia zaproponowała Tomaszowi partię warcabów. Zgodził się, ale zaraz dodał:

— Z Patrickiem.

Rozsiedli się na ziemi i zaczęła się zabawa. Patrick rzucał warcabami na prawo i na lewo, a Sylwia i Tomasz zbierali je na czworakach po całej galerii. Ta partia nigdy się nie zaczęła.

Ivette spoglądała od drzwi i mówiła, że wszyscy troje wyglądają się. Wreszcie zabrała szachownicę i przeliczywszy dokładnie warcaby oświadczyła, że brakuje dwóch. Ale Patrick wcale tym nie był zmartwiony, a Tomasz i Sylwia zdawali się też nie mieć co do tego żadnych skrpułów.

Ivette obraziła się.

Była zajęta przygotowywaniem obiadu. Mark zaproponował Tomaszowi aperitif i poszli do kawiarni. Kiedy wrócili byli obaj w doskonałym humorze. Czy Tomasz umyślnie wypił? Ale w miarę jedzenia szybko trzeźwiał, posępniał

i przy kawie już tylko milcząc palił papierosa. Wreszcie powiedział:

— Już czas.

O drugiej popołudniu szofer, który miał przejeżdżać szosą, obiecał zatrzymać się na skrzyżowaniu dróg. Musieli więc zejść ulicą miasteczka w dół i czekać na skraju szosy. Było gorąco. Małe drzewka, którymi wysadzono wzdłuż drogę, nie dawały jeszcze cienia. Tomasz i Mark stali zwrócenii w kierunku szosy, wyglądając z daleka auta. Ale słońce raziło oczy i trudno było rozpoznać co jedzie. Mark co chwilę mówił:

— To ciężarówka.

Unosiła głowę. Nagły łomot pod sercem.

— Nie, nie, to jeszcze nie ta.

W końcu zdudziło im się tak wciąż wyteżać wzrok. Więc usiedli pod zakurzoną ścianą żywopłotu i zapalili papierosa. Dla Patricka była to godzina popołudniowej drzemki — kaprysił i niecierpliwił się. Usiadła też na na trawie i po chwili mały, wsunąwszy palec w buzię, usnął na jej kolanach.

A Ivette i Sylwia znalazły pod żywopłotem włochatą, ciężką gąsienicę i z uwagą śledziły jej posuwiste ruchy. Sylwia złapała ją w palce i podstępnie zarzuciła na pochylony kark Ivette. Ta piskliwie krzycząc otrzepywała rękami szyję. Patrick zbudził się i zaczął płakać. Więc Mark skrzyczał głośno Ivette, a ta wymyślała Sylwii.

I nikt nie zauważył jak nadjechało ogromne, ciężarowe auto i zatrzymało się tuż przy nich. Tomasz niezdecydowanie uniósł się z ziemi. Szofer, wychyliwszy głowę, zakrzyknął wesoło do Marka:

— *Alors, ça va?*

— *Ça va, ça va!*

— *Et ton fiston?! Qu'il se dépêche! Où sont ses bagages?*

Tomasz uchwycił plecak i walizkę. Zarzucił je na otwartą ciężarówkę, szarą od cementowego prochu. Szofer otworzył drzwiczki auta i gestem wskazał Tomaszowi siedzenie obok kierownicy. Równocześnie spojrział na zegarek.

Pożegnali się tak pośpiesznie, jakby nie było już na to ani sekundy czasu. Tomasz zatrzasnął drzwiczki. Motor z lekka szarpnął i ciężarówka ruszyła. Tomasz obejrzał się i przez zakurzony prostokącik tylnej szybki zobaczyła jego jasne, bardzo jasne oczy. Ale to trwało bardzo krótką chwilę i było już tylko jak fotografia.

Ivette i Sylwia długo machały obiema rękami za autem. Było już daleko i wyglądało jak podłużne, szare pudełeczko. Sunęło drogą, która unosiła się w górę, aż u szczytu jej pochyłości, znikło, jakby się w nią naraz zapadło.

Ivette powiedziała zdziwiona:

— Ot i już go nie ma.

I naraz głośno rozbeczała się.

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 20 MARS 1960
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1960

